

Maciej Kuczyński

Atlantyda wyspa ognia

SCAN-dal

Od Autora

We wszystkich niemal językach świata istnieje ogromna literatura dotycząca legendarnej wyspy Atlantydy - setki nowel, powieści, poematów, jak też rozpraw usiłujących naświetlić problem z naukowego punktu widzenia. Sam temat, choć stworzony piórem wielkiego Platona, opiera się, mówiąc szczerze, na dość niepewnych podstawach.

W swoim dziele „Timaios” zawarł Platon spory ustęp opisujący po raz pierwszy w dziejach Atlantydy. Możemy tam przeczytać:

„Egipscy kapłani powiedzieli Solonowi: »...Morze miało wyspę przed wejściem, które wy nazywacie Słupami Heraklesa... Na tej wyspie, na Atlantydzie, powstało wielkie i podziwu godne mocarstwo... Ale przyszły straszne trzęsienia ziemi, potopy, i nadszedł jeden dzień i jedna noc okropna, a wyspa Atlantyda zanurzyła się pod powierzchnią morza i zniknęła«”.

Istotnie, dzisiaj przed „Słupami Heraklesa”, czyli przed Cieśniną Gibraltarską, nie ma żadnej wyspy. I jedynym sposobem, który pozwoliłby stwierdzić, czy istniała ona tutaj kiedykolwiek, byłoby dokładne badanie dna morskiego.

Literatura na temat Atlantydy opiera się na mocno utrwalonej tradycji - niemal zawsze autorzy przedstawiają legendarną wyspę jako kraj wysoko cywilizowany, wyrastający pod każdym względem ponad poziom ówczesnej reszty świata.

Nasza opowieść nie odstępuje od tego utartego wzoru, ale, co trzeba powiedzieć na wstępie, jej bohaterem nie jest bynajmniej Atlantyda, lecz człowiek, który przybył na tę wyspę w celach wywiadowczych.

Na koniec chciałbym wyrazić prawdziwą wdzięczność pani Izabelli Korsak, której, jako autorce pomysłu, książka ta zawdzięcza w ogromnej mierze swe powstanie.

Księżyc nie pokazał się tej nocy. Ponad Afryką zawisło ciemne niebo i tylko gwiazdy jarzyły się mocniej nad dżunglą, nad uczyszonym stepem i chłodnymi piaskami. Jeziora odbłyскиwały sennie Krzyżowi Południa, Centaurowi, a na zachodnim wybrzeżu wąska linijka spienionego przyboju zaledwie jaśniała w mroku. Atlantyck oddychał leniwie niewidzialną falą, pachniał wodorostami i solą, marszczył się w ciemnościach pod dotknięciem wiatru.

Lekkie powiewy niosły w stronę morza liście opadłe z drzew dżungli i płatki kwiatów. Sadzały je na wodzie i popychały dalej jak żagielki, każąc im płynąć z falą ku czarnemu horyzontowi w stronę, gdzie za obszarami wód, pośród ciepłych prądów, kryła się milcząca wyspa.

Jak smoliste cienie wynurzały się niskie brzegi z nocnego morza, nie rozjaśniał ich żaden płomyk, nie ożywiał żaden okrzyk nocnego zwierzęcia.

Puste były też wody wokół wyspy, oprócz miejsca, gdzie nieruchomy jak senna ryba kołysał się cień statku.

*

Miękka fala nadpływając z ciemności sunęła z szelestem wzdłuż belek kadłuba, przyskała ciepłą pianą i z cichnącym sykiem rozlewała się wokół rufy. Awaru leżał na skraju pokładu, nagim ciałem przywarł do desek, rękę zwiesił za burtę i wyczekiwał chwili, gdy falująca woda muśnie koniuszki palców.

- Czy mam już płynąć? - spytał szeptem. Uniósł głowę z desek pokładu i wpatrzył się w czarną sylwetkę skulonego Kamau.

- Czekaj - odparł szeptem starzec. - Jeszcze nie czas, niechaj upłynie połowa nocy i niech wzmocni się wiatr, który zmarszczy falę.

- Kamau! - rozległ się stłumiony okrzyk któregoś z wioślarzy, plusnęło poruszone wiosło. Starzec milczał i tkwił nieporuszenie. Pokład chylił się łagodnie z burty na burtę, z cicha szeleściła woda.

- Kamau! - zabrzmiał znowu gruby szept. - Odezwij się, powiedz, na co czekamy. Oni nas widzą...

Statek zadrgał i szcęknięły drzewce wiosel, wzdłuż burt podniósł się szept niespokojnych głosów.

- Cicho bądźcie! - rzucił półgłosem starzec. - Cicho bądź, Nieri, jak mogą nas widzieć w ciemności?

- Mogą wszystko - odparł Nieri. - Czuję to. Jesteśmy już za blisko. Oddalmy się, zanim nas schwytają, i nie pozwólmy, by Awaru tam płynął, nie zobaczymy go więcej.

Awaru uniósł się i klęknął na pokładzie.

- Przestań! - zawołał cicho. - Bo naprawdę usłyszają twoje lamentsy. Kamau - zwrócił się do starca - nie będę już dłużej czekał, pozwól mi płynąć.

Wyciągnął w ciemności mokrą dłoń i dotknął nią ramienia starca. Woda skwierczała za burtą, wioślarze umilkli.

- Płyn - szepnął Kamau, podniósł twarz ku niebu. - Płyn prosto na te dwie jasne gwiazdy,

zaprowadzą cię do lądu. Nadchodzi wiatr i woda stanie się szorstka i ciemna - pochylił głowę nadsłuchując, podniósł otwartą dłoń. - Idzie - szepnął. - Już jest tutaj...

Podmuch nadszedł z głębi ciemności i począł przepływać z poszumem wzdłuż desek pokładu, między drzewcami wiosel, pośród rozkołysanych sznurów zwisających z masztu. Morze zaszepotało, zmarszczyło się i, jakby przebudzone z uśpienia, zaczęło połyskiwać zielonkawą poświatą.

- Za późno! - powiedział Nieri głośno, gdyż wiatr nie pozwalał już dosłyszeć szeptu. - Patrzcie na wiosła...

Drgająca, ożywiona woda, dotąd ciemna jak otchłań, rozpalila się matowym lśnieniem. Na jego tle ukośnie od burt biegnące wiosła odcięły się ciemnymi pręgami, tam zaś gdzie wąskie pióra nurzały się w toni, powstały rozkołysane krążki zielonego światła.

Statek, dotąd skryty w mroku, teraz stał się widoczny na świetlistej tafli.

- Teraz - rzekł Kamau - będziesz widoczny z daleka. Nie możesz płynąć...

Awaru wysunął ramię z uścisku suchych palców Kamau, ukląkł na skraju pokładu, oburącz chwycił krawędź burty i opuścił się ku wodzie.

- Czy masz nóż? - spytał starzec.

- Mam - odparł. Na biodrach czuł ucisk postronka, za który wsunięte było długie ostrze.

- Pamiętaj, że każdej nocy będzie na ciebie czekał jeden z okrętów. Wystarczy, abyś popłynął w stronę wschodzącego księżyca.

- Pamiętam.

- Co mam powiedzieć królowi, twemu ojcu?

- Że wrócę - odparł Awaru i ręce wyprostował nad głową. Poczł, jak dłonie ześlizgują się po gładkim drewnie kadłuba, jak

woda obejmuje ciało, zalewa twarz. W głębokim zanurzeniu przewrócił się na brzuch i zaczął płynąć.

Gdy woda wyniosła go na powierzchnię, odetchnął głęboko i otworzył oczy. Nad sobą miał ogromne, czarne niebo pełne gwiazd, wśród których świeciły jego dwie jasne przewodniczki. Nie było już ani śladu statku, roztopił się w nocy.

Przechylając ciało z jednego boku na drugi, Awaru zagarniał wodę ramionami. Płynąc zanurzał twarz i zaglądał w głąb morza. W przejrzystym wnętrzu oceanu unosił się opar zielonkawego światła. Chmury świecących żyjątek jak rozdmuchiwany żar świeciły słabiej to znów silniej, pozwalały się unosić prądom, skupiać i rozpraszać na przemian.

Kiedy Awaru przecinał żywy obłok, wokół ciała rozbłyskiwały zielone iskry. Gdy przenoślił rękę nad głowę i z rozmachem uderzał o fale, spod dłoni tryskał pióropusz zielonego ognia.

Pod nim, w szklistym przestworzu, unosiły się ryby. Poznawał je po wybuchach światła i rozjarzonych smugach, którymi znaczyły swe szlaki. Potężne olbrzymy przesuwaly się zmieniając kierunek szerokimi łukami. Morski drobiazg pływał stadami, dokonując gwałtownych zwrotów i ciągłych zmian szyku. Nagle zobaczył

rekina. Ryba wyszła z głębin i ukosem przecinała tor, jakim płynął Awaru. Była tak wielka, że jej cielsko rysowało się ogromnym cieniem na tle obłoku świecących żyjątek. Płynęła pewnie i bez zatrzymań, prosto jak strzała, a sprzed jej ostrego nosa śmigaly

spłoszonym błyskiem małe rybki.

„Usłyszała mnie - pomyślał Awaru i serce przestało mu bić w piersiach. - Usłyszała, ale nie wie jeszcze dokładnie, gdzie jestem”.

Leżał na wodzie bez drgnienia i dławił się zatrzymanym w płucach oddechem. Ryba przesunęła się jak duch i wsiąkła bez śladu w ciemność.

Z obolałych płuc wyrwało mu się długo wstrzymywane powietrze. Zwrócił ku niebu mokrą twarz i oddychał głęboko, a kiedy uspokoił już bicie serca i tętno w skroniach, usłyszał pomruk przyboju. Rzucił się w jego stronę i potężnymi zamachami ramion sunął po wierzchu fali.

"Może odeszła" - myślał i mocniej zagarniał dłońmi wodę, która teraz stała się jakby twarda i nieustępliwa. Oddech miał urywany i krótki, ostre ukłucia przeszywały płuca, a mózg pełen był strzępów rozpaczliwych myśli.

Nie miał już siły płynąć. Ręce znieruchomiały, nogi stały się ciężkie i bezwładne. Rekin był blisko. Podobny do czarnego grotu otoczonego zielonym iskrzeniem, szył toń spiralą, zacieśniając każde następne koło i wznosząc się ku powierzchni morza.

Awaru wynurzył twarz, aby zaczerpnąć powietrza. Wydawało mu się, że strumyki wody spływające po czole to grube krople potu. Nie było ucieczki z magicznego kręgu wielkiej ryby. Ruchy wody zmieniły się. Fala, dotąd łagodna i powolna, stała się krótsza, straciła swój miarowy bieg. Jakiś niepokój ogarnął morze. Zaczęły nim poruszać niespodziewane prądy, zewsząd rozbrzmiewały donośne pluski.

Brzeg był blisko i dawał nową nadzieję. Awaru z wolna obrócił się na brzuch i począł szykować do skoku. Oddychał głęboko, rozluźnił mięśnie, ale zamiast ruszyć naprzód całą siłą ramion, opadł znowu bezwładnie. Łąd przed nim nie był łądem ocalenia. Była to nieznana, groźna wyspa, pełna tajemnic i zasadzek, bezlitosna dla wrogów przybywających z morza. Chłód ścisnął serce Awaru. Zamiast w stronę wyspy, lepiej było odpłynąć ku pełnemu oceanowi, położyć się pod gwiazdami i, nie myśląc już więcej, oczekiwać w spokoju na przybycie wielkiej ryby.

W głębokim przechyle zanurzył twarz i wówczas zobaczył ją znowu. Tuż pod powierzchnią fali, prując grzbietową płetwą powietrze, sunęło z błyskawiczną szybkością świetliste wrzeciono.

Potężnym rzutem ciała Awaru wbił się w falę i zanurkował. Straszliwe uderzenie przeszło nad nim jak podmorski huragan, zakręcił nim wir i na pół ogłuszonego wyrzucił na powierzchnię.

Po chybionym ataku ryba zatoczyła koło i odszukawszy zdobycz, rzuciła się ku niej z nieubłaganą siłą. Szła teraz po samej powierzchni, z połową grzbietu wystającą ponad wodę, pośród wieńca piany i eksplodujących światełek. Nadeszła z ukosa i nie zmniejszając szybkości przewaliła się na bok, aby zadać cios uzębioną paszczą.

„Teraz!” - powiedział sobie Awaru, ale nim zdołał zanurkować, otrzymał ogłuszające uderzenie w głowę i w kark. Krzyknął i ze strasliwym wstrząsem zatrzymał się w miejscu.

„Ma mnie!” - błysnęła mu myśl, ale w następnej chwili zrozumiał, że to nie ryba.

Wydymająca się fala przyciskała go i tłoczyła do twardej skały. Chwytał dłonią jakiś ostry występ i krztusząc się wodą, próbował wyjść na suchy ląd. Wydało mu się, że w następ-

nym mgnieniu oka musi nastąpić atak rekina. Sięgnął ręką do pasa, ale noża nie było od dawna za plecioną przepaską. Ryba nie zjawiała się już. Ostatkiem sił Awaru wypelzł na postrzępioną skałę i upadł bezwładnie.

Minęła dawno północ, gwiazdy obiegały pół nieba, gdy Awaru poruszył się i usiadł. Roztarł ramię, dotknął głowy w miejscu zranionym przez uderzenie o skałę i syknąwszy z bólu, spróbował wstać. Zwrócony twarzą ku wyspie, wyprostował ciało. Nie widział nic. Żaden kształt nie rysował się w mroku, niebo i ziemia tworzyły nieprzejrzyście zasłonę. Uczynił kilka ostrożnych kroków badając grunt przed sobą. „Muszę - pomyślał - oddalić się jak najszybciej od wybrzeża, nim zaświta i zanim będzie można dostrzec moje ślady”.

Posuwał się po omacku, na czworakach, wyszukując dłońmi drogę wśród kamienistych nierówności. Co pewien czas, tłumiąc oddech, wsłuchiwał się w noc. Odgłosy morza, bulgot fali, syk piany brzmiały jak ledwo dosłyszalny szept. Cichy był także łąd, ku któremu zmierzał Awaru.

„Byle nie trafić na piasek - myślał - na skałach nie zostawię żadnych śladów, a wyżej powinny zacząć się zarośla”.

Skalna pochyłość prowadziła wzwyż, potem przegięła się i przeszła w płaszczyznę poziomą. Podłoże było tu gładziej, a szorstkie płyty wciąż pozbawione roślinności. W mroku, wprost przed nim, rozległ się wyraźny, suchy i twardy dźwięk, odgłos stuknięcia kamienia o kamień.

Awaru zamarł. Z największą powolnością przygiął się ku ziemi i, tłumiąc oddech, położył się. Do szeroko otwartych ust napływała mu ślina, nie śmiał jej przełknąć, przyciskał pierś do ziemi, aby stłumić bicie serca.

Czekał długo. Tajemniczy dźwięk nie powtórzył się, w powietrzu rozbrzmiewały tylko zwykłe szepty nocy, daleki szmer morza, ledwo uchwytne poszum wiatru gdzieś w górze. Wtem w ciemnościach coś się poruszyło. Włosy na głowie Awaru poczęły się jeżyć i skóra cierpnąć na plecach. Człowiek czy zwierzę? Może drapieżnik zaczajony do skoku, a może strażnicy wybrzeża osaczający go kołem, aby przeszyć nagle gradem pocisków? Zostać na miejscu, iść naprzód czy wycofać się w stronę morza?

Na koniec zobaczył. Ponad linią, którą rozpoznał jako granicę ziemi i nieba, rysował się nieokreślony cień.

„Czekać” - powiedział sobie i spojrzał na gwiazdy, aby przekonać się, czy ich blasku nie przyćmią lada chwila promienie świtu. Świtu, który nie mógł przynieść ze sobą nic dobrego.

Usłyszał cichy i miękki szmer. Na stopie, a zaraz potem na łydce, uczył delikatne muśnięcie, słabsze, niż gdyby spadający liść dotknął skóry. Przez chwilę nic się nie działo, tylko zgęstniały krople potu na

czole Awaru. Nagle o jego bok oparła się miękka, chłodna łapka. Strącił ją gwałtownym ruchem i przez mgnienie oka uczył na dłoni drobne ciało obleczone puszystym futerkiem. Odtrącone, upadło gdzieś bezszelestnie. W tej samej chwili poruszył się niewyraźny cień majaczący ponad linią horyzontu. Przesunął się nieco w bok i jakby zbliżył. Wciąż jeszcze był to kształt nierozpoznawalny.

Leżący bez tchu Awaru wiedział, że wystarczyłoby teraz podpełznąć o długość kilku dłoni, aby przebić wzrokiem czarną mgłę i poznać tajemnicę, ale nie drgnął nawet. Czuł

chłód w całym ciele i bezwład ogarniający ręce i nogi.

Miękkie łapki muskały jego stopy, kolana, boki, ramiona. Nie było to już jedno tylko zwierzątko, ale cała ich gromada. Coraz śmielsze, opierały się o Awaru i przeskakiwały przez jego wyciągnięte nogi. Czuł już nie tylko muśnięcia, ale nieustający ciepły dotyk wielu drobnych ciał, które otaczały go ze wszystkich stron, próbowały wciskać się pod leżącego, a wreszcie zaczęły przebiegać mu po plecach i wzdłuż nóg. Lekkie stapania były coraz bliższe głowy, aż wreszcie któreś ze zwierzątek dotarło do karku i węsząc zbliżyło nos do ucha Awaru.

Nie poruszył się i wtedy. Ogarnął go zupełny bezwład, oddychał, z trudem wciągając powietrze przez ściśniętą krtani. Zdawało mu się, że dotykają go tysiące małych dłoni, że kłębi się ponad nim nieprzebrane rojowisko milczących i nieuchwytnych potworków, tworząc gigantyczny kopiec żywego futra, który przygniata go do skały, pozbawia oddechu, dławi i obezwładnia.

Nagle zrozumiał, że znowu jest sam. Mieszkańcy nocy zniknęli bez śladu. Tam gdzie jeszcze przed chwilą tkwiła ciemna sylwetka, teraz nie było nic zupełnie. Horyzont zarysował się wyraźnie, podświetlony pierwszymi promieniami brzasku. Awaru opadł na plecy. Długo leżał bez żadnej myśli, patrząc prosto w niebo, które zszarzało, na gwiazdy coraz bledsze i wtapiające się w popielate tło przedświt. Z wolna uspokajał mu się oddech, ustało drżenie szczęk.

Lada chwila mogło nastąpić spotkanie z ludźmi. Po raz nie wiadomo który spróbował to sobie wyobrazić, ale bezskutecznie. Głowę miał obolałą, a pamięć podsuwała tylko dobrze mu znane

obrazy. Ujrzał port na zachodnim wybrzeżu wyspy, jedyne miejsce, do którego wyspiarze pozwalali przybijać obcym statkom. Był tam wielokrotnie podczas przygotowań do potajemnego lądowania. Zawsze tu łopotało kilka żagli przyniesionych wiatrem z niewiadomych stron świata, zawsze rozlegał się plusk wiosła i różnojęzyczny śpiew wiosłarzy.

Zatokę od lądu dzielił kamienny mur, poprzez który nikomu nie udawało się zajrzeć w głąb wyspy. Zza muru ukazywali się wyspiarze i zstępowali po kamiennych stopniach na brzeg, aby prowadzić handel wymienny.

Awaru nie widział nigdy, aby ktokolwiek z przybyszów, marynarzy, kupców, wiosłarzy czy żołnierzy, próbował wspiąć się po owych schodach na szczyt muru i przynajmniej wzrok zapuścić dalej. Nikt nie odważał się na to, chociaż straży nie było ani śladu. W porcie wiedziano dobrze, iż taka próba musiałaby się skończyć zniknięciem ciekawego raz na zawsze. Wspominano imiona tych, którzy niegdyś podobno próbowali. Mówiono o całej załodze statku, która wdarła się na mur uzbrojona po zęby i w mgnieniu oka rozwiła się w powietrzu. Jak twierdzili jedni - bez śladu, jak inni zaś - zamieniona w czarny dym, który odpłynął z morskim wiatrem.

Wyspiarze przynosili ze sobą do wymiany liczne bezcenne przedmioty, a wśród nich najwspanialsze przezroczyste paciorki i bransolety o różnych barwach, a także płaskie tafelki, w których można było ujrzeć swoją twarz lepiej niż w tafli nieruchomego jeziora. W zamian przyjmowali rzeczy bez wartości: biały, miękki piasek z nadmorskich plaż, którego widać nie mieli na wyspie, czy kryształy, jakich pełno w górach, w czerwonej,

tłustej ziemi.

Każdego dnia, kiedy przybywał statek, wieczorem u stóp muru bieleły się kopce piasku i lśniły złożone w stos kryształ, gdy zaś minęła noc, pod murem nic już nie było. Nikt nie wiedział, jak i kiedy zabierali wyspiarze to, co dziesiątki ludzi wyniosły na brzeg w koszach z liści palmowych i w workach plecionych z traw.

Awaru pamiętał twarze i postacie wyspiarzy. Nie różnili się prawie od ludzi z jego własnego kraju. Byli może tylko nieco bardziej smukli, wydawali się zręczniejsi, a także ich skóra, choć ciemna, była jednak o ton jaśniejsza. Co dnia wielu z nich wychodziło spoza muru i, mieszając się z tłumem przybyszów z różnych stron, prowadziło długie rozmowy. Wypytywali ludzi o ich życie za morzem, o rośliny i zwierzęta, chętnie słuchali opowieści o niebezpieczeństwach żeglugi i przygodach każdego, kto tylko zechciał mówić. Chętnie zadawali pytania, za to każde pytanie o ich własną wyspę zostawiali bez odpowiedzi. Oddalali się z łagodnym uśmiechem, jakby to wszystko, co usłyszeli, było im dobrze znane i jakby niebezpieczeństwa morza i ziemi nigdy nie mogły naruszyć ich potęgi.

Ludzie otaczający ich rozstępowali się pospiesznie, wiedziano bowiem, iż łagodni i pozornie bezbronni, umieli strzec swych tajemnic w sposób bezwzględny i zawsze zwycięsko.

Nad głową Awaru niebo stało się popielate, zaczynał się dzień. Na wschodzie do mdłej szarości wmieszał się nikły różowy odcień niczym słaby blask rozpalonego za morzem ogniska.

Płynął czas, a dzień wciąż nie nadchodził. Awaru posuwał się krok za krokiem ku środkowi wyspy, niezmiennie mając pod stopami gładkie, twarde płyty, na których nie zdołało zakiełkować najdrobniejsze źdźbło. Na wschodzie, gdzie raz już tego ranka zajaśniał skrawek różowego nieba, horyzont znowu zszarzał i pociemniał tak niezwykle barwą, że Awaru pojął, iż przyczyną tego musi być coś zupełnie innego niż gęstniejące chmury.

Opuścił wzrok i spojrzał na swoje ręce. Widział zmarszczenia skóry, wszystkie palce, paznokcie. Był więc dzień...

Ale poza wyciągniętymi dłońmi Awaru zawisał delikatny welon szarej mgły. W powietrzu przesuwała się gęsta zawiesina. Skalne płyty były widoczne nie dalej niż na odległość dwóch długości ciała. Poznał, że nie jest to zwykła mgła, jaka wstaje z mokrego stepu lub ciągnie się pasmami po rzecznych mieliznach. To coś, co go spowiło od stóp do głów suchym, wyczuwalnym objęciem, było wyłączną własnością tej wyspy. Począł więc oddychać zapachem mgły, wyczuwać jej smak na wargach i jej dotyk na skórze, aby na

zawsze zapamiętać i móc potem, kiedy już wróci do swego kraju, podyktować opis, wraz z tysiącem innych spostrzeżeń, królewskiemu pisarzowi.

Jest sucha, bo na skórze nie zostaje po niej nawet ślad wilgoci. Wydaje się, że jest obłokiem ciemnego kurzu rozartego jak najcieńsza mąka. Jej zapach nie jest wonią mgły ani też dymu - jest uczuciem, że poprzez nos do płuc wsypuje się gładka, sypka substancja.

Posuwał się wśród mgły długim i lekkim, a zarazem pełnym ostrożnego napięcia krokiem i, choć nie widział przed sobą dalej, niż sięgnąć można ręką, był pewien, że idzie w kierunku najważniejszym ze wszystkich możliwych. Przelotnym spojrzeniem musnął ziemię i w tejże chwili stanął jak wryty. Znalazł się na czymś, co było najbardziej podobne do ostrego grzbietu w górach, otoczonego z dwóch stron przepaściami. Ale niezmiennie proste krawędzie mówiły, że jest to dzieło rąk ludzkich, a nie twór przyrody.

Postanowił usunąć się jak najprędzej z wąskiego przesmyku. Ziemia, choć niewidoczna, nie mogła być daleko. Położył się na brzuchu i zwiesił nogi poza brzeg płyty. Zawisł w powietrzu, utrzymując ciężar ciała na samych palcach. Wyprężył się i wyciągnął jak struna, ale stopy nie dotknęły ziemi. W dole kłębiła się mgła. Stopy kołysały się w pustce, poczuł zmęczenie naprężonych palców. Pospiesznie wciągnął się na płytę. Była tylko jedna droga, naprzód.

Powietrzny chodnik zwężał się nieustannie i był już niewiele szerszy od pnia obalonego wiatrem drzewa. Płynące wciąż przed oczami smugi mgły sprawiały, że Awaru mimo woli schodził z linii prostej i raz po raz dostrzegał, że stąpa po samej krawędzi.

Wtem pewna i niewzruszona skała drgnęła pod ciężarem stóp i obsunęła się nieco. Znieruchomiła, jakby zawahawszy się, i ze złowieszczym szurgotem poczęła pochylać się niezmiernie powolnym, ale stałym już i nieubłagalnym ruchem.

„Koniec!” - zrozumiał Awaru. Padł na kolana, aby ucześcić się za wszelką cenę najdrobniejszej choćby nierówności, bronić się do ostatka przed strąceniem. Ale na

chyłącym się głazie zagięte kurczowo palce wytrwały zaledwie chwilę, a potem zaczęły się obsuwać, aż zbieleły z wysiłku zeskoczyły z krawędzi i Awaru runął w dół. Przemknął wśród mgły rozmazanej w brudne pasma i zanim rosnący pęd zdołał zaświstać mu koło uszu, zatrzymał się z uczuciem, że to mgła zacieśniła się wokół ciała tak bardzo, iż powstrzymała pęd. Czekał teraz runięcia z góry głazu, który przygniecie go i zmiażdży. Chciał odskoczyć, ale szarpnął się tylko bezsilnie i nie mogąc ruszyć z miejsca zasłonił głowę rękami. We mgle, która wisiała nad nim jak pułap niskich chmur, rozległ się kamienny chrobot. Wówczas Awaru pojął, że stamtąd nic mu już nie grozi. Kamienny most-pułapka strącił intruza, a uchylny głaz wrócił do równowagi, zamknął się i spoił w gotowości do połknięcia następnej ofiary.

Awaru tkwił zanurzony po brzuch w grząskim bagnie. Stopy osuwały się, lepka maź wchłaniała je i wsysała. Awaru znał tę śmierć. W podmokłych bajorach dzungli zwierzęta szarpały się bezsilnie, dopóki błoto nie zalało im nozdrzy. Człowiek, który wpadał do bagna, mógł mieć cień nadziei. Zdarzały się twarde kępy, a czasem pnącza zwisające do bajora.

Tutaj błoto było przeraźliwie puste i gładkie, nie osiadł na nim nawet listek, nie było ani jednej bańki, która błyszczałaby na powierzchni. W pobliżu majaczył zarys cienkiej kolumny wyrastającej wprost z podłoża. Tylko ona mogła dać jakieś oparcie. W jej stronę spróbował popęznąć Awaru. Unosił nogi, przebierał nimi w miejscu, odpychał błoto dłońmi i coraz jaśniej pojmował, że tym sposobem pograża się tylko głębiej. Błoto pełzało po skórze, ucisk na piersi zamienił się w dławiące objęcie. Myśli kłębiły się w głowie Awaru: wołać o pomoc, krzyczeć? Milczał i szarpał się rozpaczliwie, wiedząc, że jest to najgorsze, co można uczynić.

Każde poruszenie rozlegało się tłustym mlaśnięciem półpłynnej masy. Szamotał się, tracił siły, pozbywał się resztek nadziei. Znieruchomiał na koniec. Leżał na boku, już tylko głowę i jedno ramię mając na powierzchni.

Tuż przed jego oczami na brunatną powierzchnię bagniska wyłoniła się jaskrawa plamka. Pojął, że widzi ptasie piórko. Było złamane i zmięte, ale choć wyłoniło się z głębin, brunatna maź nie

zdołała do niego przylgnąć. Było jaskrawoczerwone, a tuż obok piórka powierzchnia błota zabarwiła się plamkami czerwonej farby.

Z przeraźliwą jasnością pojął Awaru, co to oznacza. Cała droga, jaką przebył od chwili wylądowania na wyspie, poprzez kamienną pułapkę aż do grzęzawiska, była zapewne zwykłą drogą wszystkich obcych, którzy zjawiali się na tym łądzie jako wrogowie. I tutaj, pod jego stopami, leżały na dnie błota ciała wojowników z ustami zalepionymi płynną masą, wojowników uzbrojonych w barwione pióropusze, zaciskających martwe palce na uchwytach tarcz i drzewcach oszczepów. Zrozumiał to i porzucił wszelką nadzieję, bowiem i on należał już do owego oddziału martwych. Milcząca, głucha śmierć skradała mu się do ust.

Wówczas koniuszki palców zetknęły się z czymś na powierzchni błota. Cofnął palce w pierwszej chwili, ale zaraz znów je wyprostował. Objęły coś twardego, co mocno tkwiło na swoim miejscu. Uczuł w dłoni chropowatą powierzchnię korzenia czy gałęzi, pociągnął

ku sobie, nie ustąpiła. Z ogromnym wysiłkiem wydobył z błota drugą rękę i złapawszy drewno, jął ciągnąć z całych sił. Wydobył ciało z grzęzawiska i chwytając coraz dalej włókł swój ogromny ciężar. Błoto ustąpiło, wyrwał z niego nogi, czuł jego przesuwanie się, odpływanie do tyłu. Pełzał coraz szybciej, na oślep, z twarzą zanurzoną w topieli, łykając powietrze razem z błotem. Coraz niecierpliwiej szukał przed sobą zbawczego uchwytu, podciągał się, aż wreszcie kolana dotknęły twardego gruntu, łokcie oparły się na suchej ziemi. Upadł i leżał długo, bez żadnej myśli. Ukląkł, kiedy błoto na jego ciele zmieniło się już w czerwoną skorupę, która pod dotknięciem kruszyła się i osypywała. Nadśłuchiwał. Dokoła panował spokój większy niż w jakimkolwiek lesie na starym lądzie. Cofnął się do brzegu lasu i w miejscu, gdzie poprzednio wynurzył się z błota, wyrzał spomiędzy gałęzi. Niebieskie światło wypełniło mu oczy. Nie było już ani śladu mgły, a promienie słońca rysowały obraz krainy nadbrzeżnej ostro, liniami twardych cieni, plamami jaskrawych kolorów. Grzęzawisko ledwie zachowało jeszcze ślady pełzania.

Wilgotna

masa zapełniła wgłębienia. Obok nich biegła czarna pręga korzenia, który wysunawszy się z lasu, przyniósł ratunek Awaru.

Korzeń, miejscami zatopiony pod ciężarem ludzkiego ciała, gdzie indziej wychylał się z błota podobny do węża, który zastygł bez ruchu w grząskiej kąpieli, wyżej zaś...

Ponad bagno, które w blasku dnia przybiera kolor najwyższej czerwieni, wyrastają niezliczone słupy. Ustawione w szeregi, biegną w poprzek topieliska.

Każdy szereg słupów połączony jest górami leżącymi blokami, co tworzy wiszące pomosty. Wybiegają one z nadmorskiej grobli i dążą ponad taflą błota, zwężając się nieustannie ku jej drugiemu brzegowi, w stronę ściany lasu, której nie dosięgają.

Słupy i leżące na nich pomosty wykonano z kamienia ociosanego niezwykle dokładnie i tak umiejętnie łączonego, iż nie pozostawiło to żadnych widocznych śladów, przeciwnie, całość wydaje się być wykuta z jednego bloku.

Awaru cofnął się w cień lasu. Osłonięty ze wszystkich stron poczuł się tutaj bezpiecznie. Odpoczywał przed marszem w głąb lądu.

Pragnieniem Awaru było teraz oddalić się jak najprędzej od miejsca lądowania. Uwierzył, iż wyspiarze dotąd go nie odkryli.

Zagłębił się pomiędzy drzewa. Były pozbawione liści i zielonych pędów, widział jedynie brunatną korę, nagie pnie i konary. Kiedy zwisające nisko gałęzie przegrodziły mu drogę, spróbował odchylić je dłońmi. Ale gałęzie nie dały się rozsunąć ani rozerwać.

Las przestał być sprzymierzeńcem, wstrzymywał i opóźniał pochód. Awaru zbadał dokładniej otoczenie. Potem wspiał się po gałęziach na znaczną wysokość. Nie miał już wątpliwości.

Jest to las złożony z jednego drzewa. Wiele pni wyrasta z ziemi i każdy dzieli się na liczne gałęzie, ale każda z odrośli łączy się z inną, wrastając do niej tak, jakby tworzyły jedną całość. Żaden konar nie ma tu swojego końca, gdyż z obu stron wrasta do sąsiednich pni, cieńsze zaś gałęzie rozpięte są pomiędzy dwoma konarami. Aby wyrwać z ziemi jedno drzewo, trzeba by wyrwać cały las powiązany w nierozłączną całość.

Stał wysoko nad ziemią, na grubym konarze. Spostrzegł, że nikłe światło rozproszone w gęstwinie pochodzi z nielicznych otworów, jakby studzien w nieprzejrzystym sklepieniu lasu. Wlewały się tamtędy smugi błękitnego światła. Uchem złowił stłumione nawoływania ptaków. Piął się po korze gładkiej i lśniącej. Na koniec dotknął głową liści. Leżały poziomo, zachodząc jeden na drugi. Były mięsiste, o śliskiej powierzchni i dostatecznie długie, aby każdym mógł nakryć się człowiek.

Awaru rozsunął grube płaty, przecisnął pomiędzy nimi ciało i zdołał wystawić głowę. Morze światła zalało mu oczy, uszy wypełnił świergot. Wyczołgał się z gęstwiny i leżał na warstwie liści, które utrzymywały go niczym wiszący hamak. U góry była kopuła nieba z białą żrenicą słońca, dokoła rozciągało się lekko sfalowane sklepienie lasu.

Gromadki drobnych ptaków skupiały się wokół leżących tu i ówdzie żółtawych kul. Z największą ostrożnością popęzł po liściach i znalazł wielki jajowaty owoc uczepiony włosatej łodygi. Na żółtej łupinie rysowała się siateczka przejrzystych żyłek i różnobarwne plamki. Łupina była podziobana przez ptaki, w wyjedzonych otworach ukazywał się biały miąższ pachnący mdło i słodko.

Trzymając owoc oburącz, Awaru odgryzł kilka płatów żółtej skórki, wypluł je, a potem zagłębił zęby w mięsistym wnętrzu, które trysnęło sokiem. Owoc był miękki, ale spoisty, przesycony płynem o zapachu, który przypominał zapach miodu skalnych os. W głębi ukazały się czarne pestki. Zdołał zjeść zaledwie połowę, gdy poczuł, że jest nasycony. Znajdował się już na skraju lasu. Przeszedł go w poprzek od błotnej topieli i dotarł do drugiego brzegu. W dole leżała ziemia. Patrzył na nią z zawrotnej wysokości. Pokrywały ją chwiejące się

trawy, a wśród ich srebrzystych miotel przepływał okryty płową sierścią grzbiet zwierzęcia.

Dalej, ponad łąkami traw, wzrok sięgał do środka wyspy. Awaru zapragnął w tej chwili zmienić się w ptaka i popłynąć na fali wiatru, aby ptasim wzrokiem wysledzić i przeniknąć wszystkie zagadki, tajemnice i niebezpieczeństwa.

Kraj leżał w dole cichy i spokojny, jakby znieruchomiały w lenistwie południa. Gorące powietrze drgało nad łąkami traw. Faliste pagórki biegnęły w dal wysnuwając się jedne spoza drugich, podobne do przestworu spokojnego morza. Nigdzie nie było śladu osady. Żadna smuga dymu nie wznosiła się ku niebu. Tylko tu i ówdzie ciemniały grupy skał o zaokrąglonych kształtach. Horyzont zamykały góry. Tkwiły tam jak niebieska ściana i niepodobna było określić, czy są odległe o dzień, dwa czy też pięć dni drogi.

Na koniec dostrzegł, że poprzez płaszczyzny i falujące pagórki biegnie jakaś ciemna linia, a za nią, w inną stronę, druga. Poprowadził je wzrokiem i pojął, że są to odnogi tego samego lasu, wyciągnięte jak ramiona ośmiornicy, okrywające ziemię siecią o ogromnych okach. Ucieszył się tym odkryciem, dotąd las był jedynym jego sprzymierzeńcem, obrońcą i karmicielem. Zaszył się w gąszcz i leżąc na splotach konarów usnął.

Zbudził się o zachodzie słońca. Pasma obłoków na zachodzie płonęły długo, jakby oddając cały blask wchłonięty w ciągu dnia. Awaru starł z siebie ostatnie resztki czerwonego błota, otrzepał dłonie i kiedy w szarości zmierzchu zapaliła się pierwsza gwiazda, rozpoczął swój daleki marsz. Szedł wzdłuż odnogi lasu sięgającej w głąb kraju. Prowadziła go poprzez faliste pagórki i długie stoki o łagodnym nachyleniu.

Odpoczywał siedząc na ziemi, nadsłuchując, czy nie rozlegnie się stąpanie człowieka lub zwierzęcia, ale nic nie zakłócało spokoju nocy, droga wciąż była otwarta. Tak nadszedł świt poprzedzony przebudzeniem się ptaków. Zaśpiewały w koronie lasu i przywołały pierwszy brzask. Awaru nie ustawał w marszu, dopóki purpurowy skrawek chłodnego słońca nie ukazał się na niebie.

Wtedy też zobaczył pierwszego na wyspie człowieka. Tamten szedł grzbietem odległego pagórka powolnym i spokojnym krokiem, całą smukłą postacią rysując się na tle nieba. Przesunął się przed nisko zwisającą tarczą słońca i na krótką chwilę jego czarna sylwetka otoczona promieniami wydłużyła się niezmiernie i zachwiała jak falująca łodyga wodnej rośliny. Potem słońce ruszyło wyżej, a człowiek szedł między trawami. Obok niego ukazało się czworonożne zwierzę, które podążało w tę samą stronę, wyprzedzając człowieka, to znów zawracając, aby biec przy jego nodze.

Awaru przetrwał dzień jak poprzednio, ułożywszy się wśród gałęzi. Ruszył w drogę po zupełnym zapadnięciu ciemności. Koło północy złowił uchem szmer wody. Mogła to być niewielka rzeczka lub strumień, w powietrzu nie było zapachu wilgoci. Wysuniętą nogą badał, czy grunt nie opada. Teren jednak, przeciwnie, jakby lekko się wznosił. Do dźwięcznych plusków wody wmieszały się postukiwania i szmery, jakby szurgot gałęzi, która płynąc popychana prądem, trze o nadbrzeżne kamienie.

Nic nie widząc przed sobą, kierowany tylko dźwiękami, Awaru napotkał twardą ścianę. Wiódł po niej palcami od samej ziemi, słysząc tuż obok głowy hałas wody. Ściana okazała się niskim murem. Z drugiej jego strony palce zanurzyły się w płynącej warstwie wodzie.

Spędził tu część nocy. W nikłym świetle gwiazd, zdany głównie na dotyk, słuch i własne domysły, zbadał koryto strumienia.

Woda płynie pomiędzy dwoma murami. Są one rozstawione na odległość wielkiego

kroku. Dno jest całkowicie płaskie i gładkie, pozbawione mułu i piasku oraz żwiru. Nie pokrywają go żadne wodorosty. Strumień jest czysty, ma smak i zapach dobrej do picia wody z górskich źródeł. Źródło jest jednak odległe, gdyż nie ma już w sobie chłodu, jaki wynosi z podziemi.

Strumieniem spływają naczynia drewniane, podobne do czworokątnych płaskich łodzi. Na każdym z nich znajduje się mały kopiec piasku morskiego lub zawiniątko opakowane w błonę zwierzęcą czy może pęcherze rybie. Za nim z kolei płyną niewielkie łódki, na których poukładane są równo tykwy różnych kształtów i wielkości, wykonane z kamienia lub kryształu górskiego ogładzonego i wydrążonego w środku do niezwyklej cienkości. Stukając o siebie, wydają dźwięczny odgłos daleko rozchodzący się w nocy.

Potem zjawiają się zanurzone w wodzie owoce, te same, które wydaje las. Wypełniają koryto strumienia od brzegu i sięgają dna.

Awaru przekroczył nurt i ruszył w swoją drogę. Od czasu spotkania z wodą upłynęła duża część nocy. Gwiazdy poczęły gasnąć, niebo poczerwieniało na wschodzie. A kiedy słońce zalało już ziemię, Awaru znalazł się w zaludnionej okolicy. Usłyszał przed sobą głosy rozmawiających ludzi i okrzyki dzieci.

Słońce przenikało w gęstwinę, wtykając między gałęzie białe palce. Dotykały ciała Awaru i białymi plamkami przesuwwały się po skórze. Awaru pełen był wahań. Zbliżała się chwila, kiedy miał stanąć oko w oko z wyspiarzami. W półsennym majaczeniu ukazywała mu się twarz starego Kamau, od którego odebrał wszystkie nauki, zanim był gotów do wyruszenia na wyspę, oczy starca niewidoczne pod obwisłymi powiekami, policzki popielate ze starości i pozbawione zębów usta, z których sączy się powolny szept: „Pójdiesz między ludzi, Awaru. Im prędzej to zrobisz, tym lepiej. Jeśli zbyt długo pozostaniesz w ukryciu, będzie ci coraz trudniej wyjść i zacząć rozmawiać. Zrób to, zanim samotność i ciągły lęk nie skłonią cię do nieobliczalnych czynów. Potem dowiesz się, w czym leży ich siła, jak są uzbrojeni, dotrzesz w pobliże władcy, postarasz się o rozmowę z nim, aby dowiedzieć się, jakim jest przeciwnikiem, godnym czy też lęklwym i głupim, i jacy są jego ludzie...”

Jakiś ruch wszczął się na wysokich piętrach lasu. Stworzenie okryte gęstym futrem opuszczało się ku ziemi z wielką szybkością, łapą przyciskając do siebie kilka żółtych owoców. Skoczyło wreszcie pomiędzy trawy i biegnąc znikło.

Awaru wynurzył się z cienia i zapadł w kępę wiotkich źdźbeł.

Zobaczył mężczyzn i kobiety, chłopców i dziewczęta, ludzi siedzących w cieniu pod skałami i innych, którzy pojedynczo, po dwóch lub kilku, przechodzili skalnymi przesmykami mówiąc do siebie i rozglądając się dokoła. Niektórzy wstępowali na bloki skalne i pnać się po ich obłych cielskach, wchodzili aż na samą górę. Widział w ich rękach instrumenty, długie, cienkie piszczałki, na których przygrywali z cicha, wydając głębokie, miękkie tony. Dzieci biegały gromadkami, hałasując i nawołując owe czworonożne zwierzęta, które posłusznie zbliżały się w podskokach i brały udział w zabawie. Kamau nauczał, że trzeba unikać pojedynczych ludzi, u których najłatwiej wzbudzić podejrzenie. Polecał wmieszać się do najliczniejszej gromady w dużej wsi lub osadzie, gdzie pojawienie się przybysza ujdzie uwagi. Ale to, co widział Awaru, nie było w niczym podobne do porannego życia budzącego się osiedla.

Nic innego nie pozostało, jak wstać, wynurzyć się z traw i spokojnym krokiem podejść do najbliższej grupy głazów. Była to rzecz najprostsza w świecie i najtrudniejsza. Awaru podnosił się już i znowu przypadał do ziemi. „Nie zrobię tego - pomyślał wreszcie - wolę zaczekać do nocy”.

Powstał. Wynurzył się na otwartą przestrzeń i natychmiast począł tego żałować.

Drewnianym krokiem ruszył przed siebie. Nic nie widział, nie śmiał spojrzeć w bok, dotarł do najbliższej skały i skrył się za nią. Oparty o głaz, zwrócił ku niebu twarz z zamkniętymi oczami i ciężko dysząc odpoczywał jak po wielkim wysiłku. Gdy serce uspokoiło się, ruszył przesmykiem pomiędzy dwiema skałami, minął zakręt i znalazł się po drugiej stronie, na trawiastym siodle, za którym opodal spiętrzała się inna grupa głazów.

Położył się na brzuchu, na gładkiej płycie w cieniu skały i oparłszy głowę na ramieniu udawał śpiącego. Spod przymkniętych powiek obejrzał najbliższe otoczenie. W odległości dziesięciu kroków siedziała na trawie kobieta. Była zwrócona do Awaru bokiem. Kiedy pojawił się, spojrzała na niego przełomie. Na rękę trzymała niemowlę

karmiąc je piersią. Palcami drugiej ręki zdierała łupinę z leżącego na ziemi żółtego owocu. Dalej, na środku trawiastego siodła, spoczywał głaz podobny do stołu. Zza niego wystawały nogi i dobiegały niewyraźne odgłosy rozmowy.

Obok Awaru rozległ się szelest, przez szparę w powiekach ujrzał okryte sierścią łapy zwierzęcia. Leżał bez drgnienia, a zwierzę schyliwszy pysk, musnęło nosem jego ramię i długo węszyło. „Już wie! - myślał Awaru. - Wie, że jestem obcy. Jeśli natychmiast wstanę, zdążę skryć się w lesie, zanim rozpoczną pogoń”. Ale nie śmiał poruszyć się, dopóki słyszał nad sobą poświsztujący oddech. Zwierzę uniosło łeb i odeszło kilka kroków. Nie zwracając już więcej uwagi na Awaru, usiadło podpierając się przednimi łapami.

Awaru poczuł, jak wraca mu pewność siebie. Leniwym ruchem przewrócił się na plecy, przeciągnął. Pragnął teraz, aby wszyscy patrzyli w tę stronę, przekonali się, że jest jednym z nich.

Wyrwał kępkę trawy i rzucił ją w siedzące opodal zwierzę, świsnął przy tym przez zęby. Zwierzę obróciło łeb, przez chwilę wpatrywało się w Awaru coraz to senniejszym wzrokiem, aż ziewnąwszy szeroko, wyciągnęło się w trawie.

Zza głazu leżącego na trawiastym siodle, podnieśli się dwaj mężczyźni. Obeszli głaz dokoła i znowu usiedli w wąskim pasku cienia, Miał ich teraz przed sobą, wystarczyło otworzyć usta, aby rozpocząć rozmowę.

Starszy z mężczyzn miał surowy wyraz twarzy. Wąski, prosty nos, a z obu stron dwie bruzdy odcinające policzki i sięgające do kąćków ust. Również czoło przecinały pionowe zmarszczki zbiegające się u nasady nosa. Była to twarz sucha, ciemna, jak wyrzeźbiona z twardego drewna. Młodszy mówił z ożywieniem, przewracając białkami i unosząc rozcapierzone dłonie.

- ...nie miało to żadnego wpływu na bieg doświadczenia, ile sypałem substancji. Za każdym razem następował rozkład i tylko szybkość była zależna od siły iskry. Także ilość światła zdaje się mieć znaczenie. Gotów jestem przeprowadzić wszystko powtórnie, jeżeli zechcesz udać się ze mną do Tees.

„Tees” - powtórzył w myśli Awaru.

Na trawie przed sobą zobaczył cień kogoś, kto bezszelestnie zbliżył się od tyłu. Na ramieniu uczył dotknięcie dłoni. Zamknął oczy, tkwił przez chwilę nieruchomo, wsłuchiwał się w cichutkie dzwonięcie w uszach i powolny puls, jakim biły skronie, a potem, wciąż jeszcze nie odwracając głowy, podparł się dłońmi i zwol-

nionymi ruchami, w których było tylko lenistwo i senność, powstał z ziemi. Miał w sobie chłód i spokój, uśmiechnął się kąćkami ust i dokonał półobrotu.

Miał przed sobą twarz mężczyzny patrzącego weń z natężeniem. Zdawało się, że w tej twarzy istnieją tylko oczy. Cofnięte pod okap wypukłego czoła, skryte pod potężnymi łukami brwi, wpadnięte w głąb czaszki. Płonęły i przewiercały Awaru na wylot.

- Mógłbym - przemówił mężczyzna niskim, płynącym z głębi piersi głosem - mógłbym ci pomóc.

Awaru uniósł brwi, aby okazać zdziwienie. Mężczyzna dotknął jego piersi wyciągniętym palcem.

- Jak się nazywasz? - spytał.

„Pierwsze pytanie - pomyślał Awaru - nie jest trudne, to jeszcze zostało przewidziane...”

- Shanti - powiedział głośno i raz jeszcze uśmiechnął się. - A ty?

- zapytał.

Za plecami mężczyzny piętrzyły się głązy. Wąski przesmyk pomiędzy nimi nie dawał pewności ucieczki. W prawo otwarte zbocze prowadziło do ściany lasu. Wzdłuż niej kroczył człowiek, który oddalał się z każdą chwilą.

- Mniejsza o imię, jestem loki - rzucił krótko mężczyzna.

- Posłuchaj mnie teraz, Shanti - jego oczy patrzyły bez zmrużenia.

Awaru pochylił lekko głowę, uważnie słuchając uczynił mały krok skłaniając mężczyznę do postępowania obok. Oddalali się od dwóch siedzących pod kamieniem wyspiarzy i kobiety karmiącej dziecko.

- Skoro już wiesz, kim jestem - ciągnął mężczyzna - będziesz próbował uciec ode mnie, ale...

„Jest bardzo źle! - powiedział sobie Awaru. - Loki to nie imię, a ja nie wyobrażam sobie nawet, co to znaczy, może nazwa strażnika lub wojownika? Zdawało mi się, że znam ich język”.

Przygryzł wargę, rzucił ukośne spojrzenie mężczyźnie. Loki patrzył teraz w dal, jego oczy jakby przygasły. Z rysów twarzy, o szerokim nosie, szerokich ustach i płaskim podbródku, Awaru próbował coś wyczytać, ale nieruchoma, nie zdradzała żadnych uczuć. Nie znalazł w niej wrogości, groźby ani też czujności lub choćby ciekawości. W tej twarzy, martwej jak maska, żyły tylko oczy.

- Obserwuję cię już dłuższy czas - podjął mężczyzna.

Las był jeszcze za daleko, aby rzucić się do ucieczki nie zwracając na siebie uwagi zbyt wielu ludzi.

- I odkryłem - mówił loki - że jest coś dziwnego w twoim zachowaniu się. Nie zaprzeczaj

- dotknął przelotnie jego ramienia - z pewnością zachowujesz się nienaturalnie.

Awaru słuchał uważnie, krocząc z wolna w pobliże lasu. Schylił się, aby zerwać wyrosnięte źdźbło trawy i rzucić przy tym szybkie spojrzenie do tyłu. Nikt nie szedł za nimi.

- Sądzę - rzekł loki - że zaraz zechcesz mnie opuścić.

- Ja? - udał zdziwienie Awaru. Przestał się już uśmiechać, włożył w zęby zerwaną trawkę, zmrużył oczy. - Powiedz mi - zwrócił się nagle do loki - powiedz mi, dlaczego uważasz, że zachowuję się dziwnie?

- To proste - odparł loki - najpierw kryjesz się w trawach, potem bez żadnej obawy wychodzisz z nich. Rozglądasz się z taką ciekawością, jakbyś pierwszy raz otworzył oczy i ujrzał świat. A za chwilę przybierasz wyraz całkowitej obojętności.

Dwoje dzieci przecięło im drogę. Chłopiec i dziewczynka przebiegli w podskokach, trzymając za futro zwierzę biegnące pomiędzy nimi i wymachujące ogonem. Mężczyzna odprowadził ich wzrokiem.

- Nie masz także - powiedział - swojego sheri.

- Sheri? - zdziwił się Awaru. - Nie mam - dodał zaraz obojętnym tonem. To było też słowo, którego znaczenia nie znał.

- Tym bardziej właśnie jest w tobie coś dziwnego - rzekł loki - i, jeżeli pozwolisz, zadam

ci kilka pytań.

„Jednak - pomyślał Awaru - nie Wszystko stracone. Skoro chce pytać, to znaczy, że nie jest pewien podejrzeń. Spróbuję - postanowił - spróbuję mu odpowiadać, bo na ucieczkę jest jeszcze trochę czasu". Ogarnął spojrzeniem postać mężczyzny, dostrzegł jego zapadniętą pierś, chude ręce, cienkie nogi i kolor skóry świadczący o podeszłym wieku. Uspokoił się, to nie był przeciwnik zdolny go zatrzymać. Ale wtedy przypomniał sobie o tajemniczych

sposobach używanych przez wyspiarzy w walce, sposobach, którym nikt się nie oparł. Ucieczka mogła być tylko ostatecznością.

- Spróbuję - odpowiedział - wysłuchać twoich pytań, loki.
- Czuję, że się zgodzisz - rzekł loki. - Gdy dowiem się czegoś o tobie, będę mógł ci pomóc...

„W czym? - zastanowił się Awaru. - Czyżby był zdrajcą, który chce pomóc obcemu?" Usiedli na niewysokim pagórku. Awaru nie mogąc znieść spojrzenia mężczyzny patrzył w dal.

- Czy unikasz kogoś? - spytał mężczyzna.
- Kogo mógłbym unikać? - Awaru uśmiechnął się.
- Może wszystkich, może szukasz samotności?
- Samotności? Nie - odparł Awaru z wahaniem, jakby po głębokim zastanowieniu.
- Czy masz bóle?

Awaru podniósł brwi, coś zaświtało mu w głowie. Dziwny mężczyzna mógł być po prostu lekarzem.

- Powiedz mi, Shanti - loki przyciszył głos i pochylił się do ucha Awaru - powiedz mi, czy uważasz, że jesteś zupełnie zdrow na umyśle?

„Więc jednak, lekarz!" - powiedział sobie Awaru. Jął się zastanawiać, jak zakończyć rozmowę. Pytania były zawsze niebezpieczne, nawet te najbardziej niewinne, każde z nich mogło odstąpić niewiedzę Awaru i wzbudzić podejrzenia.

- Czy odczuwasz niechęć do życia? A może wszystko jest ci obojętne? - spytał się pytanie. - Masz jakieś niepowodzenia?
- Nie, nie, nie - odpowiadał Awaru.
- A może miewasz przywidzenia, może dręczą cię złudzenia słuchu lub wzroku? Może sny, które nie dają ci spać?
- Właśnie! - podchwycił Awaru, bo wydało mu się, że o snach można mówić bezpiecznie.
- Sny, mam je każdej nocy, ale nie budzę się z tego powodu...

To mówiąc podniósł się, a wraz z nim zerwał się z pagórka mężczyzna. Zaczęli iść z powrotem do skał, pod którymi grupki wyspiarzy szukały cienia. „Wspnę się na skałę - myślał Awaru - na którą on nie zdoła wejść za mną, albo położę się udając, że usnąłem".

- Mów mi o snach - powtarzał mężczyzna. - Czy śniesz czasami, że unosisz się w powietrzu?
- Oczywiście - odparł Awaru.
- Jesteś wówczas ptakiem czy też sobą, uniesionym w przestworza?
- Zdaje mi się, że sobą - mówił Awaru. - Lecę ponad ziemią, wokół jest ciemno,

rozpościeram ręce, aby dać się unosić podmuchom wiatru, i nagle doznaję wrażenia, że to nie powietrze, ale woda, w której unoszę się jak ryba nad dalekim dnem...

Zbliżyli się do skał. Awaru urwał, rozglądał się za miejscem, gdzie można by się zaszyć. Mężczyzna, jakby przeczuwając zamierzenia, chwycił go za rękę i zacisnął palce podobne do szponów.

- Mów! - rozkazał. - Dlaczego przerwałeś? Muszę wiedzieć, jaka ryba?

- Proszę cię - rzekł Awaru - zostaw mnie, opowiem to innym razem.

- Teraz! - nalegał mężczyzna. Jego oczy rozpały się jak żagwie i nie tłumili ich nawet blask południa. - Chcę wiedzieć teraz!

- Rekin albo... - zastanawiał się Awaru próbując odejść dalej.

- Rekin - powtórzył mężczyzna.

Postępując za Awaru nie zważał pod nogi, potknął się i przewrócił. Zanim zdołał się podnieść, uwolniony Awaru wsunął się za skałę i szybko obszedł ją dokoła. Tam przystanął szukając kryjówki, a kiedy rozglądał się, spostrzegł kroczącego w przeciwną stronę niskiego człowieka, którego twarz wydała mu się znajoma. Przez mgnienie oka zatrzymał na niej wzrok, wtedy okazało się, że ów człowiek również przystanął na jego widok.

Zza skały wybiegł loki i przypadł do Awaru.

- Jaka ryba - pytał natarczywie - mów, bo najważniejsze ze wszystkiego jest wiedzieć, jaka ryba!

- Rekin! - rzucił krótko Awaru.

- Więc powiedz mi teraz... - zaczął mężczyzna, ale nie dokończył. Niski człowiek o twarzy, która wydała się znajoma Awaru, podszedł i położył mu dłoń na piersi.

- Teraz odejdz, loki - powiedział głosem, który zabrzmiał

twardo i stanowczo. - Oddal się i zostaw nas, kiedy będziemy rozmawiać. Zwrócił się do Awaru i ująwszy go pod rękę, pociągnął za sobą.

- Niezwykle spotkanie - rzekł przyciszonym głosem, w którym zabrzmiały tony drwiny i nieprzyjaźni. - Coś niepojętego, Awaru na wyspie!

- Mylisz się - rzekł Awaru - jestem Shanti i nie wiem, o czym mówisz.

- Nie trać czasu, Awaru - rzekł człowiek nachylając się ku niemu. - Niepodobna uwierzyć, abyś mnie nie poznawał - przysunął swą twarz uformowaną, zdawało się, z powęzłonych korzeni, których sploty utworzyły wypukłe łuki brwiowe, skręcony nos, krzywe usta i podbródek sterczący niby narośl, przecięty ukośną szramą podobną do zabliznionego cięcia toporem na drewnie.

- Wanyangeri? - spytał Awaru i, mimo że plecy paliło mu stojące w zenicie słońce, poczuł, jak przebiega je dreszcz.

Pojawienie się Wanyangeri było jak przybycie ducha z innego świata. Przynosił ze sobą tchnienie starego ładu, wywoływał cienie innych twarzy i innych spraw, które już zdawały się Awaru odległe, jak gdyby nigdy nie istniały.

Gdy rządy nad plemieniem obejmował ojciec Awaru, sprzeciwił się temu jeden z rodów i podjął podstępna walkę o obalenie władcy. Spisek zmierzający do otrucia króla i wycięcia straży przybocznej nie powiódł się. Jego przywódca, Wanyangeri, ujęty, miał być sądzony surowo, lecz z pomocą rodziny zdołał umknąć. Nie mogąc znaleźć innego odwetu, przeszedł na stronę wrogiego plemienia. Odtąd niewiele o nim słyszano, mówiono nawet, iż ów zacięty wróg zginął.

Wanyangeri kucnął obok Awaru. Zaszli się w trawy, z których wystawały tylko ich głowy. Słońce minęło na swojej drodze wierzchołek niebios i jęło opuszczać się nieznacznie, nic jeszcze nie tracąc ze swego blasku i żaru.

- Przybyliśmy na wyspę - mówił Wanyangeri - obaj w tym samym celu i nikomu więcej się to nie udało. Ciebie wysłało jedno plemię, mnie drugie, ale tutaj jest nas dwóch tylko przeciw wyspiarzom. Chcę, abys poszedł ze mną...

„Muszę zapomnieć o historiach ze starego ładu - myślał Awaru - i muszę rozmawiać z wrogiem, bo inaczej, jak zdołałbym poznać jego zamierzenia?”

U stóp Wanyangeri leżało długoogoniaste zwierzę. Spało spoczywając w bezruchu, tylko czasem poruszyły się jego nozdrza lub zadrgały owłosione uszy.

- Psh! - syknął Wanyangeri, a wtedy zwierzę otworzyło ślepią i poderwało się na cztery łapy. Wpatrując się w oczy Wanyangeri odkryło w nich jakieś polecenie, gdyż w miejscu zawróciło i prując trawę posznurowało do lasu.

- Jestem tutaj - Wanyangeri zwrócił się znów do Awaru - znacznie dłużej od ciebie i chcę ci powiedzieć o rzeczach, które już wiem, abys uwierzył, że nie ma we mnie wrogości.

„Na to -pomyślał Awaru - na to nie możesz liczyć, Wanyangeri”. Skrzywił w uśmiechu połowę twarzy zwróconą ku tamtemu.

- Jeśli chcesz - odezwał się - powiedz mi, czym dla ludzi są te zwierzęta, które pozwalają sobie rozkazywać i są tak łagodne pomimo drapieżnego wyglądu?

- Sheri, tak się je nazywa - odparł Wanyangeri - ale wielu nadaje im jeszcze imiona.

Kiedy biegają po ziemi, podobne są do lamparta. Wyższe od niego, o smuklejszych nogach. Wspinając się na drzewo, przypominają małpę. Ich ciało jest pokryte futrem o włosie niezbyt długim, połyskliwym, gęstym, o niebieskawej barwie, bez pręg ani plam. Ogon długi jak reszta ciała. Są całkowicie oswojone i każde z nich należy do kogoś. Są na wyspie ludzie, którzy zajmują się przyuczaniem młodych sheri, pokazują im, jak rozumieć człowieka i jak wypełniać jego polecenia. Posiadanie sheri daje prawdziwą wygodę, a największa jest ta, że nie trzeba troszczyć się o pokarm, gdyż zwierzęta te na polecenie wyprawiają się do lasu i znoszą żółte owoce kalong, które są głównym pożywieniem wszystkich.

Zza dalekich pagórków nadchodzili nowi ludzie, inni odchodzili w głąb kraju, znikając w oddaleniu. Ci, którzy w południe drzemali pośród skał, teraz budzili się i zabierali do jedzenia. Inni, przepędziwszy dzień na rozmowach, kładli się w cieniu. Wiele mężczyzn i

kobiet włóczyło się bez celu, rozmawiając z dziećmi, bawiąc się ze swymi sheri, wspinając się na skały.

Spomiędzy traw wypadło zwierzę należące do Wanyangeri i dwa owoce kalong złożyło przed swoim panem. Ten wziął jeden z nich do ręki, przegryzł zębami łupinę na wąskim końcu, zdarł ją palcami i przelamawszy owoc, podał połowę Awaru, drugą zaczął jeść sam. Leżący owoc popchnął nogą ku sheri, który zaraz, z wielką zręcznością obracając owoc łapami, zdjął z niego łupinę i zatopił ostre zęby w miększym.

Awaru przyjął kalong od Wanyangeri i podniósł go do ust. Zanim dotknął owocu zębami, zawahał się przez chwilę krótką jak mgnienie oka. Oto godził się na poczęstunek z ręki wroga, a na starym lądzie oznaczało to zawsze i niezmiennie zaniechanie waśni. Lecz tutaj... Awaru czuł, że wszystko, co wyniósł stamtąd, musi być zapomniane do chwili powrotu i zanim tę myśl uświadomił sobie jasno, zanim patrzący z ukosa Wanyangeri mógł zauważyć cokolwiek, wbił zęby w mięsisty owoc spływający sokiem.

Kątem oka złowił ledwo dostrzegalny uśmiech na twarzy Wanyangeri. Pojął, iż obaj myślą to samo, tradycja musiała ustąpić.

- Kiedy zapadnie noc - powiedział Wanyangeri - ruszymy stąd. Wyspiarze nie są podejrzliwi, ale lepiej, jeśli nikt nie będzie widział, kiedy i dokąd się udamy.

Awaru odrzucił obgryzioną resztę owocu, wytarł usta odwróconą dłonią.

- Wolałbym - odezwał się - zostać jeszcze tu na miejscu. Było to jego pierwsze wejście pomiędzy wyspiarzy i zanim oswoił

się z nimi i poznał bliżej, już trzeba by ruszyć naprzeciw nowych niebezpieczeństw, nie uzbroiwszy się w doświadczenia.

- Po co zostawać? - Wanyangeri wzruszył ramionami. - Posłuchaj, powiem ci, jaki mam plan, chciałbym... - urwał i obejrzał się.

Za ich plecami, odległy o kilka kroków, klęczał loki. Podkradł się tam, pełzając na czworakach, ze wzrokiem wbitym w Awaru.

- Shanti! - syknął. - Czy z pewnością śniło ci się, że byłeś rekinem?

- Słyszałeś przecież, loki - warknął Wanyangeri, a jego powęzłona twarz skurczyła się gniewnie. - Przyszedeś podsłuchiwać!

- Nie, nie! - zaprzeczył mężczyzna, wstał z ziemi potrząsając przecząco swoją wielką głową i cofając się na cienkich nogach, patrzył wyczekująco na Awaru.

- Powtórz mu to - rzekł Wanyangeri - bo nie da nam spokoju. Tutaj - dodał szeptem, który usłyszał tylko Awaru - nie mogę go nawet dotknąć palcem, inaczej już dawno by leżał z rozbitą głową.

„Obecność Wanyangeri - myślał Awaru - jest groźniejsza niż najbardziej podejrzliwego wyspiarza. Mieć go przy sobie to jak siedzieć obok jadowitego węża, nie wiedząc, kiedy ukąsi”.

- Rekin - powiedział. - Pamiętam to dobrze.

Loki oddalił się, mówiąc coś do siebie i wymachując rękami. Wanyangeri splunął przez zęby w jego stronę.

- Życie - powiedział - byłoby niemożliwe, gdyby było tu więcej loki, a i tak wkręcają się wszędzie.

Mają imiona jak wszyscy, ale niechętnie ich używają, występują najczęściej pod

wspólnym mianem loki. Zazwyczaj są to mężczyźni, chociaż trafiają się wśród nich i kobiety. Zajmują się badaniem ludzkich myśli i duszy. W tym celu zadreczają ludzi pytaniami, których nikt poza nimi nie jest w mocy zrozumieć. Nikt im w tym nie przeszkadza, ponieważ każdy w tym kraju robi, co mu się podoba, ale też nie są lubiani i zwykłą jest rzeczą unikanie spotkania z loki. Stąd też bierze się ich natarczywość. Nad wszystkim, czego dowiedzą się, przemyślują głęboko, a potem prowadzą dysputy z innymi loki.

Cienie wydłużyły się, rozpalona kopała nieba pociemniała, słońce zsuwało się ku horyzontowi.

- Dlaczego chcesz stąd odejść? - zapytał Awaru.

- Tutaj - odparł Wanyangeri - nie dowiemy się już niczego - poruszył się niecierpliwie. - Nic się tutaj nie dzieje, to jedno z tych

miejsc, gdzie wyspiarze przybywają, aby nic nie robić. Wszystko, czyni się tu zajmują, to tylko rozmowy i zabawy. Twierdzą, że ziemia tutaj, a zwłaszcza trawa, ma własności lecznicze. Mówią, że wystarczy spędzić tu pewien czas, aby poczuć się młodszym.

Oddychają tym powietrzem - Wanyangeri wykrzywił twarz i rozdymając nozdrza kilkakrotnie odetchnął gwałtownie, potem wyrwał z ziemi pęk trawy i rzucił go w powietrze - dotykają traw, śpią na nich, a kiedy już mają tego dosyć, wracają do okolic, gdzie każdy coś się zajmuje.

O zmierzchu, gdy tylko przestała być widoczna tarcza słońca, Wanyangeri powstał, a za nim Awaru. Poszli pomiędzy skały, gdzie szybko gęstniał mrok.

- Czy będziemy szli całą noc? - spytał Awaru. Trawa ogrzewała im stopy, jak gdyby pod nią znajdowało się żywe, ciepłe ciało.

- Chodzić? - zdziwił się Wanyangeri. - Całą noc, to prawda, ale nie zrobimy ani jednego kroku, wyspiarze postarali się o to.

Awaru nie pytał więcej. Pod naciskiem stóp trawa ugięła się nie wydając najmniejszego szelestu.

W zakolu skał zebrała się gromadka ludzi. Siedzieli kręgiem, niektórzy stali za plecami siedzących. Ktoś mówił, twarze były już niewidoczne.

- Zatrzymaj się - powiedział Awaru do Wanyangeri - chcę przez chwilę posłuchać, o czym mówią.

- Szkoda czasu - odparł niechętnie Wanyangeri, ale jął kroczyć za Awaru, który zbliżył się do kręgu siedzących.

- I tak dzieje się od niepamiętnych czasów - mówił jeden z siedzących.

Jego głos rozlegał się mocno i wyraźnie. Głowę mówiącego opasywał łańcuch z jasnego metalu, spięty na czole owalną płytką, która mimo zmroku rozbłyskiwała szafirowym światłem. Podobne ozdoby dojrzał Awaru u kilku jeszcze mężczyzn. Zrazu sądził, że wysadzane są rzadkimi kamieniami, ale gdy przyjrzał się bliżej, poznał, że to przyklejone do płytki jarzące się skrzydła motyla.

- Nigdy nie byliśmy od tego wolni - ciągnął - i gdyby nie to, że już w najdawniejszym okresie naszą pierwszą myślą było stworzenie skutecznej obrony, zapewne nikt z nas nie przeżyłby do dzisiaj i całkiem inne ludy

zajmowałyby wyspę.

- Powiedz mi, Kishi - przerwał ktoś ze stojących w kręgu - czy nie ma w tym przesady, czy jest możliwe, aby jakikolwiek lud podejmował tak zażarte i nieustające, jak mówisz, napaści na ziemie nie swoje, i to bronione w sposób, który atakującym nie pozostawia najmniejszej nadziei powodzenia?

- Tak jest istotnie - podjął pierwszy głos - i co więcej...

Awaru stał w mroku, za sobą czuł milczącą obecność Wanyangeri. W ciszy okrywającej ziemię rosło pobrzękiwanie nocnych owadów.

- Co więcej - mówił wyspiarz - napadały nas i usiłują wciąż napadać plemiona, które odczuwają wobec nas śmiertelny strach. Zaledwie uważają nas za ludzi, chętnie przyjmują, że pod postacią ludzką jesteśmy demonami, które zstąpiły na świat.

Przypisują nam moce w ich rozumieniu nieczyste, władztwo nad wszystkim, co żywe i martwe, a jednak to ich nie odstrasza. Trzeba podziwiać ich odwagę. Ta nieustępliwość może w końcu okazać się groźna. My jesteśmy już zbyt pewni swej siły, oni nie mają nic do stracenia. Próbuje raz po raz i kto wie, czy kiedyś ta zaciekłość nie trafi na chwilę naszej słabości lub nieuwagi. Wtedy będziemy zgubieni. Boję się, że wyspa, która jest najbardziej niedosiężną fortecą, nie oprze się pewnego dnia nagim kijom i kamieniom młodych plemion.

Za plecami Awaru rozległ się stłumiony, chrapliwy śmiech Wanyangeri. Ruszyli, a w ciszy brzmiał jeszcze oddalający się głos mężczyzny.

Kraj przepływał niewidzialny wzdłuż szlaku, którym sunęli Awaru i Wanyangeri. Tylko po gwiazdach można było poznać mijanie czasu. Ciemność pełna była plusku i chrobotów drewna trącego o kamień. Awaru leżał w płaskiej łódce, zwiesił dłoń za jej brzeg i palce zanurzył w chłodnym prądzie. Tuż przed Awaru płynął Wanyangeri, przed nimi zaś i z tyłu ciągnął się nieskończony sznur owych łódek załadowanych nie wiadomo gdzie i nie wiadomo

dokąd płynących kamiennym korytem, podobnym do zbadanego przez Awaru poprzedniej nocy.

Zwierzę należące do Wanyangeri towarzyszyło im biegnąc. Zdawało się, że noc przyprawia je o szaleństwo. Sheri przepadał gdzieś w okolicy na długie chwile, a potem pojawiał się niespodzianie, raz z lewej, raz z prawej strony koryta, sadząc potężnymi susami, zziębnięty i zadyszany.

Wskakiwał na łódkę Wanyangeri, ochlapując go wodą, bryzgi dosięgały twarzy Awaru, a po chwili spokoju wystrzeliwał znów w ciemność, naprzeciw tajemniczym dźwiękom i zapachom nocy.

- Awaru - odezwał się Wanyangeri - nie śpisz?

- Słyszę cię - odparł Awaru.

Leżeli na sąsiednich łódkach, zwróceni ku sobie głowami. Awaru patrzył w niebo i gwiazdy, a plusk wody przynosił mu wspomnienie statku, który pod tym samym niebem, gdzieś blisko u wybrzeży wyspy, czeka dniem i nocą na jego powrót.

- Pamiętasz, co mówił ten mężczyzna? - Wanyangeri przyciągnął łódkę Awaru do swojej.

- Oni czują zgubę, już się jej boją, chociaż nie wiedzą, że jest tak blisko - zaśmiał się cicho. - Wiem już dużo, prawie wszystko, co trzeba, żeby ich zniszczyć. Reszty dowiem się lada chwila, a wtedy nie pozostanie nic innego, jak wydostać się z wyspy i znów powrócić, ale już nie samemu, lecz z całą flotyllą łodzi bojowych. Wtedy usłyszą moje bębny i poznają imię Wanyangeri. Jest tu miejsce - szeptał ochryple - o którym mam jeszcze za mało wiadomości, lecz wiem, że wystarczy je zdobyć, aby mieć zapewnione zwycięstwo. Myślę, że to siedziba ich wielkiego, parszywego czarownika. Cóż jego moc znaczy wobec siedmiu czarowników plemienia Uraka, którzy przybędą ze mną na łodziach bojowych. Nazywają to miejsce Tees.

- Tees - wyszeptał Awaru.

- Wielu wyspiarzy nie wie nawet, gdzie leży owo Tees, a ci, którzy wiedzą, niechętnie o tym mówią, zapewne ze strachu. Dotąd nie chciałem zbyt się dopytywać, aby nie wzbudzić podejrzeń, ale jeśli nie będzie innego sposobu, schwytam kogoś i zmuszę do mówienia, a ty, Awaru, będziesz mógł skrzesać ogień i pomożesz mi go trzymać.

Z czarnego nieba sypały się gwiazdy. Kreśliły białą smużkę i gasły nie dosięgając ziemi.

- Wyspiarze - Wanyangeri z pogardą rzucił się całym ciałem, aż łódka zakolysała się i uderzyła o brzeg kanału - nie mają rozumu więcej niż małpa. Nie będzie już dla nich ratunku, gdy sprowadzę tu moich ludzi. Słuchaj mnie, Awaru, sam nic nie zdziałasz, przystań do mnie, a nigdy nie będziesz tego żałował.

Awaru słuchał, ale słowa nie zapadały mu w głąb duszy. Przeciwnie, czyniły go coraz

chłodniejszym, brzmiały coraz bardziej obco.

- Czy wiesz - Wanyangeri zaczął mówić ochryłym szeptem - że to, co dostarcza im owoców, drzewo kalong, wyhodowali swoimi brudnymi sztuczkami? Czy widziałeś gdzie takie drzewo? No więc dowiedz się, że jest jedno tylko takie drzewo na całej wyspie, pokrywa ją jak ośmiornica. Każdy najędźniejszy czarownik w wioskach Uraaka potrafi przyrządzić wywar z rośliny n'dum, którego jedna kropla wlana do jeziora zabija wszystkie ryby. Trzeba by przyrządzić go bardzo dużo, wiele kotłów, a wtedy wpuścić płyn pod korę drzewa kalong, aby rozeszła się wraz z jego sokami i przeniknęła do owoców. Wtedy poczęliby ginąć w męczarniach i cały kraj napełniłby się jękami. Wszyscy! Słyszysz mnie, Awaru? Wszyscy równocześnie. Zrobimy to któregoś dnia, gdy wrócisz tu ze mną.

Wanyangeri mówił coraz prędzej, coraz bardziej niezrozumiale, aż słowa jego zamieniły się w ochrypy bełkot. Zamilkł na koniec i pozostały tylko pluski wody, postukiwania płynących łódek i szelesty nocy.

A kiedy wzeszło słońce, na drodze Awaru i Wanyangeri wyrosła podniebna przeszkoda. Stali przed nią, a nad ich głowami piętrzyła się ściana wzgórza rozciętego na pół, rozkopanego, porytego niezliczonymi terasami podobnymi do olbrzymich schodów. Na najwyższych z nich, na tle tłustej czerwieni, dostrzegł czarne poruszające się plamki. Ludzie byli teraz widoczni na wszystkich terasach, pojawiali się na krawędziach, pełzali po stopniach.

Poszli wąską ścieżką wiodącą zakosami i wznosili się z jednej terasy na drugą. Na najwyższej Wanyangeri zatrzymał się i oddychając ciężko, powiedział przerywanym głosem:

- Teraz widzisz, że to szaleńcy. Patrz, jeśli chcesz, bo mnie to nic nie obchodzi, to jedna z tych rzeczy, które robią nie wiadomo dlaczego i po co, trudzą się bez żadnego celu jak opętani. Spójrz na tych mężczyzn, pracują na równi z kobietami, zamiast spoczywać w cieniu, mówić o wojnie, drzemać na przemian, wachać dym z wonnego drzewa, pić piwo, którego nawet tu nie znają...

- Co będziemy tu robić, Wanyangeri? - spytał Awaru.

- Szukam człowieka imieniem Pushi, którego spotkałem kiedyś i który wskazał mi drogę do tego miejsca. Jeśli odnajdę go, może on zdradzi, jak dotrzeć do Tees.

Posuwając się brzegiem terasy, Awaru spojrział w dół. Na płaszczyźnie u stóp urwiska leżała nitka kanału, który ich tu przywiódł, a u jej końca rozlane jezioro. Nie było widać w nim wody, tak gęsto okryły tafelę owe małe łódki, podobne z tej wysokości do opadłego listowia, które osiadło na leśnej kałuży. U brzegów kręcili się ludzie, wiły się tam pasma ścieżek. A dalej ujrzał Awaru płaski dach tak rozległy, jakby okrywał nie jedną chatę, lecz całą wioskę. Spod niego wydobywały się kłęby dymu.

Na środku terasy pojawił się człowiek. Przerastał Awaru o głowę, a całe jego ciało było masą potężnych mięśni, poruszających się pod lśniącą od wilgoci skórą. Twarzą zwrócony do ściany, oburącz trzymał coś, co wydało się Awaru podobne do olbrzymiego węża.

Wanyangeri też zwolnił kroku. Wąż spod łokcia mężczyzny spływał na ziemię i ciągnąc się po niej zniknął za krawędzią terasy. • Nagle powietrze zadrgało, z paszczy węża

wyrwał się ostry świst, a po nim trysnął ryczący słup wody.

Wanyangeri ze skamieniałą twarzą cofnął się kilka kroków, przyłożył obie dłonie do piersi i pospiesznie ją wymawiać zakłęcia. Zamilkł po chwili, zmarszczył brwi i rzuciwszy spojrzenie Awaru, powiedział coś, czego niepodobna było zrozumieć poprzez drążący uszy hałas. Machnął ręką i postąpił znów w stronę mężczyzny. Owionęła ich chmura drżących kropelek wody zawieszonych w powietrzu.

Jest to rzecz, którą najlepiej porównać można do węża. Pusta w środku jak łodyga bambusa, ma też kolanka jak u tej rośliny, lecz tutaj jest ich tak wiele, że jedno dotyka drugiego. Nie ma jednak sztywności bambusa, jest giętka. Wytryska z niej strumień wody z niewiarygodną siłą. Skierowany w ścianę, kruszy najbardziej spoistą glinę, która pod owym dotknięciem mięknie i rozplywa się.

- Ho! - wołał do mężczyzny Wanyangeri, przyłożywszy do ust obie dłonie. - Czy znasz Pushi?

Ryk wody stłumił słowa. Mężczyzna coś odpowiadał i tylko ruchy ust były widoczne. Ziemia rozpadała się, topiła, osypywała i płynęła zabarwiając spieniony strumień na kolor czerwieni.

Wanyangeri zwrócił się do grupki ludzi widocznej opodal. Kilkoro mężczyzn i kobiet pochylało się nad korytami, którymi płynęła wypłukana ziemia, i poprawiało coś w miejscach, gdzie jedno koryto łączyło się z następnym. Spojrzeli przelotnie na przybyszów.

- Słuchaj tylko - szepnął Wanyangeri do Awaru - i sam się nie odzywaj, tak będzie najlepiej. Szukam Pushi - zaczął, głośno zwracając się do wyspiarzy - czy znacie go i potraficie mi wskazać, gdzie go znajdzie?

Z niższych teras dobiegał także świst wody. Wiatr porywał chmury wodnego pyłu i wynosił je w przestwór, ponad daleką ziemię.

- Ja znam Pushi - rzekła jedna z kobiet. - A wy - spytała - kim jesteście?

Awaru uczył pustkę w głowie. „Na razie - pomyślał - na razie powiem swoje imię, może wystarczy”.

Ale nie było to potrzebne. Wanyangeri, który nie okazał najmniejszego zmieszania, zbliżył się do ludzi i rzekł:

- Ja jestem tym, który leczy, a on - kiwnął ręką w stronę Awaru

- jest moim pomocnikiem i uczniem.

- Cieszę się z przybycia lekarza - powiedział jeden z mężczyzn

- bowiem...

- Przybyłem tu - przerwał mu Wanyangeri - lecz nie po to, aby leczyć. Podróżuję teraz po kraju i zbieram z rozmaitych miejsc różne rodzaje ziemi, które mogłyby być przydatne do leczenia, a mój umysł jest tak tym zajęty, że nie potrafiłbym obecnie nikomu pomóc, gdyż brak mi skupienia dla należytego rozeznania choroby i zalecenia lekarstwa.

- Szkoda - rzekł mężczyzna - gdyż zasięgnąłbym twojej porady.

Wanyangeri nie słuchał dalej, zwrócił się do kobiety, która oznajmiła, że zna Pushi.

- Powiedz mi, gdzie go znajdzie, albo nas zaprowadź na miejsce. Wyciągniętą ręką wskazała w dół, tam gdzie u podnóża wielkich

stopni, a przed rozlewiskiem jeziora, widniał płaski dach, spod którego wychodzili ludzie i sączył się ciemny dym.

- Nie pójdę z wami - mówiła - ale znajdziecie go tam, w dole. Zapytajcie tych, co pracują w długim budynku.

- Pytałem lekarzy - mówił tymczasem mężczyzna - ale oni też nie zawsze mogą pomóc. Skoro twierdzą, że choroba wiąże się z tym miejscem, będę musiał je opuścić...

Usłyszawszy ostatnie słowa, Wanyangeri zwrócił się znów do mężczyzny.

- Zaciekawileś mnie - powiedział - swoją chorobą. To, co mówiłem, iż jestem obecnie zajęty czym innym, jest prawdą, ale mimo to chętnie wysłucham cię. Czy od dawna czujesz się chory? Czy to poważne cierpienie?

- Czy jest ono poważne, tego nie umiem ocenić - rzekł mężczyzna i zaniósł się głębokim kaszlem. - Ale mnie - skończył po chwili - przysparza ono sporo niepokoju. Co do tego, czy od dawna choruję, mogę odpowiedzieć krótko: odkąd zacząłem pracować w tym miejscu na wiosnę.

Wanyangeri błysnął oczami w stronę Awaru, jakby dając mu znak, aby słuchał.

- Jest niesłychanie ważne - powiedział mężczyźnie - wiedzieć, gdzie pracowałeś przedtem?

- Wznosiłem tamę na zachodnim wybrzeżu - odparł ten, znowu zanosząc się kaszlem.

„Tama na zachodnim wybrzeżu” - powtórzył w myśli Awaru i spojrzał na Wanyangeri, lecz znalazł na jego obliczu tylko wyraz znudzenia.

- Odkąd tu jestem - ciągnął chory - szkodzi mi pył, który unosi się w powietrzu. Krople wody i zmieszane z nimi okruchy ziemi. Tak orzekli lekarze, których tutaj mamy.

- Więc czego chcesz ode mnie? - spytał Wanyangeri. - Zapewne innego wyroku byś nie usłyszał - poruszył się, mając zamiar odejść.

- Zaczekaj - poprosił mężczyzna, powstrzymał nowy atak kaszlu. - Lubię to miejsce i nie chciałbym stąd odchodzić, mimo że lekarze nakazali mi to uczynić w krótkim czasie. Gdybyś znał sposób na uleczenie mnie, mógłbym tu pozostać.

- Za mało wiem o tym miejscu - rzekł Wanyangeri. - Jestem tu pierwszy raz. Na czym polega wasza praca?

Wzgórze utworzone jest z czerwonej glinki, która wydaje się być przesycona tłuszczem i pozostawia na skórze barwny ślad. Jest spoista i nie ma w niej kamieni ani okruchów skal, nie przerasta jej także piasek. Zawiera w sobie składnik, dla wydobycia którego zostało rozcięte wzgórze. Strumienie wody kruszą i rozpuszczają glinę, niosąc ją potem na dół, a tam wydobywa się z niej ową substancję przy zastosowaniu ognia i innych sposobów.

Substancja, dopóki rozproszona w glince, jest niewidoczna, po wydobyciu przybiera kolor błękitny. Silnie rozgrzana jest płynna, po ochłodzeniu zastyga i można ją formować. Staje się wówczas twarda i mocna.

- Skoro jest tak, jak mówisz - rzekł Wanyangeri do mężczyzny, kiedy ten zakończył opowiadanie - nie zdołam udzielić ci lepszej porady ponad tę, jaką otrzymałeś od lekarzy tutaj.

Wiatr przyniósł chmurę drobnych kropel, które ochłodziły skórę rozgrzaną słonecznymi

promieniami.

Zeszli ze wzgórza zraszanego obłokami kropel i oddalili się od wielkich schodów, o które biły świszczące strugi wody.

- Nie powinniśmy - powiedział Wanyangeri - stale chodzić razem. To może zwrócić uwagę. Będę teraz szukał człowieka imieniem Pushi, a z tobą spotkam się, kiedy słońce będzie najwyżej.

Czekaj na mnie tam - wskazał ręką brzeg jeziora, odwrócił się i wraz ze swym sheri odszedł w kierunku wielkiej chaty, z której wydobywał się ciemny dym i do której wchodziło wiele ludzi.

„Wkrótce - pomyślał Awaru - wkrótce opuszczę cię, Wanyangeri. Dowiedz się tylko, gdzie leży Tees, a więcej mnie nie zobaczysz”.

Poczuł na plecach miękkie dotknięcie i ciepły podmuch. Odwrócił się i stanął oko w oko ze zwierzęciem, które przerastało go wzrostem. Ujrzał wpatrzone w siebie ogromne, brązowe oczy otoczone gęstymi rzęsami, długi pysk pokryty połyskującą sierścią i miękkie nozdrza. Głowę wieńczyły szerokie i rozgałęzione rogi. Zrozumiał, że ma przed sobą antylopę, co prawda innego rodzaju niż te ze starego ładu. Po raz pierwszy widział to zwierzę żywe z tak bliska, cofnął się pospiesznie, ale nie była to dzika zwierzyna.

Antylopa miała pysk obwiązany postronkiem, jej szyję otaczał pas skórzany, do którego umocowane były sznury. Obok antylopy zjawił się młody mężczyzna, gwizdnął i klepnął ją dłonią. Antylopa pochyliła się w przód, szarpnęła i zwierzę ruszyło wlokąc za sobą coś na kształt skrzynki unoszącej się nad ziemią na okrągłych ruchomych podporach.

Zrazu nie mógł oderwać od tego oczu, ale przyszło mu do głowy, że zwraca na siebie uwagę dziwnym zachowaniem, więc odwrócił wzrok. Dymiła wielka chata, ludzie przechodzili obok Awaru w różne strony i nikt nawet nie zatrzymał na nim spojrzenia. W górze wisiała czerwona ściana, zasnuwały ją wodne chmury. Awaru przybrał obojętny wyraz twarzy i ruszył za tropem odkrycia. Posuwał się za antylopą w pewnej odległości, nieco z boku, tak aby móc obserwować ową niezwykłą rzecz, o jakiej nikt nie słyszał w starym kraju.

Oddalili się od chaty i szli teraz wzdłuż podnóża czerwonego urwiska. Z najniższej terasy spływała woda zabarwiona gliną i rozlewała się szeroko, tworząc na płaszczyźnie kałuże. Młody mężczyzna, uczyniwszy kilka kroków w błocie, wskoczył na ową skrzynkę i jechał na niej trzymając w ręku sznur, którego drugi koniec był uwiązany do głowy antylopy.

„Trzeba obejrzeć to z bliska - postanowił Awaru - najlepiej wówczas, kiedy się zatrzyma”.

- Powiedz mi - zwrócił się do mężczyzny jadącego na skrzynce

- czy znasz człowieka imieniem Pushi?

- Czy znam? - spojrzał mężczyzna zwracając ku niemu głowę.

- Trochę - patrzył z góry na idącego obok Awaru. Miał twarz okrągłą, oczy nieco skośne i usta ułożone w uśmiechu, który nie zniknął ani na chwilę.

- Szukam go od rana - mówił Awaru.

- Czy dlatego idziesz za mną całą drogę?

Awaru zrobił dłonią w powietrzu ruch, który nic nie znaczył. Przygryzł wargę. „Za mało

jestem ostrożny" - pomyślał.

- Więc powiedz, o co ci chodzi - rzekł młody mężczyzna
- ponieważ to ja właśnie jestem Pushi.

Niebo stało się popielate, a na całym ciele poczuł Awaru coś jak chluśnięcie zimnej wody. Podniósł głowę, niebo było znów niebieskie, a na jego tle widniała twarz o zmrużonych oczach i uśmiechu ukazującym wszystkie zęby.

- Kim jesteś? - spytał mężczyzna.
- Shanti - rzekł bez chwili namysłu. W pomieszczeniu wydało mu się, że powiedział „Awaru”, więc pospiesznie dodał: - Shanti!

Pushi szarpnąwszy za linkę, zatrzymał antylopę i zeskoczył na ziemię.

- Czy znasz mnie, Shanti?
- Nie - odparł Awaru i paznokcie obu rąk wbił w dłonie aż do bólu.
- Więc czemu mnie szukasz? Awaru był już spokojny.
- Nie ja - powiedział. - Szuka cię pewien człowiek, mój znajomy, z którym rozstałem się przed chwilą... - urwał, bo uświadomił sobie, że nie zna wyspiarskiego imienia Wanyangeri.

Ale Pushi o nic nie pytał.

- Rozumiem - powiedział, schylił się nad stosem leżących na ziemi grubych dragów i uniósł jeden z nich. - Podnieś drugi koniec
- rzekł do Awaru.

Ułożyli drag na skrzynce ciągniętej przez antylopę, a potem następne i kiedy więcej już się nie mieściło, Pushi jął je obwiązywać długim sznurem.

Awaru miał teraz obok siebie ową okrągłą podporę, mógł jej dotykać i przyglądać się jej z bliska. Drugą taką samą zobaczył po przeciwnej stronie skrzynki, gdzie przykłęknął Pushi.

- Shanti - poprosił Pushi, rzucając mu koniec sznura - przełoż go tak, żeby w czasie jazdy nie tarł o koło...

Nazywa się to: koło. jest to urządzenie należące do najbardziej niezwykłych, a zarazem niezrozumiałych, mimo że jego wykonanie jest zupełnie proste. Wyglądem przypomina najbardziej krąg, który powstaje, kiedy przeciąć w poprzek okrągły pień grubego drzewa. Robią koło z kilku płaskich kawałków drewna, na skos ze sobą połączonych. W samym środku wybity jest otwór, a w nim tkwi ogładzony kij, na którego drugim końcu umieszczone jest takie samo koło. Na kiju osadzają skrzynię, a tę mocują do zwierzęcia, które ciągnie.

Wówczas to odbywa się owo niepojęte zjawisko, gdyż koło zamiast sunąć po ziemi, zaczyna się obracać dokoła siebie, a zarazem postępować naprzód, przechodząc z największą łatwością wszelkie nierówności gruntu, równie lekko wspinając się na kamienie i pagórki jak i schodząc z nich.

- Wracamy - rzekł Pushi poganiając antylopę. - Gdzie jest ów człowiek, który mnie szuka? - zapytał.

Awaru wskazał głową w stronę dymiącej chaty.

„Gdybym zdołał dowiedzieć się - myślał - gdzie jest siedziba ich władcy, ruszyłbym w drogę nie zważając już więcej na Wanyangeri. Ale czy można było pytać wprost?”

„Awaru - uczył starzec Kamau - zwyciężysz, jeżeli zapomnisz o tym, że umiesz walczyć oszczepem, rzucać celnie kamieniem i obezwładniać człowieka uderzeniem pięści. Na wyspie jedyną twoją bronią będzie spryt, rozważa i bystrość myśli. Ale pamiętaj też, że dorównać pod tym względem wyspiarzom jest bardzo trudno”.

- Wyruszyłem - powiedział do Pushi - w wędrowkę po kraju. Pushi zwrócił ku niemu uśmiechniętą twarz.

- Powiedz mi - pytał Awaru - co zobaczę, jeśli udam się w tę stronę? - wskazał czerwoną ścianę, która nad ich głowami wznosiła się pod niebo.

- Najpierw na samym szczycie góry zobaczysz okrągłą wieżę.

- Wieżę? - powtórzył Awaru.

- Jest w niej woda - mówił Pushi. - Cała jest wypełniona wodą, która spływa stamtąd z wielką siłą i służy do rozmywania wzgórze.

Awaru pokiwał głową. Nie rozumiał tego, ale nie można było dopytywać się o wszystko bez wyjątku.

- A dalej? - spytał. - Czy wiesz, co jest dalej?

- Nie wiem zbyt dokładnie - uśmiechnął się Pushi. - Nigdy nie byłem w tamtej stronie, chociaż bywałem w różnych okolicach.

- Powiedz mi więc - rzekł Awaru - co uważasz za rzecz najbardziej wartą widzenia ze wszystkich, jakie widziałeś? - zapytał i dodał w duchu: „To jest dobre pytanie”. - Chodź mi o to

- wytłumaczył - aby nie tracić czasu na próżne wędrowki.

- Powinieneś - rzekł Pushi, z którego oblicza nie schodził uśmiech - zobaczyć góry, jeżeli nie byłeś tam jeszcze - zwrócił twarz w stronę dalekiego horyzontu, gdzie pomiędzy zielonymi równinami a błękitną płachtą nieba tkwiła zębata sylweta postrzępionych szczytów.

- Nie byłem - Awaru poruszył przecząco głową.

- Powinieneś też odwiedzić na południowym wybrzeżu port morski, do którego wpływają statki przybywające z daleka.

- Mhm... - odezwał się Awaru. „Gdybyś wiedział - pomyślał

- gdybyś wiedział, ile razy tam przybywałem na tych statkach!”

- Chciałbym zobaczyć - powiedział - miejsce, gdzie jest szczególnie dużo ludzi, czy znasz takie miejsce?

Było to również dobre pytanie. Gdzież bowiem może być ludniej niż w osadzie będącej siedzibą króla? Ale Pushi zastanawiał się długo i nie umiał nic na to odpowiedzieć.

- Nie wiem - rzekł - dużo ludzi jest tutaj, czy potrzeba ci więcej? Mijali długą ścianę dymiącej chaty i Awaru pożegnał Pushi.

Patrzył jeszcze przez chwilę na zaprzęg, na toczące się koła, które poskrzypując wyciskały na czerwonej ziemi swój podwójny ślad. Stał przed wejściem do chaty. Z wnętrza dochodził syk i szum, rozlegały się donośne stuki i pobrzękiwania. Blask słońca świecą-

go w oczy sprawiał, że Awaru nic nie mógł dostrzec poza ciemnym prostokątem wejścia. Przysuwał się coraz bliżej i już zamierzał wśliznąć się do środka, kiedy z mrocznego

wnętrza wychynęły dwie postacie.

Cofnął się pospiesznie. Zrazu nie wiedział, kogo lub co ma przed sobą, ale po chwili dojrzał oblicza ludzkie.

Jest to specjalny ubiór wykonany z mat niezwykle gęsto tkanych i sztywnych, który całkowicie przesłania ciało od czubka głowy do stóp. W ubiorze tym są otwory na ręce. Część twarzy, oczy i nos, jest widoczna poprzez cienką i przezroczystą błonę nie większą od dłoni. Reszta głowy i szyja tkwi w kapturze. Ludzie odziani w ten sposób noszą na piersiach wizerunki ognia, splecione z wielobarwnych płomieni mieniących się karminem, złotem i szafirem.

Mężczyźni, których oczy zobaczył poprzez przejrzystą zasłonę, podnieśli ręce i zdjęli z głów kaptury, upuścili je na ziemię, a potem wydobyli się z ubiorów. Ich ciała lśniły wilgocią, na czołach zebrały się gęste krople potu.

„Wyglądają - pomyślał Awaru - na czarowników, którzy wyszli na powietrze, aby zdjąć maski i odpocząć po wyczerpujących obrzędach, które odprawia się w ciemnościach, dymie i pośród hałasów odstraszających złe duchy”.

Mężczyźni usiedli pod ścianą i oparli się o nią ciężko. Podnieśli wzrok na Awaru. Chciał odejść w tej chwili, ale jeden z siedzących podniósł rękę.

- Zaczekaj - powiedział - z daleka przybyłeś?

- Ja? - zdziwił się Awaru i rozejrzał się dokoła, ale nikogo za sobą nie zobaczył. Skąd wiedzieli, że przybył z daleka?

- Widać - rzekł mężczyzna, jak gdyby wyczytał to nieme pytanie z twarzy Awaru - widać, że jesteś tu pierwszy raz, bo przyglądasz się, jakbyś chciał wszystko przewiercić oczami.

- Bo chcę! - odparł śmiało Awaru. Nie byli chyba jednak czarownikami. Roześmiał się, a wraz z nim obaj mężczyźni ukazali zęby w uśmiechu. Mieli twarze błyszczące potem, wokół oczu gęste promienie zmarszczek. Skóra twarzy była ciemna, jak wyprażona ogniem, a na policzkach rysowały się rozgałęzione siatki purpurowych żyłek.

- Kim jesteś? - zapytał jeden z siedzących.

- Jestem loki - odpowiedział Awaru bez chwili wahania - a na imię mi Shanti. „Teraz - pomyślał - zechcą, abym szybko odszedł i dał im spokój”.

Ale mężczyźni uśmiechali się nadal i tylko wymienili krótkie spojrzenia.

- Teraz rozumiem twoją ciekawość - powiedział jeden z nich.

- Niestety dzisiaj nie będziesz mógł obejrzeć pracy, bo odbywa się rozpalanie pieców. Musisz przyjść jutro.

Awaru spojrział w ciemny prostokąt wejścia, zobaczył w głębi błyski ognia i snopy iskier. Na ich tle przesuwaly się ciemne sylwetki ludzi.

- Przyjdź - mówił mężczyzna - i zapytaj o Eiho. Dam ci mój ubiór ochronny i będziesz mógł zajrzeć do gorących kadzi.

- Co w nich jest? - spytał Awaru.

- To! - powiedział drugi mężczyzna i podniósł coś z trawy rosnącej pod ścianą. Awaru wyciągnął rękę i wziął w palce cienką, nierówno ułamaną płytkę metalu. Spróbował zgnać ją w palcach, ale oparła się naciskowi. A kiedy włożył ją w zęby i spróbował ugryźć, na gładkiej powierzchni nie pozostał najdrobniejszy ślad zębów. Mężczyźni śmiali się głośno.

- Pierwszy raz - mówił Eiho - widzę loki, który zajmuje się badaniem przedmiotów i nie zadaje pytań.

Na te słowa przechodząca opodal kobieta zatrzymała się i po chwili wahania zawróciła w ich stronę. Obaj mężczyźni jęli podnosić się i zbierać rzucone na ziemię ubiory.

- Czy któryś z was jest loki? - zapytała kobieta.

Eiho wskazał głową Awaru i wraz z towarzyszem ruszył do chaty.

- Jesteś młody - powiedziała z namysłem kobieta stając przed Awaru, jakby niepewna jeszcze, czy rozpocząć z nim rozmowę.

- Ale - podjęła - kto wie, może byś umiał mi odpowiedzieć. Nie było już sposobu umknięcia. Mężczyźni znikli we wnętrzu,

w pobliżu nie było nikogo innego. „Muszę z nią rozmawiać

- pomyślał Awaru - i to tak, żeby wydać się jej najmądrzejszym loki, jakiego widziała".

Nie była już młoda, dwie głębokie bruzdy po obu stronach nosa nadawały jej obliczu wyraz powagi.

- Wiem - mówiła - że wy, loki, nie lubicie udzielać rad, bo wasza wiedza nie służy zwykłym, codziennym sprawom.

- Mimo to wysłucham cię - rzekł Awaru i nieruchome spojrzenie skierował w dal, ponad głową kobiety.

- Dzięki ci! - ucieszyła się. - Zasięgałam już rady jednego loki, ale nie udzielił mi wyraźnej odpowiedzi.

- Jaka jest twoja sprawa? - powtórzył Awaru.

- Cierpię na bezsenność...

- Z rym - przerwał jej - zwróć się do kogo innego.

- Wiem - podjęła pospiesznie. - Ale nie chodzi mi o zwykłe lekarstwo. Przyczyną mojej bezsenności są myśli, a w tej dziedzinie tylko loki może coś pomóc.

- Istotnie - zgodził się Awaru.

- Ilekroć kładę się wieczorem - mówiła - opadają mnie myśli, których nie mogę się pozbyć i które nie pozwalają mi usnąć do białego rana.

„Kto wie - pomyślał Awaru - kto wie, czy nie zdołam jej pomóc. Na starym łądzie całymi nocami toczyły się rozmowy o wielu rzeczach niezrozumiałych, o duchach, które wstępują w człowieka i o opętaniu".

- Co ci doradził - spytał - ów loki, którego pytałaś przede mną?

- Twierdził, że przyczyną wszystkiego jest jedno tylko wydarzenie w moim życiu, o którym zapomniałam i które usiłuje wydobyć się na wierzch pamięci.

Awaru pokręcił głową ruchem pełnym powątpiewania.

- Twierdził on - ciągnęła kobieta - że skoro tylko przypomnę sobie dokładnie to wydarzenie, wspomnienia przestaną mnie dręczyć i powróci sen. Ów loki poświęcił bardzo wiele czasu, aby mnie wyleczyć. Musiałam opowiadać mu całe swoje życie, a kiedy skończyłam, kazał zaczynać od początku i nie pomijać żadnego szczegółu. Nic to jednak nie pomagało. Wreszcie odszedł polecając

mi, abym nadal przypominała sobie wszystkie wydarzenia. Ale cóż mi z tego, skoro to samo robiłam i przedtem, i to właśnie było przyczyną mojej bezsenności.

- I nic się nie zmieniło do dzisiaj?

- Nic, poza tym, że przyszło mi do głowy, aby zmienić miejsce pobytu, opuściłam więc Tees i przybyłam tutaj.

Tees! Awaru spojrzął na kobietę spod przymkniętych powiek. „Od niej - pomyślał - dowiem się wszystkiego. Za chwilę nie będzie mi już potrzebny Wanyangeri”.

- Czy długo - spytał - bawiłaś w Tees?

- Dwa lata - odparła kobieta.

- I tam zaczęła się twoja choroba!

- Tam właśnie, ale nie sądzę, żeby miejsce było jej przyczyną, skoro nie ustąpiła tutaj.

- A jednak - powiedział Awaru - jestem pewien, że Tees ma z tym coś wspólnego.

Na twarzy kobiety pojawiła się iskierka ożywienia.

- Pytaj mnie więc.

- Najpierw - zaczął Awaru - muszę przekonać się, czy długotrwała choroba nie zakłóciła twojego umysłu i czy wyleczenie cię jest w ogóle możliwe...

Patrząc z ukosa przez szpary w powiekach dostrzegł, jak cień lęku pojawia się na twarzy kobiety. Teraz gotowa była odpowiadać na wszystko.

- Pokaż mi prędko - rozkazał - w której stronie leży Tees! Odwróciła się i bez namysłu wskazała ręką ku zachodowi.

- Czy jesteś tego pewna?

- Najzupełniej - odparła. W jej głosie nie było nawet cienia wahania.

- Masz rację - powiedział. - Tam leży Tees. A teraz powiedz, ile dni trzeba, aby dojść do Tees?

- Dojść? - zdziwiła się kobieta.

- Prędko! - rozkazał. - Nie wolno ci się namyślać.

- Dwa - odrzekła - albo trzy, nie więcej.

- Widzę - rzekł Awaru - że twoja choroba nie jest trudna do wyleczenia.

- Tak mówisz, loki? - ucieszyła się kobieta.

- Muszę jednak wiedzieć - ciągnął - czym się zajmowałaś przez te dwa lata.

Słońce wzniosło się do zenitu. Powietrze było nieruchome. Wielkie czerwone schody straciły swą barwę, znalazły się teraz w cieniu.

- To, co robiłam - ciągnęła kobieta - nie było ani trudne, ani ważne. Towarzyszyłam pewnemu człowiekowi i należało do mnie zapisywanie tego, co polecił.

- Czy pamiętasz, co to było?

- Tak, zazwyczaj położenie gwiazd na niebie, a także księżycy i słońca.

- Mhm... - mruknął Awaru. Teraz stawały się jasne słowa Wanyangeri o czarownikach w Tees. Ale czy tam była siedziba króla?

Kobieta milczała przez chwilę wraz z Awaru, a potem zapytała z cicha:

- Czy masz jakąś nadzieję, loki?

- Mam - powiedział - ale zanim podam ci, w jaki sposób odzyskać sen, odpowiesz mi jeszcze ha kilka pytań.

- Chętnie - zgodziła się - chociaż wcale nie rozumiem, jaki mają związek z moim cierpieniem.

- Tego wcale nie musisz wiedzieć. Twoją rzeczą będzie zastosować się do mojej rady.

- Tak - rzekła opuszczając oczy.

- Więc powiedz mi: czy przeszkadza ci obecność ludzi?
- Nie - odparła krótko.
- A jeśli jest ich tak wielu, jak w Tees?
- W Tees? - na obliczu kobiety pojawił się wyraz zdumienia. - Przecież tam jest zupełnie pusto.

Awaru udał, że nie dostrzega jej zdumienia, uśmiechnął się tajemniczo.

- A wokół siedziby króla? - spytał wprost.
- Przecież tam nie ma żadnego króla ani jego siedziby...
- Więc gdzie jest? - spytał szybko, zanim skończyła mówić.
- Ja... - zaczęła niepewnym głosem.
- Powiedz prędko - rozkazał. - Jeśli chcesz wyzdrowienia.
- Jest zupełnie gdzie indziej, tam, pod górami... - wyciągnęła rękę w stronę południa.

Awaru obrócił z wolna spojrzenie. Niebieska ściana gór piętrzyła się na horyzoncie, a nad nią zawisł sznur białych obłoków. Wciągnął głęboko powietrze, aby uspokoić bijące serce. Kobieta czekała na odpowiedź.

„Powiem jej - myślał - powiem jej, aby w dzień silnego wiatru udała się na pustkowie i tam wykrzyczała wszystko, co ma w sobie, a wiatr to porwie i nigdy już nie będą dręczyć jej wspomnienia. Tak leczą starzy i mądrzy czarownicy wszystkich, których opętał zły duch wstępując w ich ciało”.

- Udaj się na pustkowie... - przemówił Awaru i zatrzymał się. Zrozumiał bowiem, że jego słowa, przyniesione ze starego lądu, na wyspie nie będą już tym samym. Ludzie myśleli tu i czuli inaczej.

- Omyliłem się - powiedział. - Myślę, że musisz znaleźć lekarstwo w sobie, bo ja ci nie umiem pomóc.

Kobieta tkwiła przez chwilę nieruchomo, jakby czekając jeszcze na odezwanie się Awaru, poruszyła wargami, ale żadnego słowa nie dosłyszała. A potem opuściła głowę i odeszła z rękami zwieszonymi wzdłuż ciała.

Awaru rozejrzał się za skrawkiem cienia. Teraz w spokoju należało rozważyć, co robić dalej. Spotkać się z Wanyangeri czy ruszyć od razu i działać na własną rękę? Poszedł wzdłuż kamiennej ściany, skręcił za jej narożnik i ujrzał rozległy plac, na którym piętrzyły się kopce węgla, a także ułożone w stosy drewno. Zagłębił się między nie i usiadł w cieniu pod jednym ze stosów.

Wtedy usłyszał głos Wanyangeri rozmawiającego w pobliżu z kimś drugim. Zrazu sądził, że jest to Pushi, ale po chwili przekonał się, że to zupełnie inny głos.

- Takie rzeczy nie należą do mnie - mówił obcy. - Ja tylko mam baczenie na wszystko, co się dzieje, a wiadomość o tym przesyłam komu innemu.
- Więc dobrze - powiedział Wanyangeri - skoro nie możesz go sam uwięzić, wysłuchaj mnie, a potem uczyni, co należy.
- Wysłuchać mogę, ale skąd będę miał pewność, że się nie mylisz?
- Nie mylę się! - powtórzył z uporem Wanyangeri. - Mówię ci o człowieku, który podaje, że nazywa się Shanti, ale jego prawdziwe imię brzmi z pewnością inaczej.

Awaru siedział pod stosem drewna bez tchu w piersiach.

- Shanti? - powtórzył głos. - Nie widzę w tym nic podejrzanego,

- Bo nie rozmawiałeś z nim - mówił szybko Wanyangeri - tak jak ja, nie stałeś z nim twarzą w twarz.

- I cóż z tego? - powiedział niecierpliwie obcy.

- Wtedy przekonałbyś się, że jego słowa są fałszywe, a on sam przybył tutaj z ładu.

- Powiedział ci to? - badał głos.

- Jakże mógł powiedzieć! - Wanyangeri zaśmiał się krótko. - To bardzo niebezpieczny i przebiegły człowiek. W każdej chwili gotów uczynić coś strasznego. Każde słowo rozmowy docierało do uszu Awaru. Po jego twarzy chodziły wielkie muchy, ale nie czuł tego.

- Wszystko to są domysły - rzekł głos.

- Więc chcesz czekać? - wyrzucił z siebie z wściekłością Wanyangeri - aż coś się stanie?

- A cóż może się stać? Co może zrobić ów Shanti?

- Nie wiem - mówił coraz gwałtowniej Wanyangeri - ale czuję, że jest zdolny do wszystkiego, mógłby kogoś zabić!

- Mógłbym! - szepnął Awaru skryty w cieniu. - Mógłbym w tej chwili, ale trzeba było uczynić to już poprzedniej nocy...

- Pomyślę nad tym - rzekł człowiek.

- Nie myśl! - zawołał Wanyangeri. - Rozkaż, aby go natychmiast pochwycono.

Awaru usłyszał, jak podnoszą się z miejsca, gdzie siedzieli. Ponad stosem drewna zobaczył ich przesuwające się głowy. Odchodzili zwrócenii do niego tyłem. Awaru wytarł ramieniem twarz mokrą od potu. Podniósł wzrok na niebo, płonęło żarem. Noc była jeszcze daleko, a tylko pod osłoną ciemności mógł dostać się w pobliże lasu i ruszyć w stronę wybrzeża.

Rozejrzał się za kryjówką, w której można by bezpiecznie doczekać wieczoru. Wszędzie jednak kręcili się ludzie, a niewysokie stosy drewna i kopczyki węgla nie mogły dać osłony, gdyby rozpoczęto prawdziwe poszukiwania. Postanowił oddalić się natychmiast, zanim rozpocznie się alarm. Lawirując pośród kopców przemknął do ostatniego ich rzędu. Dalej była już tylko otwarta przestrzeń.

Zobaczył tam zaprzęg znikający w obniżeniu terenu. Widoczna była tylko głowa człowieka i kołyszące się rogi stąpającej przed nim antylopy. Tam, poza zasięgiem wzroku ludzi chodzących wokół chaty, można było puścić się biegiem i wkrótce być już daleko.

Wahał się długo, zanim uczynił pierwszy krok wychodząc z cienia na otwartą przestrzeń. Był już w połowie drogi do linii załamania terenu, kiedy z tyłu zabrzmiał okrzyk:

- Zatrzymaj się!

Poznał głos mężczyzny, który przed chwilą rozmawiał z Wanyangeri. Drgnął i kroczył dalej nie odwracając głowy, cały zamieniony w słuch. Może chodziło o kogoś innego?

- Zatrzymaj się! - rozległo się znowu. - Jesteś głuchy? - wołał mężczyzna. - Nie będę przecież biegł za tobą.

Nie można było dalej udawać. Przystanął i odwrócił się. Pięćdziesiąt kroków za nim stał wysoki mężczyzna trzymając coś w dłoni. Obok niego nie było Wanyangeri. Długoogoniasty sheri kręcił się przed mężczyzną, węsząc w trawie, to znów podnosząc

głowę i wpatrując się w Awaru.

- Zobaczyłem, że idziesz w tę stronę - mówił głośno mężczyzna - i chcę cię prosić o przysługę. Czy słyszysz mnie?

To był ten sam głos, teraz miał już pewność. Przełknął ślinę i wydobył ze ściśniętego gardła :

- Słyszę.

- To dobrze! Proszę cię, abyś zaszedł po drodze do budynku, którego dach widzisz - podniósł dłoń i wskazał coś za plecami Awaru. Zza trawiastej linii dalekiego pagórka wystawał tam ciemny prostokąt. - Czy możesz to zrobić? - zapytał.

- Mogę - odparł Awaru.

Mężczyzna świsnął krótko na sheri, włożył mu do pyska ów trzymany w ręku przedmiot i wskazał palcem Awaru. Zwierzę zerwało się z miejsca i pobiegło długimi susami.

- Weź to - wołał mężczyzna - oddaj tam! Poproś, aby przekazali to bez zwłoki, ponieważ są to dwie ważne wiadomości.

W palcach Awaru znalazł się płat materii, który na pierwszy rzut oka wyglądał jak wykrojony nożem z wielkiego liścia. Na nim czerniały zrobione farbą znaki. Sheri obwąchał stopy Awaru, a potem posznurował z powrotem, postawiwszy pionowo ogon.

- Wulkan znowu się odezwał - powiedział donośnie mężczyzna. - Czy nie uważasz, że obłok jest dzisiaj większy niż wczoraj?

Patrzył w stronę niebieskich gór i Awaru też obrócił ku nim spojrzenie. Zębatą linię wierzchołków obsiadły chmurki podobne do białych kur, a ponad nimi wznosił się pękaty, szary i mroczny obłok, u spodu niemal czarny.

- Druga wiadomość - dodał mężczyzna - jest mniej ważna. „To o mnie” - pomyślał Awaru i ruszył w stronę budynku,

którego dach wystawał ponad pagórek. Spoglądał z ukosa na malowane znaki. Było to pismo, którego nie znał.

„Zniszczę to po drodze - mówił sobie. - Ominę budynek i wkrótce będę już daleko”.

Przeciął ślad wryty przez koła zaprzęgów i znalazł się w zagłębieniu terenu. Okazało się jednak zbyt płytkie, aby ukryć go całkiem. Obejrzał się i zobaczył, że mężczyzna nie spuszcza z niego wzroku. Zwolnił kroku, wynurzył się z zagłębienia.

Mężczyzna tkwił nieporuszenie. Awaru szedł więc dalej, a odległość od budynku malała z każdym krokiem.

„Ten może nie wierzy Wanyangeri - myślał gorączkowo - ale teraz oddam pismo komuś innemu, przeczytają i gotowi mnie rozpoznać. Pójdę prosto, aż do końca, a potem prześliznę się wokół ścian i, zasłonięty przez nie, pobiegnę”.

Znalazł się przed kamienną ścianą, w środku której czerniał prostokątny otwór. Otaczały go wymalowane na murze jaskrawo-czerwone, zygzakowate pręgi, przedstawiające najwidoczniej pioruny bijące w ziemię.

Teraz każdy krok w lewo lub prawo był już jawną ucieczką. Obejrzał się raz jeszcze. Tego kroku nie można było zrobić. Mężczyzna stał tam i aby lepiej widzieć, wspiął się na kopiec węgla. „Muszę wejść do środka” - Awaru zacisnął zęby. Założył prędko za siebie ręce, aby ukryć to, co trzyma w dłoni, i stanął w proggu.

Wewnątrz było cicho i pusto. Zobaczył duże okno zasłonięte matą, pod ścianą posłanie,

a na nim śpiącego mężczyznę. Twarz miał odwróconą, a jego pierś unosiła się miarowym oddechem.

Awaru wsunął się bezszelestnie do wnętrza i oparł plecami o chłodny kamień ściany.

Rozejrzał się po kątach. Sądził, że zobaczy tu może bębny sygnałowe, ale nic podobnego w budynku nie było. Za oknem zasłoniętym przejrzystą matą biegł od budynku poprzez falistą równinę rząd kamiennych słupów, nie wyższych od człowieka. Na nich biegły rozpięte dwa cienkie, gładkie pręty.

Cofnął się do drzwi i wychylił połowę twarzy. Nikt już nie stał na kopcu węgla obok wielkiej chaty. Przemknął na palcach obok śpiącego, a potem odchylił matę i przełożył nogi za krawędź otworu. Ruszył wzdłuż rzędu słupów, chowając się za nimi. A kiedy całe osiedle znikło już z oczu, przykłęknął i zakopał w ziemię pismo.

Szedł nie spotykając nikogo, a o zachodzie znalazł się w dzikiej okolicy porośniętej krzakami i pociętej wąwozami. W poziomych promieniach słońca zobaczył góry oblane czerwonym blaskiem, nakryte purpurowymi chmurami. Ruszył w ich stronę, aby odnaleźć siedzibę króla.

Około północy na drodze Awaru pojawiła się odnoga lasu. Po omacku wspiał się na szczyty drzew. Znalazł dojrzały owoc kalong, zdjął z niego łupinę i zaczął jeść, ale gdy tylko zaspokoił pierwszy głód, głowa opadła mu na ramię i zasnął.

Ocknął się przed świtem, ciemności były jeszcze zupełne. Pomyślał, że trzeba ruszyć dalej, nie mógł jednak przewyciężyć senności. Palcami trafił na wilgotny, nie dojezdzony owoc. Oprzytomniał

niecokolwiek, zatopił w nim zęby. Senność odpłynęła. Długo opuszczał się z gałęzi na gałąź, a kiedy stanął na ziemi, podniósł wzrok na gwiazdy i odnalazł znów kierunek, gdzie leżały góry.

O pierwszym brzasku usłyszał szmer strumienia, wkrótce mógł już dojrzeć ciemne pasmo wody. Po obu jej stronach ciągnęły się niewysokie zarośla. Kiedy rozwidniło się i niebo przybrało barwę niebieską, a z ziemi ustąpiły cienie, Awaru ujrzał zarośla wstępujące na zbocza doliny podobnej do ogromnej, zielonej miski.

Słyszał pluski wody toczącej się po kamieniach, ale odgłosy poranku nie były pełne. Brakowało w nich śpiewu ptaków, nie zdołał też złowić brzęczenia owadzych skrzydeł. Za to w powietrzu doliny unosiło się coś nieuchwytnego, co w umyśle Awaru potęgowało z każdą chwilą uczucie zagrożenia.

Drgnął gwałtownie, poczuwszy dotknięcie na plecach. Był to tylko liść. Awaru odsunął się nieco i przyklęknął, aby być lepiej ukryty. Spojrzeniem błędził po przeciwnym stoku doliny. Wydało mu się, że różnobarwny gąszcz liści nie spoczywa nieruchomo, lecz drga czy kołysze się niemal niedostrzegalnymi poruszeniami.

Oczekiwał w napięciu 4 omal nie krzyknął, poczuwszy, jak coś przylgnęło mu do pleców. Zamachem ręki zerwał wielki liść. Zagryzł wargi, aby się opanować. Przyjrzał się baczniej najbliższemu krzakowi.

Widział już teraz, że wszystkie liście zwracają się ku niemu, łodygi wyciągają się w jego stronę, jakby starając się go opleść. Odsunął się z zasięgu ich węzowych ruchów.

Dostrzegł jeden z liści, który zwinięty był na kształt pięści, otaczające go zaś wyrostki przypominały niezliczone palce, które splotły się ze sobą. Na oczach Awaru wyrostki drgnęły i poczęły się rozsuwać i rozplatać, a zamknięty liść otworzył się niby rozkwitający pąk.

Na środku zielonego plastra, ociekającego czarnym sokiem, spoczywała niekształtna masa. Na ziemię posypało się kilka piórek, za nimi zsunęła się garstka kości. W trawie leżał szkielet niewielkiego ptaka, resztki piór, czaszka i dziób o błękitnej barwie.

Wszystkie kostki były wybielone i oczyszczone z mięśni i ścięgien, a przy tym niezmiernie cienkie, jak gdyby nadtopione.

Czuł, że nie może tu zostać ani chwili dłużej. Podniósł się, ale nie zdołał wyprostować nóg i opadł znowu na kolana i dłonie. Raz jeszcze spróbował się poderwać, bezskutecznie. Przyszło mu na myśl, że może jest otruty. Gardło miał suche, język sztywny jak kołek. Rzucił się do strumienia, ale nie zdołał uczynić nawet jednego kroku. Upadł bezwiednie na ziemię, tuż pod poruszającym się krzakiem. Nos, usta i płuca wypełniała mu słodka i mdląca woń. Do jego uszu przestały docierać odgłosy strumienia i

szelesty doliny.

Kręgi liści były coraz niżej, jakby zwabione bliskością ciała ludzkiego. Ujrzał, jak dotykają jego boku palczastymi wyrostkami. Któryś z liści przechylił się i spłynęła z niego kropla czarnego płynu, padając na pierś Awaru. Inne rozprysły się na jego udach i kolanach.

Jeden z najniższych liści na wężowatej łodydze przywarł do ramienia Awaru, a jego wyrostki długo zaginały się i drgały jak palce usiłujące zaczepić o nierówności ciała. Inny liść przylgnął do jego boku, następny do brzucha.

Wówczas na jego głowę oświetloną przez słońce padł cień i Awaru zobaczył przyklękającą dziewczynę. Szybkimi ruchami rąk odrywała oblepiające go liście, rozdierając je i szarpiąc łodygi. Uszkodzone, cofały się i kurczyły znikając we wnętrzu krzaka. Dziewczyna chwyciła Awaru pod ramiona i pociągnęła go do strumienia. Patrzył na swoje stopy wlokące się po trawie i podskakujące na nierównościach, na oddalający się krzak, podobny do drapieżnego potwora.

Dziewczyna złożywszy go na brzegu, jęła czerpać wodę złożonymi dłońmi, ochlapywać i polewać jego ciało w miejscach, gdzie przylgnęła do skóry czarna, mazista ciecz. Robiła to tak długo, aż znikły ostatnie plamy. Pochylała twarz nad Awaru i mówiła coś do niego. Widział ruchy warg, ale nie słyszał ani słowa. Z niepokojem rozglądała się po stokach doliny, kilkakrotnie przykładając też mokrą dłoń do czoła, jakby chcąc usmierzyć ból głowy. Patrząc gdzieś ponad Awaru, zawołała. Do jego uszu dotarł słaby odgłos słów. Leżał dalej w głębokiej otulającej go ciszy, bez śladu niepokoju w sercu i widział nad sobą twarz dziewczyny, jej czoło i policzki o barwie matowego brązu, jaki noszą skrzydła niektórych motyli.

Najniezwyklejsze były jej oczy, inne niż widział kiedykolwiek Awaru, odmienne od czarnych lub ciemnobrunatnych oczu wyspiarzy. Świecące głębokim fioletem, kiedy twarz znajduje się w cieniu, lub rozbłyskujące przejmującym szafirem morza, gdy pada na nie światło słońca. Podłużne i wielkie, otoczone gęstymi rzęsami. Usta nieduże, wargi zakreślone równymi łukami, zakola wąskich brwi zbiegające się nad cienkim nosem i nozdrza podobne do drgających płatków kwiatu.

Obok dziewczyny pojawił się mężczyzna. Podniósł Awaru i zarzucił go sobie na ramiona. Wisząc głową na dół, wciąż nieczuły na wszystko, pozbawiony uczucia bólu i głuchy, Awaru widział przesuwającą się ziemię i szybko kroczące stopy mężczyzny, a obok sunący cień dziewczyny. Wspinali się ścieżką po stoku. Pośród rzadkich krzaków otwierał się widok na misę doliny odpływającą coraz niżej.

Znaleźli się w cieniu, stopy mężczyzny przekroczyły kamienny próg. Awaru zobaczył nad sobą płaski strop. Leżał na posłaniu, mężczyzna gdzieś odszedł, a dziewczyna pojawiała się i zniknęła, przynosząc w naczyniach z połyskliwej przezroczystej masy jakieś płyny.

Jeden z nich wlewała w usta Awaru unosząc jego głowę dłonią, drugim zaś skraplała jego skórę w miejscach, gdzie przylgnął poprzednio czarny sok jadowitych krzaków.

Teraz poczuł ból. Było to zrazu słabe pieczenie skóry, które nasilało się i stawało coraz ostrzejsze. Zobaczył na ciele czerwone plamy. Spróbował ich dotknąć i bezwładna dotąd ręka uniosła się z posłania. Usłyszał też dźwięki, najpierw stłumione, po chwili już czyste i wyraźne, brzęk przejrzystego naczynia, szmer kroków dziewczyny, a wreszcie jej głos.

- Czy już mnie słyszysz? - zapytała.

Dał znak przymknięciem powiek, spróbował się poruszyć.

- Tak - szepnął. - Słyszę.

Nagle skończyła się jego obojętność i spokój, odzyskał świadomość. „Trzeba stąd odejść - powiedział sobie natychmiast. - Nie wolno się nigdzie zatrzymywać, być może trwa już pościg...” Uniósł się na łokciach, ale nie zdołał jeszcze unieść całego ciała.

- Leż - powiedziała dziewczyna i Awaru opadł na posłanie. - Gdybym znalazła cię trochę później - mówiła - już nic nie mogłabym ci pomóc.

- Co to było? - zapytał.

- Obezwładnił cię zapach krzaków azamo.

- Nie rozumiem - powiedział z wahaniem.

- Wszedłeś - uśmiechnęła się - na obszar obronny.

Poza dziewczyną nie było nikogo w pomieszczeniu. Powiódł wzrokiem wzdłuż ścian długiego budynku. Z obu stron widniały w nich otwory, a za nimi kołyszące się na wietrze drzewa i słoneczne niebo. Napotkał znów jej spojrzenie.

- Ta dolina z krzakami azamo - powiedziała - jest częścią systemu obronnego wokół pałacu.

- A krzaki? - zapytał, aby zyskać na czasie.

- Krzaki wydzielają zapach - tłumaczyła dziewczyna - który obezwładnia każde żywe stworzenie.

- Widziałem tam martwego ptaka - rzekł Awaru.

- W południe - powiedziała - kiedy nad doliną zaczyna wznosić się prąd rozgrzanego powietrza, wraz z nim płynie trujący zapach, który poraża przelatujące górą ptaki.

Spadają wtedy wprost w zarośla.

Awaru poruszył palcami nóg, potem stopami. Odzyskał już w nich czucie, ale nie był jeszcze pewien, czy zdoła utrzymać się na nogach. Skóra piekła go boleśnie.

Dziewczyna złowiła jego spojrzenie skierowane na czerwone plamy.

- Do wieczora - powiedziała - sok tych roślin rozpuściłby twoje ciało i zostałbyś wchłonięty przez liście.

Leżąc spróbował napiąć mięśnie nóg. Nie czuł już osłabienia, a o bólu skóry można było zapomnieć. O kilka kroków od posłania widniało najbliższe okno, a za nim zielony gąszcz. Snop światła wpadał do wnętrza.

- Jak długo będę chorował? - spytał.

- To - powiedziała wskazując plamy na skórze - zagoi się po kilku dniach.

„Jeżeli - pomyślał patrząc w szafirowe oczy dziewczyny - jeżeli ona nie podejrzewa, kim jestem naprawdę, to dlaczego mam się spieszyć z odejściem?” Serce zabiło mu żywiej, lecz zaraz odpowiedział sobie: „Ty wiesz dlaczego”. Przed oczami zamajaczyła mu zmarszczona twarz Kamau i odżyły w pamięci słowa: „Będiesz unikał kobiet, Awaru, rozmów z nimi i spotkań, gdyż to jest najgroźniejsze ze wszystkich niebezpieczeństw i zgubi cię”.

- Czym się zajmujesz? - spytał dziewczynę. - Mieszkasz tutaj? Na szyi dziewczyny ujrział naszyjnik, którego przedtem nie było.

Był to szeroki pas złożony z wielu szeregów przejrzystych, oszlifowanych kulek o ciemnobłękitnej barwie.

- Tak - skinęła głową. - To moje rośliny, popatrz... Wzdłuż przeciwległej ściany stał rząd naczyń, z których wychylały się łodygi, liście i kwiaty.

- To, i całe mnóstwo w innych budynkach. Pokażę ci, jak będziesz mógł już się podnieść. „Chyba tu zostanę” - postanowił w duchu Awaru.

- Po co to robisz? - spytał. - Można je jeść?

- Nie! - roześmiała się. - Chociaż niektóre - tak. Razem z moim pomocnikiem, który cię tu przyniósł, hodujemy całkiem nowe rodzaje roślin, jakie nigdzie indziej nie rosną.

- Ja - powiedział Awaru nie odrywając spojrzenia od oczu dziewczyny - nie znam tych spraw, zajmują mnie całkiem inne. Jestem loki...

- Teraz wszystko rozumiem - odparła. - Tylko loki mógł wejść w zarośla azamo - pokazała w uśmiechu zęby.

„Zostaję!” - zdecydował Awaru.

- Jak hodujecie te nowe rośliny? - zapytał.

Nic nie wydawało mu się już dziwne. Wyspiarze potrafili wszystko, a ona... Liczne rośliny, drzewa, kwiaty i krzewy na wyspie powstawały w taki sposób. Zbiera się pyłek jednych kwiatów i przenosi go na kwiaty zupełnie inne. Nie zawsze daje to wyniki, ale czasem tą drogą rodzą się nasiona, z których wyrośnie nowa, niepodobna do żadnej innej roślina. Tak przed wielu laty stworzono drzewa dające owoce kalong, którymi żywią się obecnie wszyscy mieszkańcy wyspy. Można także odcinać część jednej rośliny i przenosić ją na inną, aby zrosła się z nią, wówczas powstaje nowy rodzaj, który zawiera nowe podobieństwo do obu połączonych roślin. Wiele zależy od tego, czym odżywia się rośliny. Zmieniają się one, stają większe lub karleją, zależnie od rodzaju ziemi, w której były zasiane, lub od składników mieszanych do wody, które piją ich korzenie. Odpowiednio je karmiąc, można w krótkim czasie przyspieszyć ich wzrost, dojrzewanie, a z niewielkich jagód, które dotąd rodziły, uczynić wielkie owoce.

Tą drogą powstały też kiedyś krzewy azamo. Była to mała roślinka skryta w trawie, a do jej liści przylepiały się co najwyżej muchy.

Dziewczyna mówiła jeszcze, kiedy wnętrze budynku ogarnął cień. Gęstniał z każdą chwilą, znikły snopy światła wpadającego z zewnątrz.

- Burza - powiedział Awaru.

- Nie - zaprzeczyła. - To góra Suhmi.

Zbliżyła się do wyjścia i znikła mu z oczu. Słyszał tylko głos.

- Obłok dymu nad szczytem Suhmi przesunął się z wiatrem - powiedziała.

- Dziś w nocy - rozległ się gruby głos męski - drgała ziemia.

- Lada chwila - mówiła dziewczyna - trzeba będzie stąd uciekać.

- Jeszcze nie - rzekł mężczyzna. - Nie było ostrzeżenia.

- Może lepiej nie czekać? - odparła. - W powietrzu jest już pełno popiołu. Kiedy popłynie lawa, może być za późno...

Awaru podniósł się z posłania i w kilku krokach dopadł otworu w ścianie. Przełożył nogi na zewnątrz. Z drugiej strony budynku dobiegły słowa mężczyzny:

- Chcesz teraz przerwać pracę? Cały ogród się zmarnuje. Trzeba też coś zrobić z tym loki, na razie nie może się poruszać.

Awaru uśmiechnął się, schylony wszedł pod gałęzie i ruszył szybko naprzód. Było tu niemal zupełnie ciemno, wspinał się po stromym zboczu, przemykając pośród lasu podobnego do puszczy na starym łądzie. „Ognista góra - myślał - odezwała się w porę. Teraz nikt nie będzie myślał o mnie”.

Badał ziemię przed sobą, podnosił wzrok na drzewa, starał się przebić spojrzeniem gęstwinę poszycia. Za pierwszą linią obrony pałacu można było spodziewać się następnej. Mogła być tuż

albo odległa o cały dzień marszu. Dotąd nie wiedział, gdzie leży pałac.

Drzewa zrzędy i Awaru wychynał z lasu na odsłonięty grzbiet wzgórze. Spod wiszących gałęzi zobaczył budowlę. W pierwszej chwili wydało mu się, że to gigantyczne spiętrzenie skał ułożonych poziomymi warstwami, które ciągną się bez końca, spłaszczone, jakby zgniół je ciężar potwornej masy skalnej. Lecz po chwili zrozumiał, że widzi wychylające się jeden zza drugiego tarasy zbudowane ręką ludzką. Nic innego nie mogło stworzyć tak prostych linii, ostrych krawędzi i gładkich płaszczyzn.

Pod ponurym niebem leżały szare i nieruchome, podobne do łańcucha górskiego, usiane czarnymi kwadratami otworów. Tu i ówdzie, z harmonii poziomych linii, wyrastały pionowe krawędzie ogromnego bloku lub wieży podpierającej niebo. Z tyłu, daleko za budowlą, ukazywał się stanowiący jej tło chaos prawdziwych skalnych urwisk, nakrytych czapą ciemnej chmury.

Wzdłuż brzegu lasu dotarł w pobliże pierwszego muru. Była to wyniosła ściana ciągnąca się w dal, wzdłuż zbocza, przekraczająca fałdy terenu, przegradzająca wąwozy, obejmująca podstawą sterczące skały. Jej górna krawędź przesłaniała stojącemu blisko Awaru wyższe kondygnacje budowli. W ścianie widniały prostokątne otwory, jednak tak wysoko, iż niepodobna było przez nie dojrzeć czegokolwiek we wnętrzu.

Czekał długo, schowany pośród liści, na ukazanie się człowieka, ale pod murem nikt nie przechodził, na jego szczycie nie zjawiali się uzbrojeni strażnicy i żadne twarze nie wyglądały z otworów. Stawało się mroczno, a z szarego powietrza sypały się płatki popiołu i okruchy żużlu.

„Życie pałacu - pomyślał - toczy się pewnie gdzieś na wyższych piętrach”. Tutaj była podstawa budowli i zapewne ukryte urządzenia obronne. Niepodobna było wyjść na otwartą przestrzeń u stóp murów nie narażając się na schwytanie, na pytania i podejrzenia. Zaczął przemykać się lasem, aby odnaleźć bramę, gdzie będzie można wmieszać się między wchodzących i wychodzących ludzi. Najpewniej czuł się pod osłoną gąszczy.

Zatrzymało go zapadlisko zięjące pośród poszycia leśnego. Nachylił się nad nim i zobaczył, że jest to otwór prowadzący do rozleglejszej pustki pod spodem. Długo nadśluchiwał, ze środka nie dobiegał najmniejszy szelest. Poprzez krawędzie zwieszały się do wnętrza gałęzie, pędy powojów i puszyste brody mchów. Dno było niedaleko. Awaru ujął sptywający do środka gruby korzeń i zsunął się po nim. Stopami dotknął kamiennej płyty, nad sobą ujrzał płaski strop, nakrywający korytarz. Było tu pusto i cicho. Kiedy przywykł do gęstych ciemności, zobaczył w korytarzu, w jego części biegnącej w stronę pałacu, plamę światła. Nie wahał się już dłużej. „Ryzykuję - powiedział sobie - ale może w ten sposób ominę strzeżone miejsca”.

Z podziemnego przejścia wychylił się do biegnącej poprzecznie olbrzymiej galerii. Wysoko ciągnął się rząd kwadratowych otworów, tych samych, które widział poprzednio od zewnątrz. Pod stropem załomotał skrzydłami ptak.

Awaru wodził spojrzeniem po szarych powierzchniach, były puste, nagie i surowe, gdzieś tam smugi zacieków, plamy porostów.

Miał teraz do wyboru: cofnąć się albo iść naprzód bez żadnych wahań i zatrzymywań, udając mieszkańca budowli, gdyż we wnętrzu galerii nie było już gdzie się ukrywać.

Wciągnął głęboko powietrze i uczynił krok naprzód. Poszedł łagodnie wznosząc się pochylnią i niebawem był już pod stropem, na wysokości okien. Pochylnia przebiła płaską powalę i wyprowadziła na wyższe piętro. I tutaj znowu ujrzał galerię biegnącą w dwie strony, o dwu końcach gubiących się w oddaleniu. Jej ściany były ozdobione malowidłami o barwach tak żywych i świeżych, jak gdyby farby były jeszcze mokre.

Tłum olbrzymich postaci zapełniał mury, sięgając głowami do stropu galerii. Poszedł wśród brunatnych mężczyzn, kobiet i dzieci w stronę, w którą były zwrócone ich twarze. Gdy pojawiła się nowa pochylnia, wznosił się na trzecią kondygnację z galerią nie różniącą się od poprzednich, lecz pokrytą wizerunkami ogromnych zwierząt i ptaków, z których najmniejszy przerastał go rozmiarami.

Tutaj odkrył, że kamienna budowla nie jest wykonana z kamienia.

Ściany, stropy i posadzki nie mają na sobie jakichkolwiek linii spojeń, które musiałyby istnieć, gdyby wykonano je z bloków kamiennych. Niepodobna odkryć najmniejszych choćby śladów składania dwóch powierzchni. Budowla jest jakby wykuta we wnętrzu skały, jednakże ów materiał nie jest także i skałą. W dotyku jest szorstki i ostry, składa się z ziaren piasku i drobnych kamyków, jednakże całość jest zwięzła i twarda.

Krocząc po szerokich stopniach wyszedł pod otwarte niebo. Znalazł się na tarasie wzniesionym wysoko w przejrzystym powietrzu. Od podnóża budowli opadały kopiaste pagóry pokryte wełnias-
tym futrem lasu, odbiegały kręte wąwozy rozplaszczając się na równinie rozmazanej w niebieskim oddaleniu. Odwrócił się i zobaczył z bliska spiętrzenie tarasów, nieskończone ciągi ścian usianych kwadratowymi oknami. Wznosząc się i cofając jedne za drugie, sięgały one aż do stromych urwisk skalnego łańcucha. Z wiszącego nad skałami obłoku dochodził chwilami przeciągły pomruk.

A waru stanął u stóp ogromnego bloku podobnego do osobnej skały. Dostrzegł mały otwór i wsunął się do niego. Natychmiast posłyszał szmer kropel i poczuł wilgotny chłód. Był to zbiornik wodny, niemal pusty. Jedynie na dnie lśniła płytka powłoka wody drżąc nieustannie, uderzana cienkim strumyczkiem sączącym się spod stropu.

Stanął po kostki w wodzie i zaczerpnął ją złożonymi dłońmi. Była zimna i czysta, pochodziła zapewne z pobliskich gór. Pijąc przyglądał się okrągłym wejściom do pięciu tuneli wybiegających ze zbiornika w pięciu różnych kierunkach.

Pałac był pusty. Nie było w nim ani jednego człowieka. Nie znalazł nigdzie śladów ognia, naczyń lub choćby skorup, żadnych narzędzi, resztek jedzenia, nawet patyka zastruganego ręką ludzką. Odeszli wszyscy, wszystko ze sobą zabierając. I jakakolwiek była tego przyczyna - pomruki ognistej góry czy cokolwiek innego - Awaru nie miał już tutaj co robić.

Schyliwszy głowę, wszedł do okrągłego kanału. Pod stopami czuł chłód wody zwilżającej dno; było tu ciemno i prowadził go tylko

jasny krążek wylotu. Choć posuwał się szybko, światło było wciąż niemal tak samo odległe. Przystanął i rzucił spojrzenie wstecz. Zimny dreszcz spłynął mu po plecach. Z tyłu było ciemno. Tak jakby ktoś stojący tam przesłaniał wylot tunelu do zbiornika.

„Niemożliwe - powiedział sobie - to w zbiorniku jest ciemno, nikt tam nie stoi”.

Przenikliwie ciurkotała woda. Wpatrywał się w plamkę szarości, a im dłużej to robił, tym wyraźniejszego doznawał wrażenia, że się ona porusza.

Odwrócił się i pobiegł dalej. Po drodze minął odgałęzienie, boczne ramię tunelu odchodzącego gdzieś w prawo, i zbliżał się już do oświetlonego wylotu, gdy niespodziewanie jego okrągła, jasna plama znikła. Rozległ się przeraźliwy łoskot i zaległy nieprzeniknione ciemności. To zapadła pokrywa odcinająca wyjście na światło. Przed oczami Awaru tańczyły jeszcze chwilę plamki jasności. Zawrócił w miejscu i ruszył na oślep do rozwidlenia kanałów.

Dopał bocznej odnogi, daleki wylot był otwarty i rozjarzony światłem. Awaru biegł mu naprzeciw. Pomyślał, że kanał może uchodzić w powietrze i szykował się do skoku, choćby w przepaść. Wpatrzony w oślepiający krąg omal nie minął plamy światła, która mignęła mu nad głową. Zawrócił w miejscu i wyprostował się. W tejże chwili u końca kanału rozległ się suchy trzask i znikły promienie słońca. Drugie wyjście było również zamknięte.

Awaru wystawił głowę przez otwór w stropie, oparł dłonie na jego krawędziach i wyskoczył do olbrzymiej sali. Plecami przylgnął do ściany, wytarł ramieniem mokre czoło. Przez rząd okien wpadały snopy promieni, w oślepiających smugach wirowały płatki popiołu.

Do sali wbiegł długoogoniasty sheri. Zwierzę przystanęło na środku, opuściło nos ku posadzce i nagle zauważyło Awaru. W kilku susach sheri zbliżył się, stanął przed człowiekiem i wyciągnawszy ku niemu szyję, węszył. Giętki ogon drgał i chylił się w różne strony. Awaru tkwił przy ścianie jak skamieniały. Wstrzymał oddech, nie drgnęła mu powieka. Zwierzę postąpiło naprzód i wyprężone jak struna dotknęło czubkiem nosa kolana Awaru, a wówczas jakby zapomniawszy nagle o nim, opuściło ogon, rozejrzało się obojętnie i powolnym krokiem odeszło.

Awaru wypuścił z płuc zatrzymane powietrze i odetchnął głęboko. Odczekał, aż sheri zniknie, i przemknął do następnej sali. Była to mroczna, pozbawiona okien galeria, niezmiernie długa. Jej drugi koniec gubił się w mroku. Ściany i sufit, a także podłogę zbudowano z płaszczyzn, z których każda była nachylona w inną stronę. Galerię zamykała półkolistą ścianą, wzdłuż niej przesuwiał się Awaru, kiedy dobiegły go słowa wypowiedziane w dopiero co opuszczonej sali.

- Nie ma nikogo w kanale.
- Jesteś tego pewien, Mashi?
- Zbadałem całą jego długość...

Rozmowa ucichła, kroki się oddalały, ale Awaru nie miał odwagi wychylić się z wnęki, jaką znalazł w ścianie. Można tu było oczekiwać na zapadnięcie ciemności. Usłyszał cichy poszum, wcisnął się głębiej. To sheri mógł prowadzić ludzi jego śladem. Nikt się

jednak nie zjawiał, lecz ów poszum stawał się coraz głośniejszy. Awaru doznał wrażenia, że powietrze w galerii ruszyło się z miejsca, zakolysało i miarowym rytmem odpływa i przyplęwa do niego, niosąc fale szelestów i poszumów coraz potężniejszych.

Teraz wmieszało się do nich jeszcze niskie dudnienie, niby głuche uderzenia w skórzany bęben, stłumione, zrazu ledwo wyczuwalne jako drgania powietrza, lecz narastające i nabierające mocy z każdą chwilą. Huczące fale nadbiegały ku uszom Awaru, krzyżowały się, nakładały jedne na drugie. Kulił się w swojej wnęce i przychodziło mu do głowy, że dźwięki zbiegają się właśnie tutaj, aby uderzać w niego, ogłuszyć go i obezwładnić. Światło gasło za murami budowli, zszarzały wnętrza. Galeria huczała, jakby zamieniwszy się w nadmorską pieczarę, o którą biją fale potwornego sztormu. Pośród tego hałasu, który, zdawało się, zdolny był zagłuszyć wszystko, do uszu Awaru dotarł szept:

- Zaniechaj ucieczki...

Rozejrzył się gwałtownie. Nikogo nie było za nim ani przed nim, żadnego okienka czy szczeliny w ścianie, a jednak słowa zabrzmiały wyraźnie, słyszalne mimo ogłuszającego zgiełku.

- Bądź mi posłuszny - rozległo się znowu. - Odpowiedz, kim jesteś?

Słowa biegły zewsząd, były w powietrzu i wyłaniały się ze ścian.

- Odezwij się - mówił niewidzialny. - Wiem, gdzie jesteś, słyszę twój oddech i bicie twego serca. Nie opieraj się dłużej...

Awaru nie mógł znieść już burzy dźwięków, które docierały nie tylko do uszu, ale przenikały całe ciało. Dotąd bał się tylko ludzi, a teraz obudził się w nim lęk przed czymś niewiadomym. Szept płynący z powietrza brzmiał jak szept ducha, oddech gigantycznej istoty schylonej nad dachami budowli.

Zakrył rękami głowę i rzucił się do ucieczki. Wypadł z galerii, gdzie sprzed nóg prysnęły mu dwa cienie długoogoniastych sheri, a w następnym mgnieniu oka poczuł na ramionach mocny uścisk wielu dłoni. Cisza dzwoniła mu w uszach.

- Idź! - usłyszał.

Na plecach poczuł lekkie dotknięcie. Oczy miał zawiązane. Jego ręce trzymali idący po bokach ludzie. Kroczył pomiędzy nimi w milczeniu, wstępując na schody, wznosząc się pochylniami, to znów zstępując po nieskończenie wielu stopniach. Z początku próbował zapamiętać przebywaną drogę, ale po kilku zakrętach zgubił się zupełnie. Jedyne po brzmieniu stapań mógł poznać, czy jest we wnętrzu budowli, czy też pod otwartym niebem. Zatrzymali się na koniec, usłyszał oddalające się kroki. Poruszył się, a trzy- mające go palce zwarły się mocniej.

- Nie uciekam - powiedział.

- To dobrze - odparł jeden ze strażników.

- Na co czekamy? - zapytał.

- Dowiesz się wkrótce - padła odpowiedź.

- Czy muszę mieć jeszcze zakryte oczy?

- Musi? - zwrócił się jeden ze strażników do drugiego.

- Chyba już nie - odparł drugi z wahaniem - ale lepiej jeszcze nie odsłaniać.

- He-ej! - rozległo się dalekie wołanie wzmocnione echem pośród pustych ścian. -
Zbliźcie się!

- Dokąd idziemy? - spytał Awaru.

- Jesteś niecierpliwy - usłyszał. - Teraz bądź cicho. Znów przystanęli.

- Zdejmijcie mu to z głowy - rozkazał skrzeczący głos. -1 puśćcie go.

Znajdował się pośród czterech ścian, nad którymi nie było stropu. Zobaczył przedwieczorne ciemniejące niebo. Stał przed niskim mężczyzną o wielkiej głowie, który przyglądał mu się badawczo. Strażnicy, puściwszy ręce Awaru, stali po bokach, za sobą słyszał też poruszenia ludzi.

- Czekaliśmy na ciebie - rzekł mężczyzna o skrzeczącym głosie.

- I oto jesteś.

- Na mnie? - zdziwił się Awaru. - Czekaliście zapewne na kogo innego. - Zagryzł wargę.

- Ja - dorzucił - ja zaraz stąd odejdę...

- O! Nie, nie! - niski mężczyzna podniósł otwarte dłonie. -Właśnie o ciebie chodziło, bracie, bracie... -spojrzał wyczekująco.

- Twoje imię! - rzekł ktoś stojący Z tyłu.

- Jestem Shanti. Teraz widzicie, że nie o mnie chodzi...

- A więc, bracie Shanti - przerwał mężczyzna o wielkiej głowie, nie zważając na tłumaczenia - teraz powiesz mi, po co się tutaj zjawiałeś.

Jego kulista, łysa głowa, osadzona na cienkiej szyi, chwiała się z boku na bok. Awaru rozłożył ręce takim ruchem, jakby chciał dąć do poznania, że nie wie, co powiedzieć.

- Nie chcesz mówić?

- Chcę - odparł pośpiesznie - ale...

- Więc co? - nalegał mężczyzna.

- Jeśli powiem prawdę - rzekł Awaru - nie uwierzysz mi.
- Uwierzę! - zmarszczki na wypukłym czole wygładziły się.
- Mów śmiało, albowiem stoisz przed Nahti, Wielkim Bratem, który pragnie cię wysłuchać.

Kim był Wielki Brat, jeśli nie władcą wszystkich wyspiarzy! Paść na twarz? Awaru poczuł, jak fala gorąca obejmuje mu szyję. Był przygotowany na tę chwilę, kiedy znajdzie się w pobliżu władcy, ale miało się to odbyć zupełnie inaczej. Kamau uczył go, jak postąpić - miał być pokorny, cichy i zawsze skryty za czyimiś plecami, aby nie zwrócić na siebie ani cienia uwagi. Tymczasem...

Opuścił wzrok, schylił głowę i na tym poprzestał. Nikt tu nie klęczał ani nie leżał na ziemi. A może jednak upaść na twarz i prosić o przebaczenie? Wszystko zapewne już było im wiadome.

- Więc? - rzekł Wielki Brat.
- Jestem loki - zaczął Awaru nie podnosząc oczu - wędruję po kraju - dodał pewniejszym głosem. Skończył, patrząc już prosto w twarz Wielkiego Brata: - I przybyłem tutaj, aby ujrzeć z bliska dymiącą górę Suhmi.

Nahti milczał, nie odezwał się też nikt inny z otoczenia. Na niebie pojawiły się pierwsze gwiazdy. „Przegrałem” - powiedział sobie Awaru i zdziwił się, że nie czuje strachu przed tym, co musi teraz nastąpić.

- Odprowadźcie go - rzekł Wielki Brat.

Znalazł się sam, w ciemnościach, pośród czterech nagich murów. Tylko przez wysokie okno padało na strop trochę niebieskiej poświaty. Pod ścianą znalazł posłanie, a obok kilka owoców. Wyciągnął się i zamknął oczy, ale otworzył je natychmiast.

- Czy słyszysz mnie, bracie Shanti? - rozległo się w ciemności.
- Słyszę - odparł zwracając głowę w różne strony, aby przekonać się, gdzie stoi mówiący człowiek. Zerwał się z posłania i obszedł dokoła ściany, nikogo jednak nie spotkał. - Kim jesteś? - spytał.
- I gdzie się ukrywasz?
- Jestem jednym z braci - brzmiała odpowiedź. - Wielki Brat polecił mi wypytać cię.
- Pokaż się więc. Czy jesteś niewidzialny?
- Nie - w ciemności rozległ się cichy śmiech. - Pokazać się nie mogę, bo jestem daleko od ciebie, Shanti.

- Żartujesz ze mnie - powiedział Awaru. - Słyszę twój głos, jakbyś stał tuż obok - wrócił do posłania i wyciągnął się na nim.

- Nie żartuję ani też nie stoję obok. Mój głos płynie wzdłuż pustej przestrzeni, jaka jest w murach, a potem uderza o płytę stropu, którą jest nakryte twoje... - mówiący zawahał się i przerwał.

- Więzienie - dokończył Awaru.
- Nie jesteś więźniem - rzucił szybko tamten.
- A kim w takim razie, czy nie zostałem schwytany?
- Tak - przyznał głos - ale w innym przypadku trudno byłoby dojść z tobą do porozumienia.
- I tak możecie zrobić ze mną wszystko. Nie chciałbym tylko

- powiedział Awaru - jeszcze raz przeżyć takiego hałasu. Dotąd dzwoni mi w uszach.
- Po cóż więc tam wchodziłeś? - zdziwił się głos.
- Nie rozumiem...

- Jesteś prawdziwym loki, o niczym nie masz pojęcia. Posłuchaj:

Galeria ma tysiąc kroków długości. Zbudowana jest tak, aby najcichszy szept, wypowiedziany na jednym jej końcu, mógł być wyraźnie usłyszany na drugim. Głos biegnie galerią i, zamiast słabnąć, odbija się od jej ścian, stropu i posadzki, które są wykonane z różnych materiałów. A kiedy przebywszy owe tysiąc kroków, dosięgnie drugiego końca, też nie zamiera, ale poczyną wracać do miejsca, skąd wyszedł. Co więcej, powraca silniejszy, a potem krąży tam i na powrót wzmagając się, dopóki nie zacznie słabnąć, gdy podążające naprzeciw siebie echa zaczną się spotykać i tłumić nawzajem. Można tam usłyszeć własny oddech lub bicie serca myszy, a głos świerszcza brzmi tam jak trzask piorunu.

- Skoro świt - powiedział głos przemawiający w ciemnościach
- staniesz przed obliczem Wielkiego Brata.
- Będę sądzony?
- Nie - w głosie zabrzmiało zdziwienie. - Usłyszysz słowa prawdy z ust Nahti, Wielkiego Brata.

„Może nie jestem jeszcze zgubiony? - pomyślał Awaru. - Może nie wiedzą wszystkiego i próbują się dowiedzieć? Na starym łądzie

- wspomniał - niewiele pytano w takich przypadkach, wystarczyło pokazać więźniowi odrobinę płonącego tłuszczu lub drzazgę z bambusa, aby sam powiedział wszystko".

Przewrócił się niespokojnie na pościeli.

- Czy myślałeś kiedy nad sprawami państwa? - zapytał głos.
- Trochę - odparł Awaru.
- A o sprawach władzy?
- Niewiele - powiedział ostrożnie.
- Ile ludzi może naraz sprawować rządy?

Awaru uśmiechnął się, twarz miał skrytą w ciemności. Takich rozmów słyszał nieskończoną ilość na dworze króla, swego ojca.

- Jeden - odparł - tylko jeden i nikt więcej.
- Mówisz prawdę - rzekł głos. - Ucieszysz tym Wielkiego Brata. Z jego polecenia miałem podjąć z tobą dyskusję, gdybyś uważał inaczej, ale widzę, że jesteś jednego z nami zdania, chociaż większość mieszkańców wyspy myśli inaczej.
- Mhm... - odezwał się niewyraźnie Awaru. „Nic z tego nie rozumiem - pomyślał - trzeba mniej mówić".

- Mogę więc - brzmiało w ciemnościach - odłonić przed tobą część tajemnicy. Dowiedz się, że jesteś w rękach tych, do których należy przyszłość. Jesteś pośród Braci Suhmi i od ciebie tylko zależy, abyś został jednym z nich. Powiedz, czy słyszałeś o nas cokolwiek?

„A więc - pomyślał sobie Awaru - jeszcze raz uratowałem głowę. Zostanę, kim zechcę".

- Oczywiście, nie mogłeś słyszeć - rzekł głos. - Jest nas bardzo niewiele. Teraz odpoczywaj, jutro zaś usłyszysz o naszych celach od Wielkiego Brata.

- Czy potem zostanę stąd wypuszczony? - spytał Awaru.

Nie było odpowiedzi. Zapadła głucha cisza nocy. Przez otwór pod stropem wpadało nieco bladego światła, to młody księżyc ukazał się nad horyzontem.

Kiedy otworzył oczy, było już zupełnie jasno. Dwaj mężczyźni, wzięwszy Awaru między siebie, wyprowadzili go z budynku. Na rozległym tarasie stał Wielki Brat w otoczeniu kilku ludzi. Spoglądali na góry. Wiatr sprawił, że były odsłonięte, a niebo nad nimi czyste. W przejrzystym powietrzu ostro rysował się czarny stożek szczytu Suhmi. Przestał już dymić, za to pluł ogniem.

Wielki Brat nie odwracając głowy przemówił:

- Spójrz, bracie Shanti, na tę górę, której imię przyjęliśmy za swoje - podniósł dłoń i wskazał ciemną piramidę, na której raz po raz wykwiwały postrzępione języki ognia. - Suhmi jest pełna gniewu, tak jak my nosimy w sobie nasze niezadowolenie - opuścił dłoń i odwracając się nagle, postąpił dwa kroki ku Awaru. - Słyszałem - powiedział - że jesteś jednej myśli z nami, czy tak jest w istocie?

- Tak jest - skłonił głową Awaru.

- Słuchaj więc... - zaczął Wielki Brat, przerwał jednak i opuściwszy wzrok, spojrzał wprost w ziemię.

Szare płyty pod stopami Awaru poruszyły się. Drgnęły, zadygotały przez krótką chwilę i zamarły. Wielki Brat podniósł oczy, ale zanim zdołał przemówić, zbliżył się do niego jeden z mężczyzn.

- Nahti - powiedział - czy nie lepiej oddalić się stąd na pewien czas? Góra grozi wybuchem...

- Nie pierwszy raz - rzucił Wielki Brat niecierpliwie i machał ręką. - Słuchaj więc - zwrócił się ponownie do Awaru. - Jest to historia, której nie znasz, albowiem upłynęło już życie całego pokolenia od czasu wielkich zmian, jakie zaszły na wyspie. Władza królewska dostała się wówczas w ręce Rady Czterdziestu. Dzisiaj nikt nawet nie wyobraża sobie, aby mogło być inaczej. To, co powinny dzierżyć dłonie jednego władcy, znajduje się w czterdziestu parach rąk. Co gorsza, zupełnie zaślepieni mieszkańcy całego kraju uważają, iż tak jest dobrze. Tylko nieliczni pragną powrotu dawnego porządku, a ty jesteś jednym z nich, czy tak?

- Tego tylko pragnę - powiedział Awaru i opuścił powieki, aby skryć oczy.

- Czy gotów jesteś uczynić coś dla przywrócenia właściwej władzy?

- Jestem gotów! - odparł Awaru i spojrzał prosto w oczy Wielkiego Brata.

- Więc będziesz wtajemniczony. Tehi! - skinął dłonią na jednego z mężczyzn. - Zajmij się bratem Shanti.

Mężczyzna wystąpił z grupy, a Wielki Brat z pozostałymi znikł we wnętrzu budynku.

Tehi ujął Awaru za łokieć i jał spacerować z nim, zataczając koła na tarasie. Był wysoki, chudy i aby spojrzeć mu w twarz, Awaru musiał podnosić spojrzenie ku górze.

- Dowiedz się - mówił Tehi - że jest nas, Braci Suhmi, nie więcej niż palców u nóg i rąk. Na razie.

„Wydaje się - myślał Awaru - że przestali mnie pilnować. Stąd można by zeskoczyć na niższy taras...”

- Postawiliśmy sobie za cel - ciągnął Tehi - usunięcie obecnego porządku i przywrócenie

władzy królewskiej. Nasz Wielki Brat, Nahti, obrał dawną siedzibę władcy i stolicę kraju jako miejsce swojego pobytu. Teraz jest tu pusto i cicho - podniósł rękę i szerokim ruchem ukazał piętrzące się tarasy i mury, długie ciągi schodów rozpięte na skłonach gór - odeszli stąd wszyscy i tylko my, Bracia Suhmi, jesteśmy jedynymi mieszkańcami budowli. Zmieni się to w dniu, kiedy zwyciężymy.

Awaru skinął głową. „Przyszedłem tutaj - pomyślał - za fałszywym tropem. Mogło skończyć się gorzej, na razie straciłem jedynie kilka dni. Gdyby tylko wiedzieć, czy jestem już wolny...”

- Wtedy powrócą tu wszyscy - ciągnął Tehi - a właściwa stolica wyspy odzyska dawną świetność, za to w zapomnienie pójdzie Tees, ośrodek nieprawej władzy.

- Tees - szepnął Awaru.

- Spójrz tam - Tehi schylił się nieco i wyprężonym palcem wskazał daleką linię horyzontu, gdzie lśniło krótkie pasemko jaskrawej bieli.

Awaru spojrzał z bliska na Tehi i wydało mu się, że oblicze tego człowieka jest jakby powleczone skórą zdjętą z innej twarzy, zbyt luźną i nie dopasowaną, miejscami napiętą do granic wytrzymałości, gdzie indziej zwisającą w luźnych fałdach. Przez wycięte w niej dwa małe otworki patrzyły na świat błyszczące oczy.

- Dopniemy swego celu - podjął Tehi - tłumacząc ludziom, że błądzą. Czy rozumiesz mnie dobrze, Shanti?

- Tak - skinął głową Awaru. Ponad ramieniem Tehi widział pasemko Tees na horyzoncie. Leżało nie dalej niż o dzień, dwa szybkiego marszu.

- My wszyscy, nie wyłączając Wielkiego Brata, udajemy się w wędrówki po kraju. Rozmawiamy z ludźmi i pozyskujemy ich dla naszych planów. Każdy, kto da się przekonać, zostaje przyjęty do nas. Poznajemy się nawzajem, podnosząc dłoń do czoła i wymawiając imię Wielkiej Góry Suhmi. A kiedy już wszyscy na wyspie będą Braćmi Suhmi, nie pozostanie nic innego, jak rozwiązać Radę Czterdziestu i przystąpić do wyboru jednego władcy.

- Co mam uczynić? - spytał Awaru. - Czy także udać się między ludzi?

- Nie wiesz jeszcze, jak należy rozmawiać - rzekł Tehi - jak ich przekonywać. Sam zapal nie wystarczy. Zostaniesz tutaj, dopóki nie nauczysz się tego, a wtedy dopiero zaczniesz pełnić swe posłannictwo.

- Chciałbym wiedzieć - spytał Awaru - jak długo potrwa nauka?

- Bądź cierpliwy - rzekł Tehi - i nie próbuj uciekać, bo z tej części budowli nie ma żadnego wyjścia oprócz jednego, które jest strzeżone. Swobodę odzyskasz dopiero wtedy, gdy przekonamy się, że jesteś całkowicie gotów przystać do nas.

Odwrócił się i odszedł z wolna, zanurzył się w cieniu ściany i zniknął w ciemnym otworze. Nikogo więcej nie było na tarasie.

Awaru odprowadził go wzrokiem, powiódł spojrzeniem po szeregu kwadratowych okien ciemniejących na wysokiej ścianie. Sąsiedni taras leżał niżej, zaledwie p trzy wysokości człowieka. Z niego można było zeskoczyć na następny, dalej były pochylnie i schody, które prowadziły na skraj budowli, w pobliże lasu.

Zbliżył się do krawędzi tarasu i spojrzawszy w dół zrozumiał, dlaczego pozostawiono go bez straży. Niższy taras był odsunięty na odległość niemożliwą do przeskoczenia, a

oddzielająca go rozpadlina, ciemna otchłań pomiędzy dwoma murami, zbyt głęboka, aby zeskoczyć do niej bez obawy pogruchotania kości.

Usiadł na brzegu i zwiesił nogi. Patrzył na leżący w dole kraj. Dostrzegł błyszczącą wstęgę rzeki i daleko na równinie ciemne pasma Lasu Jednego Drzewa. Zobaczył też morze sięgające w głąb lądu jęzorem błękitnej zatoki.

U podnóża muru, na którym siedział, coś się poruszyło. Skierował tam spojrzenie. Zza narożnika wychyliła się dziewczyna.

Poznał ją w tej samej chwili. To była ona! Z dłońmi opartymi o mur sunęła wzdłuż rozpadliny, oglądając się i badając drogę przed sobą. Nie spojrzała tylko do góry. Awaru obejrzał się, taras był wciąż pusty. Przeciągnął się i głośno ziewnął. Dziewczyna stanęła w miejscu, zobaczył jej twarz wzniesioną ku górze i czujne spojrzenie. Poznała go i przyłożywszy palec do ust, dała znak milczenia, a potem ruchem dłoni wezwała go do siebie.

Awaru udając, że się przeciąga, rozłożył dłonie, aby pokazać swą bezradność.

- Idź w dół - posłyszał szept dziewczyny - do wielkiej sali z wodą. Spiesz się...

Szept ucichł i nie powtórzył się. Awaru rozejrzał się, jakby niezdecydowany, co uczynić, spojrzał na słońce i, udając, że wygania go upał, wstał opierając się na rękach. W głębi rozpadliny nie było już nikogo. Wszedł do budynku. W przestronnej sali panowała cisza. Stapając bezszelestnie dotarł do następnej, kilka otworów wiodło stąd do sąsiednich pomieszczeń. Wybrał przejście zwrócone ku niższej części budowli. Znalazł się na długiej pochylni, strop nad nią pełen był równoległych prześwitów, w których ukazywało się niebo. Daleko w dole, u wylotu korytarza, ukazała się jakaś postać. Awaru szedł jej naprzeciw, starając się robić to krokiem najbardziej swobodnym. W miarę jak przesuwiał się pod prześwitami, uderzały go plamy czerni i bieli. Podobnie człowiek idący z dołu był raz czarną sylwetką, to znów postacią białą jak duch.

- Jak spędziłeś noc, bracie Shanti? - zapytał ów człowiek, kiedy znalazł się już blisko.

- Spałem - odparł Awaru. - Poznaję twój głos.

- Nie omyliłeś się - rzekł mężczyzna - rozmawiałem z tobą w nocy.

Przechylił głowę i nadśluchiwał.

- Znowu - szepnął. - Znowu drży... Spójrz na te paski światła i cienia, zwykle odcinają się ostro, ale kiedy Suhmi budzi się i przemawia, krawędzie cieni rozmazują się i pomiędzy światłem a cieniem powstaje drgający pas szarości.

Awaru za przykładem mężczyzny przyłożył dłoń do ściany, przebiegały ją wstrząsy, tak jednak słabe, że ledwie wyczuwalne. Mężczyzna ruszył w swoją stronę, odchodząc rzucił przez ramię:

- Idź na dół, znajdziesz tam wszystkich braci.

Nie można już było się cofnąć. Awaru poszedł w dół i trafił na poprzeczną galerię z przejściami do wielu sal. Z którejs z nich dobiegały głosy. Posuwał się bezszelestnie wzdłuż galerii. Dwa kolejne pomieszczenia, do których wślizgiwał się, nie miały drugiego wyjścia. W trzecim stali ludzie. Zajrzawszy jednym okiem zza krawędzi muru, zobaczył na posadzce smugi światła, dostrzegł też cienie postaci poruszających rękami. Jednym krokiem przemknął obok otworu i biegł na palcach do następnego.

Znalazł za nim jeszcze jedną pochylnię, sprowadziła go na niższy poziom, do rozległej sali o dnie zalanym wodą. Dziewczyny nie było ani śladu. Wzdłuż jednego brzegu zbiornika ciągnął się chodnik, pozostałych trzech ścian sali dotykała woda. Drugiego wyjścia nie było. Panował tu półmrok, woda spoczywała nieruchomo, ciemna i

nieprzejrzysta. Pływały po niej zeschnięte liście, w narożach zebrał się kożuch brudu. Na gładkiej tafli leżała plama światła. Po chwili zrozumiał: światło płynęło z podwodnego otworu w jednej ze ścian zbiornika.

Opuścił do wody nogi i zanurzył całe ciało. Objęła go zimnym uściskiem. Zawisł na ręce, starając się odzyskać zdławiony zimnem oddech.

Coś dotknęło palców trzymających brzeg. Zobaczył nad sobą łeb sheri. Zwierzę było podniecone, długim ogonem uderzało się po bokach i raz po raz trącało nosem dłoń Awaru. Z gardła sheri wydobywał się donośny skowyt. Łeb ze sztywno sterczącymi uszami zwracał się w stronę pochylni, jakby w oczekiwaniu na ukazanie się nadchodzącego człowieka.

Awaru nabrał pełną pierś powietrza i puściwszy krawędź, zsunął się w głębinę. Woda zwarła się nad nim miękko. Wzdłuż obrosniętej wełniastymi wodorostami ściany opadł na dno, tam obrócił się i odepchnął nogami, popłynął w stronę świetlnej plamy. Sunął tuż ponad gąszczem podwodnych zarośli, odgarniając je pospiesznymi ruchami rąk.

Przepląnął przez prostokątny otwór w ścianie zbiornika i za chwilę, gdy poczynało mu już braknąć powietrza, znalazł się w przestrzeni oświetlonej drgającymi promieniami słońca. Zobaczył nad sobą srebrzystą tafelkę wody stykającą się z powietrzem i biegnące ku niej pęcherzyki powietrza. Wypłynął tuż

przy brzegu i wyskoczył na kamienny taras już poza obrębem budynku.

Poprzez strugi spływające z włosów ujrzał dziewczynę i pobiegł za nią rozsiewając ulewę kropel. Ciemnymi śladami stóp znańczył gładkie płyty, długie ciągi schodów i płaszczyzny tarasów. Obejrzał się kilka razy, ale nie dostrzegł żadnego poruszenia ani pościgu.

Dziewczyna zatrzymała się dopiero na skraju lasu, pod gałęziami drzew. Zaszli się w gęstwinie, Awaru był już suchy. Oparci o pnie drzew patrzyli na siebie łowiąc powietrze otwartymi ustami. Szafirowe oczy dziewczyny ściemniały ze zmęczenia.

Awaru odwrócił spojrzenie i rozchyliwszy oburącz gałęzie, wyjrzał na otwartą przestrzeń.

- Nie będą... - odezwała się dziewczyna przerywanym głosem - nie będą już nas ścigać.
- Znasz ich?
- Znam - skinęła głową. - Są tu od dawna.
- Co tam robiłaś? - zdziwił się Awaru. - Mogli cię przecież schwytać?
- Znam ich już dobrze - odparła dziewczyna. - Od czasu do czasu ktoś wpada im w ręce, ale zwykle ucieka po pewnym czasie.
- Skąd się tu wzięłaś?
- Chciałam cię ostrzec - zerwała liść i jego czerwoną łodyżkę wzięła do ust. - Suhmi grozi wybuchem, trzeba się stąd oddalić jak najprędzej.
- Skąd wiedziałaś, że będę tutaj?

Wzruszyła ramionami, liść obrócił się w jej ustach.

- W tej okolicy - powiedziała - ludzie zjawiają się tylko po to, żeby zobaczyć budowlę. Przyszłam tu dopiero dziś o świcie i zobaczyłam cię z daleka, w otoczeniu braci.
- A oni? - zapytał Awaru patrząc w oczy dziewczyny, które odzyskały już swój szafirowy kolor. - Bracia Suhmi, czy nie trzeba ich ostrzec przed niebezpieczeństwem?
- Nie trzeba - odparła - dobrze je znają, zresztą w budowlu nic im nie grozi. Musiałby się świat zawalić, żeby poruszyć te mury.

- W takim razie... - powiedział Awaru, urwał i dokończył w myśli: „W takim razie i mnie nic nie groziło...”

Dziewczyna opuściła powieki, liść z jej ust spłynął na ziemię.

- Chodźmy - powiedziała cicho. - W razie wybuchu tędy popłynie ława.

Awaru zatrzymał ją ruchem ręki. Palcem wskazał zielony gąszcz. Dochodziły stamtąd szelesty i trzaski łamanych gałązek. Na chwilę uciszyło się, potem hałasy rozbrzmiały z nową siłą, zbliżając się coraz bardziej.

- Bracia Suhmi? - szepnęła ze zdziwieniem dziewczyna.

- Nie - odparł Awaru - to jakieś zwierzę. - „Może - pomyślał - wytropił mnie sheri, któremu umknąłem do wody?”

Wstrzymawszy oddechy, czekali, co wyłoni się spośród gałęzi. W gęstwinie zamajaczyła żółta plama i wprost pod nogi Awaru wypadł sheri. Zwierzę było olbrzymie, większe od wszystkich, jakie widział dotychczas, grzbietem sięgało mu do pasa. Było pokryte falującym futrem o ciemnożółtej, nasyconej barwie i jedynie na piersi sheri widniała plama czarnej jak sadza sierści, czarny był też koniec pyska i sam czubek drgającego gwałtownie ogona.

Na widok ludzi sheri nie zawahał się ani na chwilę, uniósł się na tylnych łapach, a jego głowa znalazła się naprzeciw twarzy Awaru, który odstał pół kroku. Ogromne oczy połyskiwały matową zielenią niby dwa klejnoty wciśnięte w ciemnożółte futro. Z pyska zwierzęcia wydobywały się żalosne skomlenia i pomruki.

Utrzymywało się chwilę w postaci stojącej, po czym opadło na cztery łapy i trąciwszy nosem dłoń Awaru, odskoczyło w stronę krzaków, oglądając się na ludzi.

- On prosi, żebyśmy poszli za nim - powiedziała dziewczyna. Sheri prowadził oglądając się co kilka kroków. Dotarli do

przecinającej las ścieżki i zwierzę rzuciło się nią w dół zbocza. Był tu pomiędzy dwiema ścianami wysokiego lasu pas niższych zarośli, jakby ślad po istniejącej niegdyś wielkiej drodze.

Sheri przypadł do leżącego na ziemi człowieka, dotknął go nosem, a potem odskoczył i wbił spojrzenie w nadchodzącego Awaru.

- Nie żyje! - zawołała cicho dziewczyna.

Awaru poruszył przecząco głową, dostrzegł, jak pierś leżącego uniosła się powolnym oddechem. Pochylił się nad nim, z drugiej strony uklęknęła dziewczyna. Leżący oddychał ciężko, usłyszeli jego

chrapliwy oddech. Powoli otworzył powieki. Zrazu patrzył prosto w niebo poprzez zasłone liści, potem zwrócił źrenice ku twarzy dziewczyny; na koniec skierował spojrzenie ku Awaru. Nie odwracał go już. Patrzył bez zmrużenia powiek, jego oddech uciszył się, stał się głębszy, poruszyły się wargi.

- Jak ci pomóc? - spytała dziewczyna. - Co się stało? Powieki leżącego opadły na chwilę, a usta wykrzywiły się w bladym uśmiechu.

- Musimy coś zrobić - powiedziała dziewczyna do Awaru.

- Umieram - szepnął leżący. - I nie można już temu przeszkodzić... - milczał chwilę i dodał ledwo dosłyszalnie: - Już czas, abym odszedł.

Patrzyli w jego twarz pokrytą zmarszczkami, wychudzone przez wiek policzki i starcze oczy wpadnięte w głąb oczodołów.

- Żyjesz jeszcze - powiedziała dziewczyna - i zabierzemy cię stąd. Zostań przy nim - zwróciła się do Awaru - a ja pójdę na dół sprowadzić pomoc.

Zerwała się i pobiegła ścieżką pośród zarośli. Awaru patrzył, jak za chwiejącymi się gałęziami jej postać znika niby smukły, szybki cień. „Powinienem stąd odejść - powiedział sobie - zanim ona wróci, aby nie spotkać jej nigdy więcej. Tak będzie najlepiej, jeżeli mam wykonać wszystko, czego pragnę, i wydostać się z wyspy...”

Uczuł na kolanie ucisk palców leżącego.

- Pomóż mi - powiedział ochryple starzec - położyć się wyżej. Awaru począł zbierać suche gałęzie, ułożył z nich wiązkę, przykrył ją młodymi, pełnymi świeżych liści gałązkami zerwanymi z krzewów, na to ułożył gruby pokład mchu, którego czapy obsiadły pobliski zmurszały pień. Wziąwszy mężczyznę pod ramiona, uniósł go i oparł na postaniu w pozycji półleżącej. Żółty sheri przez cały czas obserwował czynności Awaru kręcąc się między nim a swym panem. A kiedy ten spoczął znów w bezruchu, sheri usiadł i nie spuszczał wzroku z jego twarzy.

- Kim jesteś? - spytał starzec.

Oczy miał otwarte i patrzył w przestrzeń, lecz gdy padło słowo „loki”, przez chwilę spoglądał w oczy Awaru. Przyszedł nieco do siebie, oddychał swobodniej, odzyskał też zdolność mówienia.

- Niebawem umrę. Muszę się spieszyć, aby powiedzieć to, co pragnę ci przekazać. Najważniejsze jest, żebyś zapamiętał imię pewnego człowieka: Sarhi.

- Sarhi - powtórzył Awaru.

- Sarhi - ciągnął starzec - jest moim uczniem, odnajdziesz go, aby powiedzieć o mojej śmierci i przekazać mu moje imię, które brzmi Raruhi. Obiecujesz, że to uczynisz?

Wyblakłe oczy skryte głęboko w oczodołach zwróciły się ku twarzy Awaru. Cóż mógł odpowiedzieć?

- Tak - powiedział - obiecuję, że Sarhi dowie się o śmierci Raruhi.

- Dobrze - szepnął starzec - ale to nie wystarczy.

- Co jeszcze mam powiedzieć?

- Że przekazuję mu swoje imię, rozumiesz?

- Rozumiem - odparł Awaru, ale w jego głosie nie było pewności i Raruhi to wyczuł.

- Pośród nas, badaczy - powiedział - jest zwyczaj, że w chwili śmierci lub wcześniej mistrz przekazuje swoje imię najlepszemu uczniowi. Uczeń, jeżeli chce, może to imię przybrać i używać zamiast swego albo obu razem.

Zamilkł i leżał, przymknąwszy powieki. Awaru klęczał przy postaniu z gałęzi. Nad nimi poruszały się lekko drzewa kołysane słabym powiewem. Niebo, choć bezchmurne, nie miało swej zwykłej barwy. Zdawało się, że błękit został zmieszany z szarością, a sprawiły to pyłki popiołu rozsiane w powietrzu.

- Przez całe życie - raz jeszcze zaczął starzec - badałem skały, kamienie i ziemię, wszystko, co w niej jest, co można wydobyć i spożytkować. Przyszedłem tu, do podnóża Suhmi, żeby zdobyć zastygłe kawałki wyrzucanej przez górę lawy, ale zabrakło mi sił. Nie zdołałem już tego dokonać ani niczego innego.

Głowa Raruhi opadła niżej na poduszce z mchu, twarz jego jakby zszarzała, oddech stał się płytszy, ledwo dostrzegalnie poruszały się zapadnięte piersi.

- Weź - szepnął - mojego sheri ze sobą, nazywam go Rai... Zwierzę, usłyszawszy dźwięk swego imienia, podniosło się

z miejsca u stóp starca i zbliżywszy się powolnym krokiem, ułożyło przy jego boku.

- Znajdziesz Sarhi - szepnął starzec - znajdziesz go w Tees. Przymknął oczy, leżał nieruchomo. Nagle znów zaszeptał:

- Prawie całe życie spędziłem na wyspie. Ale urodziłem się daleko stąd. Miałem szesnaście lat i byłem już wojownikiem. Tamtego dnia wypłynąłem na połów ryb. Burza porwała łódź, straciliśmy wiosła. Po długiej żegludze fale wyrzuciły mnie wraz z pięcioma towarzyszami na nieznaną łódź. To była wyspa. Poszliśmy wzdłuż wybrzeża, a naprzeciw nas zjawili się kilku ludzi. Nie rozumieliśmy, co do nas mówią. Moi towarzysze uzbrojeni w dziuryty rzucili się na nich. Zapewne zrobiłbym to samo, gdybym miał cokolwiek w ręku. Patrzałem więc tylko. Padło dwóch obcych, lecz w rękach pozostałych pojawiły się oślepiające błyski, a w następnym mgnieniu oka wszyscy moi towarzysze stracili życie. Zostałem sam.

- Dostałeś się do niewoli? - spytał Awaru.

- Nie - szepnął starzec. -I to było dla mnie niepojęte. Nikt nie zbliżył się do mnie, nikt nie próbował mnie zabić ani schwytać. Nie mogłem w to uwierzyć, ukrywałem się, ale nikt mnie nie szukał.

- Mimo, że byłeś wrogiem?

- Byłem nim, ale pozwolili mi zostać i żyć między sobą, jakby nic się nie stało. Tacy oni są. Nikt nigdzie tak nie postępuje, wielu lat potrzebowałem, aby to zrozumieć.

Słońce minęło zenit i w drodze ku zachodowi wychyliło się spod gałęzi białe, świecące obcym blaskiem, otoczone niebem szarym i matowym. Dziewczyna nie wracała, czas płynął. „Teraz - myślał Awaru - powinienem odejść”. Siedział jednak nadal obok starca. Drgnął, usłyszawszy nagły skowyt sheri. Zwierzę zerwało się na równe nogi i z ogonem podwiniętym pod siebie patrzyło w twarz starca.

Raruhi już nie żył. Twarz jego zszarzała, ustał oddech, powieki zapadły w głąb czaszki. Awaru powstał i obchodząc okoliczne krzewy począł z nich obłamywać gałęzie, aby zwyczajem swego plemienia nad ciałem zmarłego ustawić liściasty szałas. Wracał z całymi naręczami i wtykając gałęzie w ziemię grubszym końcem, otaczał ciało Raruhi zielonym ogrodzeniem.

W czasie kiedy to robił, zadrżała ziemia. Najpierw, jakby pod uderzeniem grubych kropeł nagłej ulewy, wstrząsnęły się z suchym szmerem liście na drzewach, a ziemię przebiegł dreszcz niepokoju. W następnej chwili ziemia zakołysała się. Niby pokład statku pchniętego gwałtowną falą ruszyła do przodu, potem wstecz, obsunęła się nieco i zanim Awaru stracił równowagę, legła już w spokoju.

Ucichł skowyt sheri. Na rozstawionych szeroko łapach zwierzę czekało powtórnego wstrząsu, który nie następował. Awaru zakończył pospiesznie zatykanie gałęzi, ich czubki zagiął ku środkowi, poprzeplatał odroślą i umocnił konstrukcję przyciskając ją kilkoma grubszymi gałęziami, a potem wszedł na ścieżkę wiodącą w dół zbocza i ruszył w stronę, gdzie odeszła dziewczyna. Przed wejściem w krzaki obejrzał się. Sheri z opuszczonym

łbem i ogonem stał obok małego szałasu podobnego do kupki zgarniętych liści i patrzył za nim.

- Chodź - powiedział Awaru.

Las przesłaniał widok we wszystkich kierunkach, niewidoczne też były góry. Powietrzem przetoczył się niski, turkocący łomot. Niebo powlekało się czarnymi jak sadza obłokami. Słońce było już niżej od nich i oświetlając je od dołu, rozlewało na czarnym tle krwawy poblask.

- Prędziej - zawołała dziewczyna. - Musimy jechać prędziej!

Minęła Awaru w ciemnościach i wysunęła się do przodu, ginąc mu niemal z oczu.

Pochylił się i uderzył piętami boki antylopy, palce obu rąk zacisnął na krótkiej grzywie.

Zwierzę przyspieszyło, przechodząc w długi, kołyszący kłus, i niebawem zrównało się z antylopą, na której grzbiecie siedziała dziewczyna.

Księżyc nie ukazał się jeszcze, a gwiazdy były widoczne zaledwie na połowie nieba.

Drugą pokrywała czarna ławica dymu i popiołu. Ciągnęła się od łańcucha górskiego, rozsiewana przez Suhmi. Ponad jej wierzchołkiem szalał czerwony ogień unoszący się na

wielką wysokość. Płonął nieustannie, przygasając tylko chwilami, aby znów trysnąć pióropuszcami krwawych ogni. Po czarnych zboczach spływały świecące czerwienią węże lawy.

Antylopy, opuściwszy wąskie koryta wąwozów, biegły po otwartej przestrzeni. Wpadały w niskie zarośla nie sięgające im brzucha i pędziły nie zmniejszając szybkości, rwąc kopytami gałęzie i liście. Sheri dotrzymywał im kroku skacząc wysokimi łukami ponad kępy.

- Zatrzymasz go przy sobie? - spytała dziewczyna przekrzykując tupot rozpędzonych kopyt.

- Jeśli zostanie...

- Już został! - odrzyknęła. - Czy starzec powiedział ci, jak go nazywać?

- Rai!

Jechali blisko siebie, podskakując na szerokich grzbietach. Gdy teren stawał się

równiejszy, antylopy biegły spokojniej i wówczas można było zamienić kilka słów.

Oglądali się za siebie na góry. Zdawało się, że pasma rozjarzonej lawy spływają coraz niżej.

- Jechałam z dołu - powiedziała dziewczyna - i byłam jeszcze daleko od miejsca, gdzie zostałeś z umierającym, kiedy zaczął się wybuch. Sądziłam, że uciekniesz i nie spotkam cię w ciemnościach.

„Nie mogłem ukryć się przed nią - myślał Awaru. - Zrobiłbym to, gdyby nie przemówiła Suhmi, ale i tak odejdę, skoro tylko będziemy już w bezpiecznym miejscu”.

- Spóźniłam się - mówiła dalej - bo Meihi nie było tam, gdzie jest zwykle ze swym stadem. Uciekł pewnie przed groźbą wybuchu na niziny i tylko parę zbłąkanych antylop zostało przy zagrodzie. Długo trwało, zanim schwytałam te dwie.

Zwierzęta zwolniły biegu, jęły wspinać się po mocno nachylonym stoku. Dotarłszy na wzniesienie, zwróciły nagle łby ku zachodowi i unosząc je pod wiatr, węszyły. Dotąd, choć nie prowadzone, trzymały się jednego kierunku, teraz skręciły gwałtownie.

Dziewczyna spróbowała zawrócić swoje zwierzę na dawny szlak, uderzyła je dłonią po szyi i chwytając za rogi skręcała łeb antylopy. Ta jednak, parskając, wyrwała się i nie pozwalała zepchnąć z nowo obranej drogi.

- Czują stado - powiedział Awaru. - Jest tutaj blisko.

Wyprostował się i zwróciwszy twarz pod wiatr, łowił nozdrzami niesione przezeń zapachy.

Z mroku wyłoniły się sylwetki zwierząt. Poruszały się niespokojnie, stłoczone w gromadę. Nad nimi unosił się suchy stukot uderzających o siebie rogów.

- Meihi! - zawołała dziewczyna. - Jesteś tutaj? - Zsunęła się z grzbietu antylopy, a uwolnione zwierzę podbiegło do stada.

- Jestem - odparł męski głos.

Awaru zeskoczył na ziemię i poszedł za dziewczyną, a obok jak bezszelestny cień przesunął się sheri. Zobaczył ją koło mężczyzny, który klęcząc łamał oburącz suche patyki i układał z nich stos.

- A! - powiedział Meihi. - To ty! Uciekamy wszyscy. Spodziewałaś się wybuchu? - zwrócił się do dziewczyny.

- Były ostrzeżenia - odparła.

- Tak, było kilka lat spokoju i znowu się zaczyna.

- Co robisz z tym drewnem? - zapytała.

- Dziś rano wyruszyłem w drogę ze stadem, żeby oddalić się od Suhmi. Pędziłem je cały dzień, do późnego wieczora. Ale kiedy zapadły ciemności, zwierzęta wystraszone trzęsieniem i hukami rozbiegły się po okolicy. Chcę więc zapalić ogień, żeby powróciły kierując się blaskiem. Kiedy się rozwidni, będzie można wyruszyć w drogę, nie wiem tylko, jak daleko trzeba będzie iść.

Mówił dalej, ale Awaru nie zwracał już na to uwagi, wpatrywał się w ręce Meihi.

Mężczyzna wyjął z torby niewielki przedmiot.

Nagle w jego palcach buchnął płomień i mężczyzna rzucił go między zgromadzone gałązki suchych krzaków. Zająły się ogniem i krąg jasności otoczył ludzi oraz najbliższe zwierzęta. Mężczyzna odłożył na ziemię przedmiot, który wywołał ogień. Awaru przysunął się i wziął go w palce.

Naczynie dające się zamknąć w dłoni, o kształcie małej tykwy, lecz całkowicie przezroczyste, wykonane z materiału podobnego do białego kryształu. W górnej części ma otwór, który zamykany jest szczelnie zatyczką z tego samego materiału. Wewnątrz - płyn przezroczysty jak woda, ale bardziej gęsty od niej. Kroplę tego płynu upuszcza się na bryłkę ciemnej substancji przechowywanej w woreczku skórzanym. Wówczas wybucha płomień, od którego zapala się drewno.

Płomień ogniska strzelał coraz wyżej. W ciemnościach połyskiwały odbitym światłem oczy zwierząt. Antylopy skupiały się wokół kręgu jasności, zbierało się ich coraz więcej. Mężczyzna począł krążyć pośród zwierząt licząc je głośno.

- Wiesz - powiedziała dziewczyna do Awaru - Meihi jest chyba najlepszym hodowcą na wyspie.

Awaru odłożył na ziemię naczynie, które dotąd obracał w palcach. „Gdybym mógł to zabrać ze sobą - pomyślał - i pokazać na starym łądzie, zostałbym największym czarownikiem. Gdybym w dodatku wjechał na antylopie, która jest posłuszna każdemu dotknięciu, a nie ucieka w popłochu na widok człowieka, wszyscy padaliby na twarz. Gdyby mogli to wszystko zobaczyć...”

- Chyba nikt - mówiła dziewczyna - nie potrafi tak jak Meihi oswajać antylop i uczyć je różnych rzeczy.

Najtrudniej przyuczyć antylopy do ciągnięcia zaprzęgu w nieobecności człowieka. Po

dwóch latach nauki zwierzęta te mogą być wysyłane z zaprzęgiem w długą, nawet wielodniową podróż, którą odbywają same, przez nikogo nie poganiane. Jedyne w czasie pierwszej podróży konieczne jest pokazanie im drogi, którą mają się posuwać i którą mają wrócić.

Do ogniska zbliżył się Meihi.

- Pomóżcie mi zebrać zwierzęta. Te, które były w pobliżu, zobaczyły ogień, ale inne, które odbiły się dalej lub weszły za pagórki, nie widzą światła. Trzeba chodzić dokoła i wołać je, wtedy zbliżą się na dźwięk głosu.

Dziewczyna i Meihi odeszli. Za chwilę rozległy się przeciągłe nawoływania. Awaru wyszedł z kręgu światła. Szedł po ciemku pośród błyskających zielenią oczu, odpychając dłońmi brzuchy i szyje tłoczących się zwierząt. Wydobywszy się ze stada, zawołał kilka razy otaczając usta dłońmi, a potem zbliżył się po omacku do jednej z antylop i wzięwszy ją za grzywę, pociągnął za sobą.

Zwierzę opierało się zrazu, ale gdy wyszli pod wiatr płynący z otwartych przestrzeni i pozbawiony zapachu stada, ruszyło posłusznie. Wskoczył na szeroki, siodlasty grzbiet i popędzając

antyloperę piętami, ruszył w dalszą drogę, w stronę, gdzie na zielonych równinach leżała olśniewająco biała za dnia kreska Tees. U boku antylopy biegł wytrwale sheri o żółtym futrze.

Awaru upatrzył sobie gwiazdę, w której stronę należało jechać, a antylopa, raz naprowadzona na właściwy kierunek, nie próbowała skręcać.

Ognisty wierzchołek Suhmi płonął nieustającym żarem, lecz ogień był teraz przesłonięty obłokiem popiołu, który podświetlony od wnętrza świecił jak drgająca czerwonym żarem mgła. Przed głową antylopy wyrosła przeszkoda. Wał krzaków. Otaczał je chłód i wilgoć, a ze środka dobiegały pluski płynącej wody. Zwierzę kroczyło wzdłuż ściany listowia. Wkrótce skończyły się zarośla, woda rozlewała się coraz szerzej, była też głębsza i cichsza.

Awaru rozglądał się za miejscem, gdzie można by dokonać przeprawy na drugi brzeg, ale rozlewisko wszędzie wydawało się zbyt głębokie. Toń była spokojna, jedynie lekko drżała trącana przez wiatr. Kopyta antylopy zastukały na twardym podłożu, zwierzę wkroczyło na kamienny wał. Sheri, który dotąd biegł obok lub z tyłu, wysunął się nagle do przodu i z wyprostowanym ogonem posznurował do majaczącego w mroku budynku. Do uszu Awaru doszedł potężny, lecz stłumiony huk wody, oddzielonej jakby grubymi ścianami.

Spostrzegł nagle, iż po prawej stronie woda sięga nieomal powierzchni wąskiego wału, podczas kiedy po lewej jej tafla leży daleko w dole. Poczul się nieswojo na wysokim grzbiecie antylopy. Zatrzymał ją i zsunął się na twardy grunt. Przeciągnął po nim końcami palców. Był to ten sam chropowaty kamień, nie kamień, z którego wykonano opuszczoną budowlę pod górami.

- Rai! - zawołał Awaru głośnym szeptem. - Rai!

Sheri wypadł spoza budynku wznoszącego się na wale, podbiegł do Awaru i poprowadził go wprost do prostokątnego wejścia.

Jedno z najbardziej osobliwych i najmniej zrozumiałych urządzeń, jakie znajdują się na

wyspie. Spiętrzona woda wlewa się otworami do budynku. Wewnątrz spada z wielką szybkością okrągłymi kanałami

i uderza w skrzydlate koła sprawiając, że obracają się w swoich łożyskach.

Urządzenia pilnuje człowiek, od którego zależy, czy woda ma pracować płynąc przez

budynek, czy też omijać go wskutek zamknięcia przepustów. Jak mówi ów człowiek,

budynek postawiono, aby wytwarzać w nim siłę, której nie można zobaczyć, a która

podobno, dotknąwszy człowieka, może spalić jego ciało. Jest to siła, która płynie po

niezmiernie długich i cienkich prętach. Wiele takich prętów wychodzi z budynku na tamie i ciągnie się w dal, wisząc na wbitych w ziemię słupach.

- Szkoda - powiedział człowiek pilnujący tamy - że nie mogę stąd odejść. Pojechałbym z tobą.

- Nie boisz się Suhmi? - spytał Awaru.

- Trochę, ale odejść nie mogę, dopóki z Tees nie przyjdzie polecenie.

- Kiedy tam dojadę?

- Jutro wieczorem, jeśli będziesz jechał cały dzień.

Awaru zbliżył się do antylopy stojącej cierpliwie w miejscu, gdzie ją zostawił, zanim

rozpoczął rozmowę ze spotkanym w budynku człowiekiem. Chwyciwszy za grzywę,

pociągnął zwierzę za sobą, aby przeprowadzić wierzchem tamy na drugą stronę rozlanej

rzeki. Mężczyzna szedł przodem wskazując drogę na wąskim przejściu obok budynku.

Kiedy znaleźli się już na przeciwnym brzegu, podniósł rękę i wskazał kierunek.

- Jedź tam - powiedział. - Musisz zrobić wielki łuk, aby dojechać do Tees.

- A jeśli pojadę prosto? - spytał Awaru.

- Trafisz na zatokę morską, która sięga daleko w głąb lądu. Awaru jechał, aż nadeszła północ, a potem długo jeszcze, aż do

chwili, kiedy zaszedł młody księżyc i zrobiło się zupełnie ciemno. Chmury popiołu

zakrywały połowę nieba usianego gwiazdami. Poczawszy senność, Awaru zsiadł z

antylopy. Wyszukał niewielkie zagłębienie w ziemi porośnięte gęstą trawą i ułożył się w

nim. W pobliżu rozlegał się miarowy chrzęst trawy rozcieranej zębami antylopy. Przez

sen już niemal poczuł na stopach miękkie do-

tknięcie ciepłego futra i poczuł, że to Rai, jego sheri, układa się na nocleg.

Otworzył oczy, ale musiał zamknąć je z powrotem, porażone ostrym blaskiem porannego

słońca. Usiadł i osłaniając oczy dłonią, podniósł wzrok. Zobaczył błękitną taflę zatoki,

długi jezior, którym morze wdarło się w głąb lądu. Na wyniosłym brzegu roili się ludzie.

Morze było spokojne. Łagodnym łukiem biegł piaszczysty brzeg obramowany wałem

usypanym ze żwiru. Awaru kroczył po chrobocących kamieniach, które usuwały się pod

ciężarem stóp. Dokoła, na zboczach wału i w dole, widział ludzi, którzy trzymając w ręku

kije zakończone czymś płaskim, podsypywali żwir. Gęsto krążyły zaprzęgi antylop,

obładowane naczyniami podobnymi do wielkich bukłaków ze skóry.

Zauważył, że dolna część wału, wznosząca się niewiele ponad poziom wody, jest już

stara i zwiędła, różni się też od części górnej, najwidoczniej świeżo usypanej. Wał został

niedawno podwyższony.

Zaprzątnęła go teraz inna myśl. Zatoka miała szerokie ujście ku morzu. Widział w oddali

niczym nie przysłonięty horyzont i płaszczyznę wód. Łagodne fale nadchodzące z

otwartego morza nie łamały się gwałtownie na podwodnym progu lub barierze skał, lecz wtaczały się do zatoki i tutaj wygasaly. Świadczyło to, że płycizna sięga daleko poza wybrzeże.

Brzegi zatoki schodziły łagodnie do wody, piaszczysta plaża była wszędzie wąska, pięć, dziesięć kroków, za nią wał, również stromy i łatwy do przeskoczenia. „Tutaj - myślał Awaru - tutaj wprowadzę łodzie. Cała flotylla może zaczekać na otwartych wodach do zapadnięcia ciemności, a potem pod osłoną nocy, wpłynąć. Wojownicy wyskoczą bezszelestnie na piasek, przekroczą wał i pójda natychmiast w głąb lądu. Zanim nadejdzie świt, Tees będzie już zdobyte. Nigdzie dotąd - przypomniał sobie - nie pokazał się tu człowiek z bronią. Ani jednego wojownika lub choćby tylko części ryszunka. Bez rozpoznania ich uzbrojenia nie można opuścić wyspy, ale to powinno się wyjaśnić w Tees”.

Zszedł z wału i skierował się do miejsca, gdzie było najwięcej ludzi. Otaczali dużą połąć ubitej i twardej jak klepisko ziemi. Podjeżdżały tu zaprzęgi wielkorogich antylop, przywożąc wory

pełne drobnego żwiru. Mężczyźni po dwóch brali wór i wysypywali jego zawartość na klepisko. Inni, stojąc dokoła z narzędziami do kopania ziemi, wybierali piasek z dołów i rzucali go na kupy żwiru. Kierowała tym wysoka i chuda kobieta.

- Czy potrafisz mi dokładnie objaśnić, dlaczego miesza się piasek ze żwirem? - zwrócił się do niej Awaru.

- Masz rację, że o to pytasz - odparła z uśmiechem. - Niby wszyscy wiedzą dlaczego, ale prawie nikt nie wie dokładnie. Chyba - uśmiechnęła się znowu ukazując zęby jak pestki - że zajmuje się tym równie dawno jak ja.

Do wyrobu sztucznego kamienia potrzebne są: piasek, żwir, woda słodka, nigdy zaś morska. Czwarty składnik robi się z pewnego rodzaju gliny o kolorze niebieskawym lub zielonym. Suszy się ją na słońcu, dopóki nie stwardnieje całkiem, a następnie rozciera na drobny proszek. Jeśli chce się otrzymać wyrób szczególnie dobry i mocny, trzeba glinę suszyć nie na słońcu, lecz w gorącym piecu.

Sztuczny kamień otrzymuje się więc mieszając piasek ze żwirem i wodą oraz proszkiem glinianym. Mokrej papce nadaje się dowolny kształt, a w krótkim czasie zastyga ona stając się twarda jak skała.

Powstają z tego budowle i mury mocniejsze wielokrotnie od zwykłych glinianych. Można tym też pokrywać wały nadmorskie, które oprą się naporowi fal lepiej niż palisada z pni. Za ludźmi kopiącymi piasek ciągnęły się łąki na podmokłym gruncie, dalej płynął strumień podążający do zatoki. Na jego brzegu dostrzegł Awaru kilka zaprzęgów, a na nich wielkie bukłaki, do których gromadka mężczyzn wlewała wodę czerpaną ze strumienia. Za nimi były już kępy zarośli biegnących szerokim łukiem w dal, zawsze w tej samej odległości od brzegu zatoki. Wystarczyło wejść pomiędzy nie, aby skryć się bez śladu.

Awaru ruszył z wolna w stronę strumienia, przebrnął przez wodę i nie spiesząc się wkroczył między kępy krzaków. Wyrastały z podmokłego gruntu, a ich korzenie były odsłonięte z ziemi, czarne i lśniące, podobne do wetkniętych w błoto suchych patyków. Dopiero na pewnej wysokości zaczynały się zielone gałęzie z gęstym listowiem. Szedł w głąb zarośli, a potem, upewniwszy się, że nikt go już nie widzi, skręcił

i przyspieszając kroku, puścił się wokół zatoki przegradzającej drogę do Tees. Sheri wybiegł naprzód, zapuszczał się w przesmyki pomiędzy kępami, zawracał z futrem zamoczonym na nogach i brzuchu i próbował innego przejścia. Awaru, zważając na jego ruchy, omijał głębokie jeziora skryte w krzakach, miejscami brodził w rzadkim błocie lub przebiegał kilkoma susami po uginającym się gruncie. Ominawszy jedną z kęp, natknął się na Rai stojącego na sztywnych łapach, z ogonem wyprostowanym do tyłu. Niewiele kroków przed nimi, za otwartą polanką, chwiały się czubki krzaków i trzaskały gałęzi. Cofnął się i ukrył, przywoławszy szeptem sheri. Na otwartą przestrzeń wyłonił się Wanyangeri. Był sam. Nadszedł od strony lądu i kierował się ku zatoce. Nisko zgięty pod gałęziami, nad słuchiwał i badał okolicę, po czym przemknął do następnej grupy krzaków i pod jej osłoną posuwał się dalej. Na podmokłym gruncie zostały odcisnięte ślady stóp. Awaru oparł dłoń na grzbiecie Rai.

- Za nim... - szepnął.

Sheri zbliżył nos do świeżego tropu. Prowadził nie spiesząc się i ani razu Awaru nie zobaczył przed sobą sylwetki Wanyangeri, ani też nie dostrzegł ruchu gałęzi. Ślady znikwały w trawie albo w błotnistych bajorkach, ale zawsze sheri odnajdywał je po drugiej stronie. Z największą ostrożnością dotarli do miejsca, gdzie poprzez rzadniejące zarośla ukazał się odległy wał otaczający zatokę. Awaru czołgając się, wyjrzał spod liści. Wanyangeri stał opodal i patrzył w stronę zatoki. Na wybrzeżu nikt nie poruszał się, ludzie naprawiający wał zostali daleko.

Wanyangeri schylił się i z ukrycia pod korzeniami wyciągnął torbę, którą zawiesił sobie na plecach. Była podobna do tej, jaką widział Awaru u hodowcy antylop. Wanyangeri poszukał jeszcze w swoim schowku, wydobyl zeń długi nóż i wsunął go do torby ukrywając ostrze, ale uchwyt pozostał widoczny na zewnątrz.

„Ucieka z wyspy? - zdumiał się Awaru. - Takimi nożami pływacy bronią się przed rekinami. Ale płynąc w biały dzień? I dlaczego z tej strony wyspy, która jest odwrócona od stałego lądu? On wraca...”

- pomyślał i poczuł, jak serce ściska mu zazdrość i nagły żal, że to nie on odchodzi. Jak gwałtowna fala wezbrało w nim pragnienie ucieczki, chęć zobaczenia swoich. Teraz, natychmiast! I wszystko mieć już poza sobą. Wanyangeri, wróg, w tej chwili stał się tylko kimś ze starej ojczyzny.

Podniósł się z ukrycia i poszedł mu naprzeciw. Po kilku krokach ochłonał. Zrozumiał, że pokazanie się Wanyangeri nie doprowadzi do niczego dobrego. Spróbował wsunąć się w krzaki, ale było już za późno. Tamten zwrócił się w jego stronę gwałtownie, zaskoczony, a kiedy poznał Awaru, począł łapać powietrze szeroko otwartymi ustami. Dłonią sięgnął do rękojeści noża wystającej z torby, potem opuścił ją bezwładnie. Jego ciemna twarz zszarzała i skurczyła się.

„To jasne - myślał Awaru. - Był przecież pewien, że wydał mnie na śmierć”.

- Idź precz! - zawołał ochryple Wanyangeri. - Czego chcesz ode mnie?

Podniósł znowu rękę do rękojeści noża i trwał w pogotowiu nie wyjmując go jednak z torby.

- Czego chcesz? - powtórzył. Rozbieganymi oczami badał ścianę krzaków, jakby chcąc się przekonać, czy Awaru przychodzi sam.

- Dlaczego porzuciłeś mnie wtedy? Mieliliśmy działać razem. Znikłeś nagle bez słowa... - odzyskiwał pewność siebie, mówił coraz mocniejszym głosem, w którym brzmiał już ton wyrzutu.
- Opuzczasz wyspę? - powiedział obojętnie Awaru.
- Zgadłeś! - zaśmiał się Wanyangeri. - Zaraz to uczynię, chyba nie myślisz mnie zatrzymywać! Cieszysz się, że zostaniesz sam ze swoim przyszłym królestwem i pozbędziesz się mnie tak łatwo
- oczy jego zapłonęły pod wpływem nowej myśli, opuścił powieki, a kiedy je podniósł, znowu nic nie można było wyczytać w jego wzroku. Odetchnął głęboko.
- Rozumiem - powiedział - chcesz uciekać ze mną.
- Nie - odparł Awaru, - Zostaję - zrobił krok w stronę zarośli. Każda chwila rozmowy z Wanyangeri była stracona, każda groziła zdradą lub niespodziewanym ciosem w plecy. A wyspa nie była też miejscem do wypłacania dawnych porachunków. Czuł, że trzeba pozwolić odejść Wanyangeri, gdyż z tą chwilą zniknie z wyspy jego najniebezpieczniejszy przeciwnik.
- Raz już dałem ci sposobność, abyś przystał do mnie - powiedział Wanyangeri. - Na równych prawach, dzieląc się tym krajem. Masz jeszcze jedną okazję, namyśl się.
- Nie - powiedział Awaru. - Nic nie chcę o tym słyszeć.
- Musisz słuchać - warknął Wanyangeri. - Ja wiem już dość, aby rozpocząć atak, owoc dojrzał do zerwania. I nie pozwolę, żeby ktokolwiek mi w tym przeszkodził. Nie zostawię za sobą żadnego śladu, rozumiesz?
- Więc co, spróbujesz mnie zabić?
- Po co? - Wanyangeri przysunął twarz do twarzy Awaru. - Po co, możesz się jeszcze przydać. Po prostu pójdziesz ze mną.
- „Pójdę - pomyślał Awaru - bo muszę. Mógłbym mu uciec z łatwością, ale co potem? Gotów pobiec do ludzi i jeszcze mnie oskarżyć. Lepiej mieć pewność, że odpłynął. Ucieknę, kiedy już znajdziemy się na środku zatoki, wtedy nie zechce mnie ścigać ani wracać”.
- Chodźmy - powiedział. - Szkoda każdej chwili.
- Nareszcie zmadrzałeś - mruknął Wanyangeri, poprawił wiszącą na plecach torbę ze sterzącym z niej nożem i ruszył w stronę zatoki.
- Posłuchaj - powiedział. - Popłyniemy łodzią. Najpierw dwiema, aby nie zwracać zbyt wiele uwagi, potem przesiądziemy się do jednej, to nam pozwoli szybciej wiosłować, gdyby wszczęli pogoń.
- Skąd chcesz wziąć łodzie?
- Stoją za wałem, jest tam mała przystań. Przy ujściu zatoki, już na pełnym morzu, leży niewielka wyspa, do której pływają, aby zbierać sól z płytkich jezior. Wsiądziemy do łodzi i popłyniemy w stronę wyspy, zawsze pływa ich kilka razem. W ostatniej chwili minimy wyspę i skierujemy się na pełne morze.
- A strażnicy?
- Jest tu jeden tylko, będzie myślał, że płyniemy na wysepkę. Po chwili milczenia Wanyangeri rzucił od niechcienia:

- Gdzie byłeś po naszym rozejściu się?

„Chce wiedzieć - pomyślał Awaru - jak się uratowałem. Ale nie dowie się tego”.

- Pod górami - powiedział. - Widziałem z bliska ognistą górę Suhmi. A ty gdzie byłeś? W Tees?

- W Tees - odparł Wanyangeri. Przeszedł kilka kroków w milczeniu, po czym powiedział:

- Teraz już wszystko jedno, możesz się dowiedzieć. Nie byłem w Tees, nie wpuścili mnie do środka. Trzeba znać jakieś hasło, w przeciwnym razie każą odejść od bramy. Zresztą nic im to nie pomoże. Nie próbowałem się tam dostać, obejrzę wszystko - błysnął zębami - po powrocie. Mam już gotowy plan lądowania w tej właśnie zatoce. W biały dzień przyłynę łodziami pełnymi soli, pod którymi skryją się ludzie. Po zabiciu straży podpłyną statki z resztą wojowników. Od ciebie tylko zależy, żeby być z nami. Teraz cicho...

Zbliżali się do wału, przed którym stał niewielki budynek o grubych murach.

- Zostaniesz na zewnątrz - mówił szeptem Wanyangeri - a ja wejdę do środka.

- Co chcesz zrobić?

- Pomówić ze strażnikiem, uspię jego czujność. Tss... Piasek zaskrzypiał pod ich stopami. Awaru przysunął się do nie

oświetlonej ściany i przystanął oparty o nią ramieniem. Obok w pasku cienia położył się ciężko sheri z wywieszonym językiem. Wanyangeri zniknął we wnętrzu. Zapadła cisza, w której rozległo się bzykanie muchy. Spoza wału dochodził ledwo uchwytny poszum drobnej fali.

„Nie dostał się do Tees - pomyślał Awaru - widocznie nie jest to proste, ale tym bardziej trzeba spróbować - powieki opadły mu sennie. - Ze środka zatoki powiosłuję z powrotem...”

- O tej porze - mówił ktoś wewnątrz budynku - o tej porze chcesz płynąć?

- Nie jest jeszcze późno, słońce wysoko - odparł Wanyangeri.

- Ledwo dotrzesz do wysepki, będzie czas wracać. Nie warto próbować.

- Warto - upierał się Wanyangeri.

- Dlaczego nie przyszedłeś rano, jak wszyscy inni?

- Nie mogłem - w głosie Wanyangeri zabrzmiało zniecierpliwienie. - Zresztą nie wszystko ci jedno? Wrócę z innymi.

- Nie - powiedział strażnik.

- Nie ma żadnej łodzi?

- Jest.

- Więc o co chodzi? - spytał ochryple Wanyangeri.

- Nie wypływa się o tej porze...

Zabrzmiał krótki okrzyk i rozmowa urwała się. Awaru usłyszał łoskot, a potem odgłosy bójki i sapiące oddechy. Wpadł do wnętrza przez prostokątny otwór. Pomieszczenie było puste. Przyklepione do ściany schodki wiodły na wyższą kondygnację. Przebiegł je w kilku susach i wychynął przez otwór w stropie.

Pod ścianą, przyciśnięty do niej kolanem Wanyangeri, klęczał obcy mężczyzna.

Wzniesioną nad głową ręką powstrzymywał dłoń Wanyangeri uzbrojoną w nóż. Ostrze dotykało już niemal jego szyi. Krew spływała mu po rozciętym czole, oczy miał zamknięte z wielkiego wysiłku, ścięgną szyi napięte jak struny. Rozchylił powieki, a na widok Awaru

w jego źrenicach pojawił się błysk.

Awaru dopadł walczących i chwyciwszy Wanyangeri za ramiona, rzucił go pod przeciwną ścianę. Mężczyzna, choć już wolny, upadł twarzą na posadzkę i znieruchomiał.

Wanyangeri porwał się na równe nogi i ostrze noża skierował przeciwko Awaru.

- Zabijeś go - powiedział Awaru.

- Teraz - dyszał Wanyangeri - już wszystko jedno, nie chciał dać łodzi... - opuścił nóż i stopą dotknął boku strażnika. Odwrócił się i zaczął schodzić po schodkach. Po chwili już tylko jego głowa była widoczna.

- Chodź - powiedział i roześmiał się chrapliwie. - Teraz już musisz iść ze mną, chcesz czy nie chcesz.

„Muszę! - dzwoniło w głowie Awaru. - Muszę, bo winien jest zawsze ten, którego schwytają”.

Zbiegł po schodkach budynku i wypadł na zewnątrz. Wanyangeri, okrążywszy budynek, wspinał się już po pochyłości wału. Popędził za nim, kiedy z góry rozległ się okrzyk:

- Stój! Zatrzymaj się!

Nie próbując odwracać głowy Awaru wpadł na skłon wału. Był już w połowie pochyłości, gdy wyprzedziła go żółta rozmazana smuga i sheri potężnym skokiem uderzył go w piersi i zwałił na twardą skorupę. Wstrząs odebrał mu na chwilę siły, przed oczami zatańczyły czarne plamy. Leżał na plecach u krawędzi pochyłości i widział, jak Wanyangeri wbiegł na koronę wału, lecz po pierwszym kroku zatrzymał się w miejscu i runął na ziemię. Rozległ się przenikliwy, syczący trzask, spod ciała Wanyangeri sypnął się snop iskier, a w następnym mgnieniu oka smużki dymu. Ciało skurczyło i zwinęło jak wyschnięty liść, zmalowało i pozostało nieruchome.

Awaru zaciskał szczęki, aby stłumić dzwonienie zębów. Patrzył długo na szczątki Wanyangeri nie mogąc oderwać od nich wzroku, nie mając siły podnieść się ani przedsięwziąć czegokolwiek.

Po długim czasie powiódł spojrzeniem po wodach zatoki usianych oślepiającymi błyskami. Niebieska płachta biegła w nieskończoność, łączyła się niewidocznie z niebem, po którym płynęły białe chmurki.

Wyczuł obok siebie czyjąś obecność. Oparł się na łokciu i odwrócił. Na gładkim skłonie wału, obłożonym sztucznym kamieniem, stał sheri dysząc jeszcze ciężko i wpatrując się błyszczącymi oczami w twarz Awaru. Napotkawszy jego spojrzenie, zamknął pysk i postawił czujnie uszy.

- Rai - szepnął Awaru.

- Nic się nie stało? - rozległo się od strony budynku. W szerokim oknie stał mężczyzna z okrwawionym czołem.

Awaru poruszył przecząco głową.

- Wołałem cię - mówił strażnik - ale pewnie nie słyszałeś. Nie warto było go ścigać, wał jest zabezpieczony. Zostaw go tam i chodź.

Wlokąc się noga za nogą Awaru zdołał wspiąć się po kamiennych schodkach. W głowie nie miał jednej myśli. Na ścianie i na posadzce czerwieniały plamy krwi. Mężczyzna kulał i przyciskał czoło dłonią.

- Uratowałeś mnie - powiedział. - Całe szczęście, że nadszedłeś zaraz po nim.

Zaskoczył mnie, uderzyłem głową o ścianę, a potem, kiedy rzuciłeś się na niego, straciłem przytomność. Kiedy ocknąłem się, dopadłem okna i zobaczyłem, jak on wbiega na wał, a ty za nim.

Ścigałeś go z taką zawziętością... Z tobą też byłoby marnie, gdyby nie twój sheri. Przez niskie okno zajmujące całą ścianę roztaczał się widok na zatokę z jej ujściem ku morzu i całą długość otaczających ją wałów. Przed oknem, na okrągłym słupie wyrastającym z podłogi, tkwiła długa rura. Mężczyzna zbliżył się do niej i przyłożył oko do jednego z wylotów. Odwrócił się zaraz do Awaru z grymasem na twarzy.

- Popatrz ty - powiedział. - Boli mnie, nic nie widzę - przyłożył dłoń do czoła. - Popatrz, może już płyną.

Awaru pochylił się i zajrzał lewym okiem do rury. Zobaczył w niej światło wpadające drugim wylotem oraz kryjące się w środku niewyraźne, rozmazane kształty. Starał się dojrzeć je wyraźniej, ale przeszkadzał mu obraz widziany okiem prawym. Wreszcie przyszło mu do głowy, aby zrobić to, co robią bawiący się pustą trzcina chłopcy: zakryć jedno oko.

W rurze pojawił się niezwykle obraz. Ujrzał linię horyzontu przecinającą obraz na pół. Nad nią była błękitna płachta, pod nią płaszczyzna wód odbijająca kolor nieba. Środek zajmowała wyrastająca z morza skalista wysepka. Widział jej nagie ściany piętrzące się pionowymi urwiskami, czarne i popękane, a u ich stóp białą linię spienionych fal. Zza ciemnego masywu wysunęła się jasna plamka, za nią pojawiła się druga. Poznał żagle, a pod nimi cienkie kreseczki kadłubów łodzi.

- Co tam? - spytał strażnik. - Jest coś?

- Jest - odparł. - Dwa żagle.

- Będzie więcej - powiedział tamten. - Zaraz się pokażą. Awaru oderwał się od rury i spojrzał na nią od zewnątrz. To

wszystko nie mogło się zmieścić w jej środku! Więc gdzie była ta, płaszczyzna wód z wyspą i żaglami? Za szerokim oknem leżało morze. Na linii jego styku z niebem majaczyła ciemna plamka, zapewne to ona była wyspą. Wytężył wzrok, ale nie zdołał dostrzec żagli. Zajrzał więc raz jeszcze do rury i tam je zobaczył. Obok dwóch pierwszych pojawiły się następne.

Oparł się o krawędź okna i opuścił spojrzenie na wały otaczające wybrzeże niby popielaty wąż o nieruchomym cielsku. Zobaczył znaczącą grzbiet czarną smugę. Przyjrzał się jej dokładnie i poznał, że jest utworzona z wielu biegnących równolegle metalowych prętów wtopionych w sztuczny kamień. Na niej, w miejscu najbliższym budynku strażnika, leżały szczątki Wanyangeri. Ciało skurczone dziwnie, zmałałe, bardziej podobne do martwego jaszczura wyprązonego przez słońce niż do człowieka.

- Rai - szepnął Awaru - idź tam, naprzód.

Pochylił się nad sheri i wskazał mu ręką kierunek, drugą popchnął go lekko. Zwierzę wyciągnęło pysk i ruszyło skradając się krok za krokiem.

Awaru pozostał na miejscu. Skulony nisko przy ziemi, starał się nie stracić z oczu Rai sunącego w ciemnościach. Rozjaśniał je nieco księżyc światłem, które rysowało ostre cienie kamieni i nierówności gruntu. Przestrzeń wokół Tees była otwarta, odsłonięta ze wszystkich stron, pozbawiona drzew, zarośli, nawet trawy i większych zagłębień, w których mogłoby ukryć się zwierzę lub człowiek.

Awaru obszedł ją niemal dokoła. Trwało to pół nocy, zanim przekonał się, że ze wszystkich stron jest tak samo. Przed nim rysowała się linia zarośli i schowane między nimi budynki. Błado prześwitywały zza pni i krzaków ich ściany. Ponad korony drzew wyrastały jasne prostokąty, trójkąty, kopuły i wieże, rysując zębatą linię na tle nocnego nieba. Za nimi, gdzieś wewnątrz osady, raz po raz przebiegały błyski niebieskobiałego światła, podobne do błyskawic, jak gdyby wyspiarze zdolali ściągnąć ku ziemi burzę i uwięzić ją pośród zabudowań.

Nie widział żadnego muru ani ogrodzenia. Zdawało się, że aby wejść do Tees, wystarczy zagłębić się pomiędzy pierwsze budynki. Coś jednak powstrzymywało go od tego. Czaił się u skraju pustej przestrzeni, czując, że jest ona umyślnie stworzona po to, aby pojawienie się każdego człowieka i zwierzęcia było natychmiast dostrzegalne. Łowił dźwięki nadbiegające z osady, jakieś terkoty i stuki, czasem głos ludzki, widział nisko przesuwające się światełka, poznawał, że osada pełna jest ludzi i życia.

Cień oddalającego się Rai zniknął bez śladu, zlewając się z tłem nocy. Lecz trwało to tylko krótką chwilę. Niebawem zwierzę wychynęło znów, podobne do jasnej plamy, która oddzieliła się od nieruchomej ziemi. Rai powrócił szybkim biegiem, ogon miał opuszczony i skulone uszy. Dopadł Awaru i błysnąwszy oczami, posunął się jeszcze kilka kroków, jakby chcąc pociągnąć go za sobą.

„Jednak - pomyślał Awaru - coś tam jest, co go spłoszyło”.

Odwrócił się i odszedł poprzedzany przez oddalającego się pospiesznie Rai. Zapadli w znacznym oddaleniu od Tees, na porośniętym trawą wzniesieniu, skąd można było ogarnąć wzrokiem szeroką przestrzeń. Nad osadą łyskały wciąż bezgłośnie błyskawice, a w przeciwnej stronie, w głębi nocy, tam gdzie leżały dalekie, niewidoczne góry, płonęło pasemko czerwieni, jakby pierwszy ślad wschodzącego słońca. Był to jednak tylko odblask ognistego wnętrza Suhmi. Awaru ułożył się w trawie i zasnął, aby doczekać świtu.

Słońce prażyło ziemię odbierając jej wilgoć nocy i spod stóp idących unosiły się obłoczki pyłu. Kroczący daleko w przodzie mężczyzna zbliżał się już do ściany płonącej oślepiającą bielą. Za jego plecami sunęło kilka ciężko obciążonych zaprzęgów. Za nimi szedł Awaru, sheri wyprzedzał go o krok. Z tyłu rozległ się tupot kopyt. Z kłębow kurzu wyłonili się dwaj jeźdźcy na grzbietach antylop. Ominęli łukiem Awaru, wyprzedzili zaprzęgi i kroczącego samotnie mężczyznę i jako pierwsi dotarli pod białą ścianę. Na-

przeciw nich pojawił się mężczyzna, który dał znak, aby zsiadli.

W tym czasie, do miejsca gdzie stali, zbliżył się też idący pieszo, a za nim nadciągnęły zaprzęgi. Mężczyzna zatrzymał ich ruchem ręki, odwrócił się i odszedł, prowadząc dwóch jeźdźców. Wrócił po pewnym czasie i obrzuciwszy uważnym spojrzeniem Awaru, oddalił się ponownie z pierwszym wędrowcem. Niebawem ukazał się pod drzwiami i stamtąd zawołał, aby zaprzęgi wjechały. Kiedy ruszył i minęły go, zwrócił się do Awaru. Szerokim ruchem ręki wskazał mu wejście do okrągłego budynku.

- Wejdz - powiedział - i zaczekaj.

Awaru znalazł się w środku kolistego pomieszczenia o gładkich ścianach i kopulastym stropie, z otworem przesłoniętym płytą z zupełnie przejrzystego materiału. Wpadał tamtędy snop promieni słonecznych, który oświetlał biegnące wokół ścian malowidło przedstawiające same tylko oczy, szeroko otwarte lub zmrużone, lecz wszystkie jakby czujnie wpatrzone w stojącego na środku Awaru.

- Jak się nazywasz? - zabrzmiało donośne pytanie.

- Shanti - odpowiedział krótko.

- Po co przybywasz? - pytał mężczyzna, który pojawił się nie wiadomo skąd.

- Aby odszukać człowieka imieniem Sarhi i powtórzyć mu to, co mi powiedział Raruhi, zanim umarł.

- Znasz Raruhi?

- Znałem - poprawił Awaru - bardzo krótko, był już umierający. Badawcze spojrzenie pytającego przeniosło się na Rai stojącego u nogi Awaru.

- To jego sheri - powiedział Awaru - teraz mój. Spojrzenie mężczyzny było twarde i chłodne. Jego podłużna

twarz jak wykuta z kamienia, zdawało się, że nosi jeszcze ślady złościących uderzeń dłuta. Wszystko w niej było kanciaste i ostre. A wrażenie to potęgowały oczy pod nieruchomymi powiekami, zimne, wodniste, jakby odbarwione.

- Gdzie spotkałeś Raruhi? - badał mężczyzna.

- W lesie, u stóp Suhmi.

- Co tam robiłeś?

- Raruhi chciał zebrać kamienie, które wyrzuca góra...

- Pytałem - przerwał ostro mężczyzna - co tam robiłeś?

- Nic - Awaru wzruszył ramionami. - Jestem loki, zawędrowałem tam.

W kamiennej twarzy mężczyzny drgnęło kilka mięśni, ostre spojrzenie pomknęło na chwilę ku stropowi, z którego spływała ulewa światła, lecz natychmiast powróciło znów, aby utknąć jak poprzednio w oczach Awaru.

- Odpowiedz mi - rozkazał - czy należysz do Braci Suhmi?

- Ja? - zdziwił się Awaru. - Do czego? - stał spokojnie, nic więcej nie mówiąc, rozwarł tylko nieco szerzej oczy, aby wyraźnie okazać zdziwienie.

- Zaczekaj! - rzucił krótko mężczyzna i wyszedł, a na jego miejsce wsunął się inny.

Stanął pod ścianą w lekkim rozkroku, spojrzeniem prześliznął się po Awaru, a potem nie odrywał go już od Rai.

Mężczyzna o kamiennej twarzy powrócił bezszelestnie.

- Dobrze - powiedział - możesz wejść. Sarhi czeka na ciebie. Pójdiesz prosto drogą, nigdzie nie zbaczając, tak długo, dopóki nie natkniesz się na budynek bez okien i wejścia. Obejdiesz go dokoła i zobaczysz wówczas niebieską ścianę z półkolistym otworem. Wewnątrz znajdziesz Sarhi.

- Zaprowadzić go? - zapytał człowiek stojący pod ścianą.

- Nie - powiedział mężczyzna. - Pójdź sam. - Po rozmowie z Sarhi - mówił dalej do Awaru - wrócisz tu i opuścisz Tees. Sarhi czeka na ciebie - powtórzył. - Idź sam, sheri zostanie tutaj.

Wieże bez ścian, na smukłych nogach trzech lub czterech, u ich szczytu koła lub krzyże, zawieszono nieruchomo albo wirujące. Wieże rozstawione pośród dróg i kanałów, nad którymi prowadzą niskie mostki. Kłębowa metalowych węzłów, wielokrotnie grubszych od ludzkiego ciała, czasem cienkich jak ramię. Pełzają one nad ziemią, ułożone na kamiennych podporach, lub wznoszą się wysoko i przekraczają progi. Metaliczny zgiełk, zgrzytania i stuki oraz głucho uderzenia albo terkoty. Z otworów w ścianach tryska biały dym, gęsty i nieprzejrzysty, lecz rozwiewający się zaraz bez śladu. Zapach ostry i drażniący oczy, drapiący w gardle.

Stanął przed budynkiem bez okien i wejścia. Obchodząc go dokoła napotkał kilku ludzi, którzy nie zwrócili na niego najmniejszej uwagi. Dalej prowadziły dwie drogi, koniec jednej gubił się w zieleni, u końca drugiej widniała niebieska ściana z ciemną plamą półkolistego wejścia. Skręcił na drogę pierwszą, prowadzącą do gąszczu zarośli, i przemierzył ją aż do końca pospiesznym krokiem. Obejrzał się, w polu widzenia nie było nikogo. Rozgarnął gałęzie i skrył się pomiędzy nimi, u podnóża chłodnego muru.

„Mężczyźni przy wejściu myślą, że jestem u Sarhi - zastanawiał się. - Zanim zaczną mnie szukać, może upłynąć pół dnia. Wytlumaczę, że zabłądziłem. Tymczasem można obejrzeć całe Tees. Ale czy warto?”

Oparty plecami o mur, po chwili obsunął się i przykucnął. Przez rzadkie gałęzie widział bielejące kształty budowli, słyszał metaliczne dźwięki. Z daleka niesło się przeciągłe poświstywanie, którego z pewnością nie mógł wydawać żaden człowiek ani zwierzę.

„Dotarłem tutaj wreszcie - myślał - jestem w samym sercu Tees, ale chyba tylko po to, żeby jasno zrozumieć, że wszystkie wysiłki były na nic, a ryzyko i niebezpieczeństwo niepotrzebne. Cokolwiek można tu jeszcze zobaczyć i wysledzić, nie zmieni to już prawdy: nikt nie potrafi zdobyć wyspy. Żaden podstęp, żadna siła nie jest zdolna pokonać wyspiarzy, żadne tarcze, dzidy ani tłum wojowników. Trzeba wrócić do swoich i powiedzieć im to, chociaż spodziewają się czegoś innego. Trzeba ich ostrzec i za wszelką cenę powstrzymać od wojny, która może przynieść tylko zagładę plemienia. Wszystko, co pozostało do zrobienia, to ucieczka z wyspy. Szkoda już czasu na rozmowy z Sarhi, nie warto ukrywać się w Tees”.

Wyszedł na drogę i ruszył z powrotem do wyjścia. Kiedy okrążył budynek bez drzwi i okien, naprzeciw niego pojawił się człowiek. Na widok Awaru rozłożył ramiona, a na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

- Shanti - powiedział. - Nie sądziłem, że cię spotkam!

- Pushi! - poznał Awaru. Ten sam, którego gwałtownie poszukiwał Wanyangeri, aby dowiedzieć się o drogę do Tees. Działo się to przed niewieloma dniami, ale Awaru

wydało się, że od tej chwili upłynęło nieskończenie wiele czasu.

- Chodź! - rzekł Pushi. - Musimy porozmawiać. Nie spieszysz się chyba nigdzie?

- Trochę... - powiedział Awaru.

Ale Pushi pociągnął go za sobą na szeroką drogę, gdzie zaczęli spacerować po metalowych płytach, które lekko ugiwały się pod ich

ciężarem. Z pustej przestrzeni pod spodem wydobywał się stłumiony łoskot, od którego drżały płyty. Z rozdzielających je szczelin wyływały smużki dymu.

- Przybyłeś tu ze swoim towarzyszem?

- Nie - odparł Awaru - sam. I już wyruszam dalej.

- Co się stało? - zdziwił się Pushi. - Wtedy szukał mnie tylko po to, aby wypytać o Tees. Myślałem, że chce tu przybyć, tymczasem zniknął bez śladu.

- Ja - powiedział Awaru - także nie widziałem go od tamtego czasu.

- A może - zastanawiał się Pushi - wyruszył pod Suhmi... - to mówiąc podniósł dłoń do czoła ruchem, jakim zasłania się oczy przed rażącymi promieniami słońca. - Może wyruszył pod Suhmi, aby z bliska obejrzeć, jak wybucha?

Awaru dostrzegł ruch dłoni Pushi. „A więc - powiedział sobie - on należy do Braci i sądzi pewnie, że ja także”.

- Nie wiem - odparł obojętnie, wzruszając ramionami. - Nie wiem, gdzie się podziewa ani co robi.

- Nie spotkałeś go tam? - spytał szybko Pushi.

- Gdzie? - Awaru otworzył szeroko oczy.

Pushi nie odpowiedział, a po chwili milczenia rzekł:

- Znasz go dobrze? To dziwny człowiek, który...

- Nie znam go prawie wcale - przerwał Awaru. - Właściwie nie znam go zupełnie.

- Nie? - uśmiechnął się Pushi. - Rozповіда, że jest lekarzem, a ty jego pomocnikiem.

„Rozповідаł coś jeszcze gorszego - pomyślał Awaru. - Ze wszystkiego, co mówi Pushi, wynika, że nie dowiedział się jeszcze o śmierci Wanyangeri. W każdym razie dziwne są jego pytania i zaczynają być niebezpieczne”.

- Według niego - ciągnął Pushi - nasza Rada Czterdziestu jest zgromadzeniem czarowników - uśmiechnął się jeszcze szerzej niż dotąd, pokazując zęby. Patrzył przed siebie, ale raz po raz rzucał skośne spojrzenia na twarz Awaru. - A według ciebie? - zapytał.

Awaru uśmiechnął się w milczeniu. To nie była już zwykła rozmowa. Kim właściwie jest Pushi? - zastanawiał się gorączkowo.

- Może tylko jednym z Braci, a może kimś groźniejszym... „Kimkolwiek jest - powiedział sobie - trzeba milczeć i pozbyć się go jak najprędzej”.

- Uśmiechasz się - mówił Pushi - ale przecież są i inni, którzy myślą tak samo i pragnęliby powrotu dawnego porządku. Słyszałeś o Braciach Suhmi?

- Chyba nie - Awaru skrzywił się z powątpiewaniem.

- Jednakże ja sądzę - powiedział Pushi - że słyszałeś. Byłeś u stóp ognistej góry, chodziłeś po budowlu, która jest teraz siedzibą Braci, widziałeś ich i rozmawiałeś z nimi.

Awaru opuścił spojrzenie pod stopy. Jeśli Pushi sam nie był Bratem, tę wiadomość mógł

otrzymać tylko od dziewczyny lub od starca Raruhi, ale ten nie żył.

- Sprawa Braci Suhmi nie jest zbyt poważna - rzekł Pushi
- chociaż lepiej, abyś trzymał się od nich z daleka. Znacznie trudniejsza - zawiesił głos - jest sprawa Wanyangeri...

Wanyangeri!

- Nie wiem - powiedział Awaru - nie wiem, kto to jest.
- W czasie naszego pierwszego spotkania - Pushi uśmiechnął się znów szeroko - widziałeś mnie poganiającego zaprzęg, ale nie jest to moje właściwe zajęcie. Kim jestem, zapewne już się domyśliłeś. Posłuchaj teraz o Wanyangeri.

Po grubym pręcie wiszącym wysoko nad ich głowami pełzał pękaty kosz. Przesunął się lekko rozkołysany i, nie zwalniając biegu, zniknął.

- Być może nie znasz imienia Wanyangeri - ciągnął Pushi - jest to bez znaczenia. Podawał się za Aihi, lekarza, wiemy o nim wszystko, kim jest naprawdę i skąd pochodzi, a także, jakie miał zamiary. Ponieważ byłeś widziany w jego towarzystwie dwa razy - Pushi podniósł dwa palce - raz w czasie spotkania ze mną, drugi raz w chwili jego śmierci...

Uczucie nagłego chłodu przeniknęło do serca Awaru. Nic się nie dało ukryć przed nimi! Z wysoka posypało się coś. Pushi i Awaru zadarli równocześnie głowy. Pushi krzyknął ostrzegawczo i odskoczył. Sunący po linie pękaty kosz przechylił się gwałtownie. Cała jego za-

wartość runęła w dół. Kłęb szarego kurzu przesłonił wszystko dokoła.

Na głowy sypał się jeszcze przez chwilę popielaty miazg i drobne grudki.

Awaru nie czekał, aż spadnie zasłona, jaka oddzieliła go od Pushi. Skoczył na niski murek i odbiwszy się od niego, rzucił się całym ciężarem ciała na pasmo krzaków, przebił je i wypadł na ścieżkę po drugiej stronie. Pozbierał się w mgnieniu oka i pobiegł, okrążając jeden i drugi budynek. Pushi nie było widać, zwolnił więc kroku, aby nie zwracać na siebie uwagi i poszedł prosto, chcąc w jakimkolwiek miejscu dotrzeć do zabudowań i próbować wymknąć się z Tees.

Powietrze stało się naraz jakby gorętsze i pełne wilgoci. Zapachniało mokrą ziemią, zgniłymi liśćmi. Wydawało mu się, że jest w dzikim lesie na starym lądzie, podniósł spojrzenie. Nad głową zwisały mu girlandy pnączy, tuż przed oczami kołysały się wielopalczaste liście leśnych palm. Kozuch drobnych kwiatów spływał po pniu jakiegoś drzewa, a w jego koronie rozległ się skrzek papugi. Brzmiał on jednak jakoś nieprawdziwie i głucho i Awaru poznał, że nie jest to zwykły las. Poprzez liście dostrzegł kratę z grubych prętów. Kwadratowe pola pomiędzy nimi były wypełnione przejrzystymi taflami. Zrozumiał, że jest w przestrzeni zamkniętej przez ściany przepuszczające jedynie światło. Zawrócił ku wyjściu.

Pod liściastym stropem, w zielonawym świetle sączącym się z gęstwiny, pojawiła się sylwetka kobiety. Stała zwrócona ku niemu twarzą, a kiedy zbliżyła się, uczyniła naprzeciw kilka kroków. Serce Awaru zabiło gwałtownie. Zobaczył jej oczy, które w półmroku zdawały się być ciemne jak granat wieczornego nieba, i usta rozchyłające się w uśmiechu. A wówczas poczuł w piersiach zimną dłoń ściskającą bijące serce.

- Shanti! - powiedziała dziewczyna. - Znalazłam cię!

„To przez nią - pomyślał. - Skąd mogliby wiedzieć, że byłem u Braci Suhmi...” Odwrócił spojrzenie i przebiegł obok niej z zaciśniętymi ustami i zmrużonymi powiekami.

- Shanti - usłyszał jeszcze - nie poznałeś mnie?

Dla zmylenia śladów skręcał z drogi na drogę. Dojrawszy ciemny otwór w murze, padł na kolana i przedostał się nim do wnętrza budynku.

W długim pomieszczeniu zdawało się nie być ludzi.

Przedzielaly je murowane podwyższenia, jakby szeregi stołów. Wychylił głowę ponad pierwszy z brzegu i zobaczył człowieka. Był to mężczyzna, który stał w odległym końcu, zwrócony tyłem do Awaru, wpatrzony w jasne półkole drzwi. Awaru, kryjąc się za podwyższeniami, na których leżały poukładane w rzędy kamienie i różnobarwne kryształy, dotarł w pobliże mężczyzny. Czekał teraz, aż ten odwróci się w inną stronę, aby wymknąć się niepostrzeżenie na zewnątrz. Ale mężczyzna ani drgnął. W wielkiej ciszy było słychać brzęczenie muchy i dochodzące z daleka stukoty.

„Wstanę - postanowił Awaru - i po prostu przejdę obok niego”.

Podniósł się i wyszedł z ukrycia, a w tej chwili mężczyzna niecierpliwie machnął ręką, uczynił krok w stronę wyjścia, zawahał się i powiedziawszy coś do siebie cicho, zawrócił. Awaru nie zdążył się już cofnąć. Stanęli naprzeciw siebie.

- Nareszcie! - zawołał mężczyzna rozkładając ręce. - Nareszcie jesteś, a ja już myślałem, że cię nie zobaczę! Więc to ty jesteś Shanti!

- „Sarhi!” - zrozumiał natychmiast Awaru i przesunął się ku drzwiom.

- Wiem już - mówił Sarhi - że byłeś przy śmierci Raruhi. Awaru, zwrócony bokiem do mówiącego, potakiwał mu kiwając

głową. Równocześnie badał teren na zewnątrz. Gotów był wybiec, aby schować się za narożnikiem następnego budynku, kiedy w pobliżu ukazało się dwóch ludzi, a za nimi szedł rozglądając się wokół Pushi. Chłopiec cofnął się pospiesznie do wnętrza.

- Tak - powiedział - byłem przy śmierci Raruhi i rozmawiałem z nim.

- Wiem o tym od Zoa - powiedział Sarhi.

- Od kogo?

- Zoa, dziewczyny, która tam była z tobą.

„Nie znałem dotąd nawet jej imienia - pomyślał Awaru. - A teraz nie chcę już nic o niej słyszeć...”

- Powtórz mi wszystko, co mówił Raruhi, każde słowo - poprosił Sarhi.

Jego głowa, niewielka i kulista, obracała się, kiedy mówił, na wszystkie strony. Okrągłe i wypukłe oczy tkwiły w obracającej się czaszce nie zmieniając położenia.

- Raruhi podał mi twoje imię, a także powiedział, że mam cię odszukać.

- To jasne - przerwał niecierpliwie Sarhi. - Mów o tym, co ważne.

- Chciałeś, żebym mówił wszystko - Awaru cofnął się o krok w głąb pomieszczenia, a Sarhi postąpił za nim. - Prosił, abym przekazał ci jego imię.

- Czy na pewno to powiedział? - zawołał Sarhi. Chwycił oburącz dłonie Awaru i potrząsnął nimi gwałtownie. - Nie mylisz się?

- Inaczej - odparł Awaru uwalniając ręce i cofając się jeszcze o krok - inaczej, skądże by mi to przyszło do głowy?

- Nie wiesz, jakie to ważne dla mnie! Jak to powiedział, jakimi słowami? Pamiętasz?

- Tak właśnie: odszukaj w Tees Sarhi i przekaz mu moje imię.

Twarz Sarhi przesłonił cień, malująca się na niej radość ustąpiła wyrazowi smutku i zadumy.

- Przyjmuję - szepnął - i będę odtąd używał imienia Raruhi, który był moim mistrzem.

Na jasno oświetloną ziemię przed otworem drzwiowym padł cień. Ktoś zbliżył się od zewnątrz i zatrzymał przy wejściu. Na cieniu widać było, że pochylił się nieco, nad słuchując. Mógł to być tylko Pushi. Ta droga ucieczki była też odcięta.

Awaru, nie spuszczać wzroku z cienia Pushi, cofał się do dziury w murze, którą się tu dostał przed chwilą. Sarhi kroczył za nim. Ożywił się ponownie i mówił donośnym głosem wymachując rękami:

- Czy oprócz tego nie powiedział ci Raruhi nic o swoich pracach? Może wraz z jego śmiercią przepada jakieś ważne odkrycie?

Przypomnij sobie choć słowo, które mogłoby mnie naprowadzić na właściwy ślad.

- Mówił o lawie, którą wyrzuca ognista góra - powiedział Awaru.

- Właśnie - zakrzyknął Sarhi. - Obaj badaliśmy ją, aby wydrzeć tajemnice wulkanu.

Popatrz... - zawrócił i podbiegłszy w pobliże wyjścia, za którym przyczał się Pushi, począł oglądać i przewracać ułożone tam kamienie.

Awaru w mgnieniu oka przemierzył salę i upadłszy na kolana, wy dostał się przez otwór w murze na pełny blask słońca. Biegł, skręcając gwałtownie pomiędzy budynkami, kryjąc się za kępy zarośli i dziwaczne konstrukcje. Kiedy przekonał się, że nikt go nie ściga, przystanął w plamie cienia i dysząc ciężko, wytarł ramieniem mokrą twarz. „Trzeba - powiedział sobie - uciekać wiedząc dokąd i którędy. Bieganie na oślep nic mi nie pomoże”.

Jał się wspinać po prętach metalowej wieży. Do pewnej wysokości zasłaniały go drzewa, wyżej musiał porzucić wszelką osłonę. Podniósł wzrok. Na czterech podporach, wyniesiona daleko w powietrze, wisiała nad nim ciemna, kanciasta bryła wielkiej skrzyni. U jednej ze ścian obracała się z zawrotną szybkością płaska gwiazda o wielu ramionach. Słyszał równomierny terkot i poświstywanie wiatru.

Przez okrągły otwór wsunął się do wnętrza skrzyni. Była to niewielka przestrzeń, w której mógł się jednak swobodnie poruszać. W półmroku jaskrawą bielą odcinała się szczelina w poszyciu. Ukląkł i przyłożył do niej oczy. Tees leżało w dole, spłaszczony, jakby przyciśnięty do ziemi ciężarem południowego światła. Kępy szarej zieleni, dachy i widziane w skrócie ściany, przejścia i drogi wydały mu się płaskie jak plamy farby wtarte w suchą ziemię. Z rzadka pojawiał się tam ruch. Tu i ówdzie odrywała się plamka cienia i pełzała, aby wtąpić się w inny zacieniony obszar lub zniknąć pod białym kwadratem dachu. Byli to ludzie poruszający się w pobliżu drogi, którą uciekł Awaru, ale wszyscy zajęci swoimi sprawami, znużeni upałem i nadmiarem światła.

Wreszcie zobaczył i Pushi, który wybiegł zza niebieskiego narożnika. Biegł zrazu w stronę wieży, na której ukrył się Awaru, znikł zasłonięty przez budynek, potem zjawił się biegnąc w bok

ścieżką, która oddalała go od właściwego tropu. Znów zniknął i raz jeszcze pojawił się w oddaleniu, podobny do ciemnego ziarenka, toczącego się przez rozległy plac.

Mroczna skrzynia pełna była terkotu i szumu. Awaru oderwał wzrok od oślepiającej jasnością szpary.

Ściany skrzyni przebija poziomo kręcący się wokół siebie gruby drąg metalowy. Na zewnątrz obraca się umieszczony na nim wieloramienny krzyż, którego płaskie ramiona, umocowane nieco skośnie, popychane są siłą wiatru. Wewnątrz wiruje tarcza o kształcie koła. Jej powierzchnie dotykają wiązki metalowych włókien, podobne do krótkich i grubych miotełek. W głębokim cieniu panującym w skrzyni widać, jak w miejscu zetknięcia tarczy z miotełkami syją się gęste, bardzo drobne iskry. Towarzyszy temu suchy, ostry trzask. Od miotełek cienkie pręty prowadzą do podłogi i przebiwszy ją, opadają do stóp wieży. Odwrócił gwałtownie głowę, utkwił spojrzenie w otworze. Wpadające przezeń światło przyćmiło się nieco, czymś przysłonięte. Z dołu ktoś się wspinał. W otworze ukazał się łeb sheri.

Rai wskoczył do wnętrza, usiadł naprzeciw Awaru, a jego długi ogon zwijał się, rozprostowywał i znów skręcał na wszystkie strony. Kolisty otwór zaciemnił się jeszcze raz i obok sheri zjawiała się dziewczyna. Uklękła na ostatnim wolnym skrawku podłogi. Zdawało się, że nie dostrzega Awaru, zaledwie musnęła go spojrzeniem, zatrzymała wzrok na wirującej tarczy, po której biegały iskry. Gdy uspokoił się jej przyspieszony oddech, powiedziała:

- Nigdy tu nie byłam.

„Kto zjawi się teraz? - myślał Awaru. - Pushi czy strażnicy?”

- Shanti - odezwała się dziewczyna, jakby zrozumiałszy jego wyczekiwanie - nikogo tam nie ma, przyszłam sama i nikt nie wie, że tu jesteś. Gdyby nie Rai, nie potrafiłabym cię odszukać. Kazałam iść mu po twoich śladach, a kiedy zaczął się tutaj wspinać, wiedziałam, że już mi nie uciekniesz.

- Po co tu przyszłaś? - spytał twardo.

- Chcę ci pomóc, a ty wciąż uciekasz. Gniewasz się, zamiast mnie wysłuchać.

- Nie mam na to czasu - rzucił ostro. - Zostaw mnie. Odsuń się i pozwól mi zejść na dół.

- Nie! - powiedziała stanowczo. - To, co robisz, może się tylko źle skończyć.

- Nie wierzę ci - odparł. - Śledzisz mnie, aby wydać w ich ręce. Skąd mogliby wiedzieć, że byłem u Braci Suhmi, jeśli nie od ciebie? Albo...

- To prawda! - przerwała. - Ja o tym powiedziałam.

- I twierdzisz, że chcesz mi pomóc! - roześmiał się. - Jeśli to prawda, pokaż mi, jak się wydostać z Tees, wtedy uwierzę.

- Dziś jeszcze możesz być daleko stąd.

Nie odpowiedział. Słowa nie miały znaczenia. Tylko działanie mogło przynieść ratunek, a każda chwila rozmowy pogarszała położenie. „Tam na dole - myślał - Pushi prowadzi gwałtowne poszukiwania, jeśli zaalarmuje straż przy wejściu, zaczną mnie ścigać wiele ludzi. Tracę na rozmowę ostatnie chwile, kiedy można by się jeszcze wydostać z pułapki”. Podniósł wzrok na klęczącą przed nim dziewczynę. Jej szafirowe źrenice stały się teraz niemal czarne.

- Shanti - szepnęła - musisz mi wierzyć, że niczego tak nie pragnę, jak pomóc ci...

- Więc zostań tu tak długo, dopóki nie oddalę się od Tees. Wtedy możesz zejść i powiedzieć im wszystko.

Oczy Zoa zalśniły wilgocią. Opuściła powieki i schyliła twarz.

- Wciąż myślisz - odezwała się cicho - że jestem przeciwko tobie.

„Uciekaj!” - rozkazywał sobie w duchu Awaru i nie ruszał się z miejsca. Dziewczyna podniosła twarz i znowu zobaczył jej oczy.

- Zrozum - powiedziała - zrozum, że z Tees jest tylko jedno wyjście, to, którym tutaj wszedłeś. Tą samą drogą, bez żadnych przeszkód możesz wydostać się na zewnątrz. Ale przedtem będziesz musiał być przesłuchany.

- A potem... - rzucił i nie kończąc, palcem przeciągnął po szyi.

- Za co? - jej oczy rozjaśniły się, a na twarzy pojawił się cień uśmiechu. - Shanti, przecież nic złego nie zrobiłeś. To, że byłeś u Braci, nikogo nie obchodzi. Musisz tylko wyjawić wszystko, co

wiesz o Wanyangeri. Ja też byłam o to pytana, ale nic nie wiem, nigdy nie spotkałam tego człowieka.

- Ale ja - rzekł Awaru - spotkałem go dwa razy i to wszystko.

- Przestań! - powiedziała. - Wszyscy wiedzą, że go ścigałeś i uratowałeś życie strażnikowi nad zatoką. Nikt cię nie posądza, że miałeś z Wanyangeri coś wspólnego.

- „Nikt! - Awaru przygryzł wargę. - Tak mogło się wydawać tylko tej dziewczynie.

Przecież nie powiedzieli jej wszystkiego. Jeżeli zaczną mnie przesłuchiwać, znajdą sposoby, żebym przyznał się, skąd naprawdę znałem Wanyangeri i skąd sam pochodzę. Pozostaje tylko ucieczka i nic więcej - pomyślał z żalem. - Dlaczego nie mogę wziąć jej z sobą...”

- Zoa - powiedział - odchodzę.

- Wciąż nie chcesz mi uwierzyć?

- Nic nie wiesz o mnie, nie mam innego wyjścia.

- Co chcesz zrobić?

- Opuzczę wyspę.

- To jest prawie niemożliwe.

- Wiem, ale spróbuję.

Usiadłszy na krawędzi otworu w podłodze, wysunął na zewnątrz nogi. Sheri zerwał się na cztery łapy i posunął za nim.

- Zatrzymaj go - poprosił Awaru. Zoa milczała.

- Chciałbym - powiedział - zabrać cię z sobą, Zoa. Podniosła oczy. Zwrócone w stronę światła, napełniły się znów

szafirowym blaskiem. Awaru począł pospiesznie schodzić po metalowych prętach.

Zeskoczył na ziemię, a jej dotknięcie kazało mu zapomnieć o wszystkim, co nie było ucieczką.

Dotarł w pobliże kamiennej, pochylonej wieży, która wydała mu się podobna do przewalonego, skalnego filara, odłupanego od górskiej ściany. Wspierały ją rzędy słupów, a w jej cieniu stała grupka mężczyzn z zadartymi głowami. Przesunął się za ich plecami.

Było już niedaleko do pasma zarośli otaczających Tees. Wówczas, poprzez las słupów podpierających wieżę, zobaczył przesuwaną się po drugiej stronie postać ludzką. Był to Pushi.

Awaru cofnął się i ukrył w grupce mężczyzn. Jeden z nich, wskazując palcami różne części budowli, mówił:

- Obraz słońca wpada do wnętrza i zostaje rzucony aż na dno pochylego tunelu. Po

drodze jest powiększony, pada na zaciemnioną płytę, na której można go oglądać. Gdyby patrzeć wprost, spotęgowany blask musiałby przyprawić o utratę wzroku. Pushi kręcił się chwilę pomiędzy filarami, przesunął wzrokiem po grupie mężczyzn i oddalił się, nie spostrzegłszy Awaru.

- Co się dzieje - spytał jeden z mężczyzn - jeśli słońce nie znajdzie się naprzeciw otworu? Jak można je zobaczyć, kiedy jest w innej części nieba?

- Wtedy jego obraz zostaje skierowany do wnętrza przez zwierciadła umieszczone na szczycie i obracane w miarę potrzeby za słońcem.

Awaru wysunął się spomiędzy nich ostrożnie i cicho odszedł. Nie zauważony dotarł do zarośli i począł przebijać się przez nie krok za krokiem. Próbował ziemi stopą, zanim zdecydował się gdziekolwiek stanąć, odgarniał zeschnięte liście i patyki, aby przekonać się, czy pod nimi nic nie jest ukryte. Badał gałęzie, na których mogło być coś rozwieszane, nadśluchiwał szelestów.

Znalazł się po drugiej stronie, poczuł znów przyływ nadziei. Wystawił głowę z równo obciętej ściany krzaków, dalej był pas otwartej ziemi, twardej, nagiej i odmiecionej do czysta, zapraszającej, aby śmiało na nią stanąć. Na ziemi leżała sieć. Nie dostrzegł jej zrazu. Była wykonana z cienkich metalicznych włókien, które przywarły blisko do gruntu, znikwały pośród ziaren piasku i kamyczków.

W pamięci Awaru odżył widok wału nad zatoką i skrzyconego na nim, spopielatego ciała Wanyangeri. Tędy nie było wyjścia z Tees.

Spróbował zmierzyć wzrokiem szerokość sieci, być może udałoby się ją przeskoczyć. Nie umiał jednak wypatrzeć na odległość większą od kilku kroków, dalej nie odróżniała się zupełnie od podłoża.

„Mógłbym - zastanawiał się - spróbować skoczyć, gdyby można wziąć jakiś rozpęd. Ale skakać z miejsca, z gąszczu, to pewny koniec. A gdyby - myślał - wejść powoli, na czubkach palców, nie tak gwałtownie, jak Wanyangeri?”

Wysunął stopę i wielkim palcem dotknął włókna okalającego pierwsze oko sieci. Cofnął go natychmiast, odczekał chwilę i ponowił próbę, tym razem sięgając nieco dalej. Nie poczuł niczego. Ostrożnie opuścił całą stopę i przeniósł na nią ciężar ciała. Teraz wysunął drugą nogę. Musnął sieć wielkim palcem, poczuł cieniutkie ukłucie. Spróbował dotknięcia w innym miejscu, ukłucie powtórzyło się. Opuścił całą stopę i nacisnął mocniej. Całą podeszwę od palców do pięty przebiegło kłujące łaskotanie. Zrobił następny krok. Zanim postawił stopę, kilka razy potraçał sieć, za każdym czuł jakby ukąszenie ostrymi ząbkami. „Trzeba to wytrzymać!” - powiedział sobie i stanął mocno. Zacisnął zęby. Wydało mu się, że skóra przywarła do ziemi jak przyciągana nieznaną siłą, a od spodu cały rój maleńkich nożyków tnął ją wzdłuż na paski, kroi żywe mięso, rozdziela włókienka.

Przestawił pospiesznie drugą nogę w dalekim wyroku i z jego ust wyrwał się okrzyk. Tym razem cały strumień bólu popłynął z ziemi, rozcinał stopę i łydkę, biegł wzdłuż uda, rozspajał ciało, darł je żywcem, trząsał nim i szarpał.

Awaru zachwiał się, byłby upadł, ale wysiłkiem całego ciała oderwał stopę i rzucił się do tyłu w zbawcze zarośla. Leżał na ziemi, czując, jak całe ciało drży. Po skórze spływały mu strugi potu, a uszy pełne były przeraźliwego, świdrującego dźwięku. Zrozumiał, że to

sygnał alarmu, który rozległ się w chwili ostatniego stąpienia. Usłyszał głosy ludzkie, nawoływania, poczęły trzaskać gałęzie, ktoś przedzierał się gąszczem.

Nie mógł dłużej zwlekać. Na miękkich, rozedrganych nogach powłókł się wzdłuż ściany krzaków, samym skrajem metalowej sieci. Ból po chwili ustał. Zmusił się do szybkiego kroku, potem do biegu.

Z zielonego muru liści przed nim wyłonił się Pushi. Awaru zakręcił w miejscu i wpadł w krzaki. Rwał i targał gałęzie oślepiiony liściastymi kiściami bijącymi po twarzy.

Niespodziewanie trafił na mur. Było za wysoko, aby wskoczyć. Głosy ścigających zbliżały się z lewej i z prawej. Sunął dalej wzdłuż ściany, aż natrafił na miejsce, gdzie była porośnięta krzewem bluszczu. Jął wspinać się po nim, dźwigając ciało na rękach. Nogi szukające oparcia ześlizgiwały się po twardych łodygach.

Poniżej dokoła były krzaki. Nikt z prześladowców jeszcze się nie ukazał, ale w wielu miejscach chwiały się gwałtownie czubki gałęzi. Stanął na murze i bez chwili wahania zeskoczył na wewnętrzny taras. Miał teraz nieco wytchnienia.

Ze środka rozległego tarasu wyrastała piramida kamiennych schodów. W wyższych kondygnacjach czerniały okna. Awaru, odzyskawszy oddech, jął się wspinać ze stopnia na stopień. Sięgał dłońmi do ich krawędzi, podciągał się i zarzucał nogę na wyższy stopień piramidy.

Na koniec dotarł do poziomu z oknami. Z trudem wcisnął się do mrocznego otworu, bardziej podobnego do szczeliny niż do okna. Popęzł nim w dół głową naprzód, przyciśnięty piersią do chłodnych kamieni i czując kamienny ciężar na plecach. Otwór wyprowadzał do rozległej pustki wypełnionej zielonkawym światłem.

Leżał wyciągnięty jak długi na wąskim gzymsie. Zaledwie mieścił się na nim szerokością ciała. Tuż za krawędzią otwierała się próżnia. Znalazł się pod stropem sali przypominającej swą rozległością, przyćmionym światłem i ostrymi krawędziami murów podskalną grotę, do której zaledwie przesącza się blask słońca poprzez zasłaniające otwór rośliny puszczy.

Spoglądał w dół szukając dalszej drogi ucieczki, ale z miejsca, gdzie się znalazł, można* było tylko albo wrócić na powierzchnię jedną ze szczelin przebijających strop, albo skoczyć w dół.

Na dnie sali ujrzał ustawione w pierścień siedzenia, zajmowane przez mężczyzn i kobiety. Nie mógł przyglądać się dokładnie, w obawie, że zostanie dostrzeżony. Cofnął głowę poza krawędź gzymsu. Pod strop docierały z dołu szmery rozmów. Z początku nie rozumiał ich. Całą uwagę zwracał ku szczelinie, którą się tu dostał. W każdej chwili mogły się w niej rozlec głosy ścigających. Krew szumiała mu w uszach po gwałtownym biegu, świszczący oddech wydobywał się z gardła. Upłynęła dłuższa chwila, zanim się uspokoił i przekonał, że pogoń nie nadciąga. Zaczął zwracać uwagę na słowa płynące z dołu.

- Od jak dawna są prowadzone obserwacje? - pytał ktoś.
- Prowadzi się je - odpowiedział ktoś drugi - bez przerwy, niezależnie od tego, czy góra spoczywa w pełnym spokoju, czy też wznowia działalność, jak w ostatnich dniach.
- Czy są już jakieś wnioski?
- Nic pewnego.

Do rozmowy wmieszał się nowy głos, kobiety:

- Wybuch wulkanu może nasilać się i doprowadzić do katastrofy, może także ustać w każdej chwili.

- Umiemy to przewidzieć.

- Niestety, nie! - brzmiała odpowiedź. - Jedno jest pewne - mówiła kobieta - nigdy jeszcze wybuchowi nie towarzyszyły tak silne wstrząsy, jak obecnie...

„Mówią o Suhmi - zrozumiał Awaru. - Silniejszy wybuch mógłby się okazać ocaleniem! Musieliby wtedy zaniechać pościgu i zająć się własnym ratunkiem”.

- Chciałbym wiedzieć - rozległ się na dnie sali powolny i drżący głos starego człowieka - jak to było w przeszłości, jakie skutki wynikały z najsilniejszych wybuchów.

- Zwykle - odparł mężczyzna - szkody nie były dotkliwe. Wylew płynnej lawy niszczył roślinność na pewnym obszarze, a popioły niezbyt grubą warstwą pokrywały nawet cały kraj.

- Czy wybuch wielokrotnie silniejszy mógłby doprowadzić do wstrząsu, od którego rozpadłaby się cała wyspa?

- To jest na pewno możliwe - rzekł mężczyzna.

- Chwilowo - powiedziała kobieta - groźniejsze jest zapadanie się wybrzeży...

- Właśnie! - zabrzmiało kilka głosów.

- Już bardzo dawno - mówiła - przekonaliśmy się, że istnieje związek pomiędzy podziemnymi wstrząsami, które powoduje Suhmi, a obniżaniem się brzegów wyspy.

Ostatnio szybkość, z jaką zanurzamy się w morzu, znacznie wzrasta. Dotychczas wydawało się, że prawdziwe niebezpieczeństwo pojawi się za sześć, siedem lat i na tę chwilę przygotowywano środki ratunku. Ale szybkość zapadania się wyspy wzrosła ogromnie w ostatnich tygodniach i jeśli nie zmaleje, niebezpieczeństwo nastąpi już za dwa lata lub nawet za rok.

- Z tego powodu - powiedział ktoś - wydaje się, że Rada powinna uchwalić nadzwyczajne środki zaradcze...

„Rada Czterdziestu!” - przypomniał sobie Awaru. Wychylił głowę poza krawędź muru i patrzył wprost z góry na zgromadzenie czterdziestu mężczyzn i kobiet, którzy sprawowali najwyższą władzę wśród wyspiarzy. Zrozumiał teraz, iż nie byli to żadni czarownicy, jak twierdził Wanyangeri, lecz raczej to, co na starym lądzie nazywało się radą plemienną lub radą starszych.

- Należy - mówił donośnie ktoś na dole - przyspieszyć budowę floty.

- Czy to możliwe? - zastanawiał się inny głos. - Termin opuszczenia wyspy przez całą ludność wyznaczaliśmy za pięć lat, skrócenie wydaje się bardzo trudne.

„Opuszczenie wyspy przez całą ludność... To znaczy - przygryzł wargę do bólu - że wszystko było niepotrzebne... Oni odjadą, a wyspa pogrzeje się w morzu”.

- Przyspieszenie odjazdu - brzmiało na dole - jest bardzo trudne, ale możliwe. Już trzeba by wysłać pierwszą grupę, a statki wróciłyby po następną.

Awaru w myślach miał chaos, słyszał dudnienie pulsu w skroniach. Poznał największą tajemnicę wyspiarzy, ale poznał ją za późno. Wtedy, kiedy był już niemal pewien, że zapłaci za nią życiem.

Na kamiennym gzymsie pojawiła się ciemna, ruchoma plama. Gdy była już zupełnie blisko, rozpoznał niewielkie zwierzątko. Zatrzymało się, podniosło głowę i węszyło.

Czarne płatki jego nozdrzy drgały, szybko unosząc się i opadając.

Zbliżone kształtem do szczura piżmowego żyjącego na brzegach strumieni i jezior w puszczy Jednak nieco mniejsze od niego i różniące się nieznacznie budową. Ogon długi, mocno owłosiony, cienki. Całe ciało pokryte bardzo miękkim, puszystym włosiem o czarnej jak sadza barwie. Chodzi lub biegnie szybko, zawsze na czterech łapach. Pięć palców zaopatrzonych na końcach w okrągłe, niezwykle miękkie poduszeczki. Głowa wydłużona w cienki i ruchliwy ryjek z dwoma pęczkami drgających wąsów.

Zwierzątko skręciło w bok, jakby chcąc obejść Awaru dookoła, w bezpiecznej odległości.

Trafiło jednak na krawędź gzymsu, za którą obrywała się przepaść. Pobiegło wzdłuż niej i zbliżyło się do ramienia leżącego bez ruchu człowieka. Długo węszyło wodząc koniuszkiem wysmukłego ryjka po skórze.

W pobliżu pojawiło się kilka nowych ciemnych plam, które szybko sunęły za pierwszą.

Zwierzątka poczęły biegać wzdłuż wyciągniętego Awaru, muskając nosami jego bok, ręce i nogi. Unosiły się na tylnych łapach, przednie opierając o ciało.

Pamiętał swoją pierwszą noc na wyspie, lądowanie i spotkanie w ciemnościach ze stworzeniami, których wówczas nie zdołał zobaczyć. Teraz zrozumiał, że nie było to spotkanie przypadkowe. Zachowywały się jak grupka wywiadowców, wysłana, aby odszukać człowieka i dokonać jego dokładnych oględzin. Pojął, że jest odkryty.

Z małych otworków rozmieszczonych w powierzchni sztucznego kamienia, z którego

uformowany był gzyms, poczęły wydobywać się smużki dymu. Wyciekały jak błękitne strumyki, rozpraszając się w przejrzyste obłoczki, które jęły łączyć się ze sobą i mieszać. Zawisająca w powietrzu ulotna mgielka dosięgła Awaru, otoczyła go i objęła. Poczł ciężki, słodkawy zapach, ogarnęła go senność, potem uczucie łagodnego omdlenia i opuścił powieki.

Przez długi czas odczuwał rozwidnianie się, coraz większą ilość światła, która spływała na zamknięte powieki. Była to jasność pozbawiona ciepła i jakiegokolwiek barwy poza bielą. Trwał tak, nie próbując otworzyć oczu, ale powieki, jak niezależne od jego woli, rozwarły się same. Nic nie zobaczył oprócz tej samej bezbarwnej poświaty bijącej z siłą, która nie oślepiała, ale i nie pozwalała dostrzec nic poza nią.

Pośród białego światła zjawił się cień. Zrazu rozplynięty, szybko utrwalił się. Utworzył kształt głowy i ramion. Pozostał zarysem, którego nie wypełnił wizerunek ludzkiej twarzy. Wyłoniły się z niego jedynie oczy i Awaru widział je teraz nad sobą, związane promieniem spojrzenia z jego własnymi źrenicami.

- Czy możesz mówić? - rozległo się pytanie.

Usłyszał je i uświadomił sobie, że do tej chwili otaczała go zupełna cisza bez szelestów, pozbawiona nawet szmeru bijącego serca i pulsu tętniącego w skroniach. Pytanie brzmiało mu w uszach, utkwilo wewnątrz czaszki i trwało tam budząc niepokój, przekonanie, że coś trzeba uczynić.

- Mów! - brzmiał rozkaz. - Zaczynaj mówić, kim jesteś!

Nie zdołał się oprzeć. Nie wiedział nawet, czy wargi poruszyły się, usłyszał własny głos, wsłuchiwał się weń, w płynące gładko i bez przerw słowa.

- Nazywam się Awaru - mówił. - To jest moje imię, odkąd pamiętam, chociaż często zwracano się do mnie inaczej, mówiąc; nasz panie, lub: synu naszego pana, albo: synu króla.

- Po co przybyłeś na wyspę? - przerwał głos.

- To proste - odparł natychmiast Awaru - miałem spędzić tu możliwie długi czas, oczywiście nie pozwalając się odkryć. Miałem udawać jednego z mieszkańców wyspy i ciągle zmieniać okolice, aby podejrzania, jakie mogłyby powstać co do mojej osoby, nie zdażyły się nigdzie rozwinąć.

Słowa płynęły same z ust Awaru, nie zastanawiał się nad nimi, mówienie nie wymagało namysłu. Doznawał uczucia, że wystarczy rozchylić wargi, a wszystko, co trzeba, wyleje się samo.

- Czy miałeś już gotowy plan napadu? - pytały oczy.

- Układanie planu nie należało do mnie, choć oczywiście było mi dokładnie wiadomo, jakie są zamiary króla i starszych plemienia. Zależnie od tego miałem prowadzić obserwacje. Następnie, po moim powrocie, musiałbym dokładnie opisać wszystko, czego zdołałem się dowiedzieć, a to posłużyłoby do ostatecznego ustalenia przebiegu działań wojennych. Choć, jak zwykle w takich sprawach, nie bardzo słucha się wywiadowców.

Tak było w wojnach z sąsiadami, które z tej przyczyny nieraz kończyły się porażką.

Zawsze wydawało mi się, że starsi wolą opierać się na tym, co sami wiedzą.

- Nie o tym masz mówić! - przerwał głos.

Słowa przestały toczyć się z ust Awaru na krótką chwilę. Po raz pierwszy zdołał poruszyć oczami, oderwał je od tkwiących naprzeciw źrenic i skierował gdzie indziej. Chciał spojrzeć na własne ciało i wtedy przekonał się, że cały, z wyjątkiem głowy, zanurzony jest w mlecznym płynie. Wpatrywał się w jego powierzchnię nieprzejrzystą, połyskującą

tęczowo, i nie był pewien, czy pod spodem znajduje się cokolwiek. Nie czuł ciała, nie wiedział, czy ma jeszcze ręce i nogi. Wydawało mu się, że pozostała tylko głowa.

- Mów o planie napadu - nalegał głos.

- Zamierzaliśmy wylądować w kilku miejscach równocześnie. Miała być na to wybrana noc możliwie ciemna - podjął Awaru.

Mówił bez zatrzymania, wszystko, co wiedział i co nasunęło mu się samo, ale gdzieś w głębi mózgu pojawiła się myśl, której nie wypowiedział i której sam jeszcze nie rozumiał. Wiedział tylko, że ona istnieje i przebija się do świadomości z mglistej i mrocznej głębi.

- Przewidywano - ciągnął - że jeden lub więcej z lądujących oddziałów zostanie zniszczony, ale wydawało się nieprawdopodobne, aby mogło to spotkać wszystkie. Przez całą noc miał trwać pospieszny marsz wojowników w stronę największej osady. Gdyby nie wystarczyło na to nocy, mieli zapaść w lesie, ukryć się na dzień i maszerować dalej następnego wieczora, tak aby rozpocząć bitwę w ciemnościach.

- Ilu wojowników miało brać udział w wyprawie?

- Każdy oddział - wyjaśnił natychmiast Awaru - miał składać się z dwustu lub trzystu ludzi, oddziałów zaś byłoby zapewne pięć. Każdy na lekkich otwartych łodziach, które pozwoliłyby podплыć blisko do brzegów, nawet tam, gdzie są płycizny. Uzbrojenie wybrano lekkiego typu, aby zapewnić wojownikom największą swobodę ruchów, umożliwić marsze, a także szybkie skupienie się lub rozpraszanie, gdy to będzie konieczne w walce. Zrezygnowano z ciężkich długich dzid oraz tarcz wspieranych o ziemię i dających ochronę całemu ciału. Każdy wojownik miał być wyposażony w kilka lekkich oszczepów do rzucania i małą tarczę ze skóry na lewą rękę, niekiedy - w łuki i strzały.

- Zatrute?

- Oczywiście! - odparł Awaru. Wydawało mu się, że uparta, dręcząca go myśl już, już ma się ujawnić, ale wciąż pozostaje w ukryciu. Niepokój wzrastał, czuł, że jest to coś ważnego, co musi sobie przypomnieć za wszelką cenę.

- Oczywiście! - mówił. - Innych używa się tylko na polowaniu, choć i to nie zawsze.

Zatrute groty strzał i ostrza oszczepów są

o wiele skuteczniejsze w walce, gdyż wystarczy tylko lekkie draśnięcie przeciwnika, aby go pokonać. Lekkie skaleczenia w bitwie są znacznie częstsze niż celne ciosy w serce, głowę czy brzuch.

- Wystarczy - powiedział głos. Oczy patrzyły uparcie i bez zmrużenia powiek. - Co leżało u podstawy planu, skąd zrodziła się w ogóle myśl napadu na wyspę?

- Starsi uznawali to za konieczność życiową. Nie ma innego wyjścia dla ludu, jak się wydaje... - mówił to bez zatrzymania, lecz równocześnie myśli jego, dotąd skrępowane i pogrążone w odrętwieniu, przerwały jakąś zaporę w głębi mózgu i, niezależnie od wypowiedzianych słów, wypełniły mu czaszkę. Teraz wiedział już, co go tak niepokoiło, co usiłował wydobyć z niepamięci. Zrozumiał to z przeraźliwą jasnością. „Zdradzam - powiedział sobie. - Mówię wszystko, co powinienem zachować w najgłębszej tajemnicy. Skazałem się na śmierć, a jeśli nie uczynią tego wyspiarze, zostanę zabity przez swoich jako zdrajca plemienia”.

- Nasze dzieje - mówił dalej - powiadają, że przybyliśmy z puszczy w głębi lądu, aby

osiąść na wybrzeżu morskim. Jesteśmy w tym miejscu od wielu pokoleń. Nasi przodkowie byli potężni i panowali nad wielkimi obszarami. Jednak czasy potęgi minęły i dokoła powstał pierścień wrogich plemion. Opieramy się im od dawna i będzie to trwało tak długo, dopóki nie zdołają porozumieć się między sobą. Bronimy się jeszcze skutecznie, ale za mało mamy sił, żeby zupełnie rozbić wrogów. Powstała więc myśl przeniesienia się do innego kraju. Od dawna wiedzieliśmy o istnieniu wyspy, która wylania się z fal morskich w stronie, gdzie zachodzi słońce. Podobno wiele pokoleń temu - wyspa była pusta i przez nikogo nie zamieszкана. Ale wtedy nikt się nią nie interesował, gdyż dość było miejsca na lądzie, aby pomieścić niezbyt liczne wówczas plemiona. A kiedy minęły lata i uczyniło się ciasno, przypomniano sobie o wyspie, ale ta była już zajęta przez nieznaną przybyszów i...

- I - przerwał głos - nie pozostało nic innego, jak ich zniszczyć, tak?
- Tak - odparł Awaru. - Czy mam mówić dalej?
- Wystarczy - rzekł głos.

Oczy wpatrzone w Awaru stały się jakby mniej wyraźne, cofnęły się, rozmazały, wchłonęła je promienista jasność, z której niemal natychmiast wyłonił się nowy zarys twarzy. Tym razem Awaru dostrzegł nie tylko oczy. Poznał rysy Pushi.

- Czy dobrze pamiętasz - spytał Pushi - dzień, w którym przybyłeś na wyspę?
- To była noc - poprawił Awaru. Pushi odpowiedział uśmiechem.
- A więc - zapytał - co działo się tamtej nocy?

„Nigdy jeszcze - myślał Awaru - nie miałem tak jasnego umysłu, wszystko pamiętam tak, jakbym to widział w tej chwili. Wszystko układa mi się w głowie bez najmniejszego wysiłku. Raz zdradziłem i cokolwiek im teraz powiem, moje położenie nie może się już pogorszyć...”

- Z morza - powiedział - wydostałem się na skałę, zupełnie wyczerpany walką z rekinem, a potem...
- Czy spotkałeś kogoś na brzegu? - przerwał Pushi.
- Zdawało mi się, że ktoś stoi w ciemnościach. Wtedy nie byłem tego pewien, ale teraz wiem, że tak było. A potem zjawiły się zwierzęta, rzuciły się na mnie i obsiadły ze wszystkich stron. Po co?
- Mówisz o yae - wyjaśnił Pushi. - Są specjalnie hodowane i tresowane dla tych celów. Doskonale widzą w ciemności, a małe rozmiary pozwalają im się wszędzie przedostać niepostrzeżenie. Dzięki nim strażnik dowiedział się, że nie jesteś uzbrojony.
- To znaczy, że ktoś wiedział o moim wyjściu na ląd?
- Wszystko było wiadomo od chwili, kiedy w środku nocy na otwartym morzu pojawił się obcy statek. Potem oddzielił się od niego człowiek i płynął do brzegu. Od tej chwili każdy twój krok był śledzony. Ty sam, nie uzbrojony, nie byłeś groźnym przeciwnikiem, ale należało się spodziewać, że na twój sygnał nadpłyną statki z wojownikami. Dla celów obronnych wybrzeże zostało zadymione.
- Mgła? - przypomniał sobie Awaru.

- Sztuczna mgła - rzekł Pushi. - Teraz nie mamy już wobec ciebie tajemnic.
 „Wiem o tym! - błysnęło w głowie Awaru. - Skoro mam umrzeć, tajemnice umrą wraz ze mną”.

- Na rozżarzone węgle sypie się pewien proszek, który pod wpływem gorąca zaczyna natychmiast wydzielać wielkie ilości dymu. Okrywają one całą okolicę i pozwalają wciągnąć lądujących wojowników w pułapkę. Wzdłuż wybrzeży wyspy jest zaledwie kilka miejsc, gdzie można przybić łodziami i tylko one są bronione. Od brzegu prowadzi w głąb lądu wiele wznoszących się łagodnie dróg. Stopniowo przechodzą one w kładki ułożone na coraz wyższych słupach. Słupy wyrastają z bagna. Kładki są zakończone ruchomymi belkami, pochylają się pod ciężarem ludzkiego ciała, strącając napastnika do bagna. Gdy okolica zasnuta jest dymem i nie można sięgnąć wzrokiem dalej niż na dwa, trzy kroki, pułapka może przynieść zgubę największemu oddziałowi.

Pushi przestał mówić i usunął się na bok, w jego miejsce pojawił się ktoś inny. Wyciągnął rękę i Awaru uczył dotyk jego palców. Najpierw ich koniuszki uciskały mu lekko obie gałki oczne, następnie odchyliły mu powieki.

- Wyjmijcie go - rozległ się rozkaz.

Pochyliły się nad nim dwa cienie. Ujrzał, jak mleczny płyn rozstępuje się i spływa na boki, a z głębi wynurza się jego własne ciało. Ciurkot spadających kropeł wydał mu się przenikliwie ostry i donośny. Spoczął na gładkiej płycie. Znow ktoś dotykał jego oczu i przykładał dłoń do piersi w miejscu, gdzie można wyczuć bicie serca.

Awaru widział swoje ciało lśniące od wilgoci, ale wciąż jeszcze doznawał dziwnego uczucia bezwładu. Zdawało mu się, że tułów, ręce i nogi są płaskie, że są z lepkiej galarety, którą uklepano i rozplaszczono na płycie, tak aż przylepiła się do niej i przywarła z siłą. U końca zaś tego plastra, niezdolnego oderwać się i unieść o własnej mocy, leżała słabo z nim związana głowa. Okrągła, twarda-kula, kołysząca się jak skorupa orzecha na płaskim kamieniu.

- Zostałeś odkryty - rozległ się głos Pushi - w chwili lądowania na wyspie.

Awaru widział teraz więcej niż poprzednio. Obejmował wzrokiem postać Pushi stojącego przed nim z rękami złożonymi na piersi i z uśmiechem nie opuszczającym twarzy.

- Od tego czasu - ciągnął Pushi - byłeś pod stałą obserwacją.

- Jak to?

- Dzień za dniem i krok za krokiem, gdziekolwiek się udałeś i cokolwiek robiłeś.

- Wiedzieliście, kim jestem?

- Od początku.

- Nieprawda!

- Nie było żadnej tajemnicy - Pushi rozłożył ręce. - Tak samo wiedzieliśmy wszystko o znanym ci Wanyangeri. Dowiedz się, że twoja obecność mu przeszkadzała i próbował się ciebie pozbyć zdradzając, że przybyłeś ze stałego lądu. Dla nas to oskarżenie z jego ust było tylko śmieszne. Ty nic nie podejrzewałeś.

- Wiedziałem o tym dobrze - przerwał Awaru.

Z wolna odzyskiwał czucie w całym ciele. Poczynał też normalnie widzieć i słyszeć.

Wciąż doznawał niezwyklej jasności umysłu. Mijała obojętność, z jaką wysłuchiwał dotąd słów Pushi. Podniósł wzrok, na miejscu Pushi stał już ktoś inny.

- Nie byłeś wyjątkiem - przemówił mężczyzna. - Takich jak ty, przybywających na wyspę ze stałego ładu, jest znacznie więcej...

- Po co mówisz mi o tym - przerwał mu Awaru. - Nie chcę już nic słyszeć, nie obchodzi mnie to.

- Za chwilę - odparł mężczyzna - będziesz musiał odpowiedzieć na trudne pytanie. Po to musisz dowiedzieć się o pewnych sprawach. Otóż - ciągnął - owi przybysze pojawiają się tu w różnych celach i zamiarach. Zazwyczaj jak najgorszych. Jeśli są to większe grupy uzbrojonych i zdecydowanych na wszystko wojowników, nie mamy innej rady, jak tylko przeciwstawić się im natychmiast, zanim zdołają uczynić coś złego. Bywają jednak przybysze pojedynczy lub

w grupkach po dwóch, trzech. Nie są oni niebezpieczni. Nie przeszkadzamy im w dostaniu się do wnętrza kraju. Ale opuścić wyspy już nie mogą. Po pierwsze - dlatego, że znając część naszych tajemnic mogliby stać się w przyszłości groźnymi przeciwnikami. Po drugie - dlatego, że potrzeba nam ludzi. Wyspa nie jest zbyt gęsto zamieszкана, miejsca starczy jeszcze dla wielu. W ten sposób znaczna część ludności to nowi przybysze lub ich potomkowie. Zresztą i pierwsi, którzy zasiedlili wyspę, byli też przybyszami z daleka. Nasi przodkowie pojawili się z południowego wschodu, płynąc na niewielkich statkach i okrążając kontynenty. Tam skąd przyplłynęli, mieszkali także na wyspach...

Awaru poczuł, że odzyskuje władzę w mięśniach, przeszło też bez śladu dziwaczne uczucie spłaszczenia. Próbował zginać palce i poruszyć stopami, były posłuszne. Uniósł się nieco na łokciu.

- Ktoś chce cię zobaczyć - powiedział mężczyzna. Pojawiła się przed nim dziewczyna. To była znowu ona. Patrzyli

na siebie w milczeniu. W białym świetle spływającym zewsząd jej szafirowe oczy stały się jasne jak prześwietlone słońcem niebo. Ich kolor zdawał się promieniować zabarwiając wszystko dokoła.

- Bałam się tu przyjść - przemówiła Zoa.

- Nic ci nie zrobią - powiedział Awaru.

- Nie - odparła - nie tego! Bałam się, że znowu mnie posądzisz o coś nieprawdziwego. Ja - mówiła - wcale cię nie śledziłam, chciałam...

- Wiedziałaś, kim jestem? - zapytał Awaru.

- Tak - odparła cicho, opuściła powieki, a po chwili, spoglądając z obawą, spytała: - Gniewasz się?

- Nie - odparł. - Nie gniewam się już na nic ani na nikogo. Nie mam na to czasu. Od jak dawna wiedziałaś?

- Od pierwszej chwili, kiedy cię zobaczyłam leżącego tam, pod liśćmi azamo, na pół zatrutego.

- Tak - szepnął - wszystko było niepotrzebne. I znów mnie widzisz, ale teraz jestem bardziej niż zatruty.

- Wiem, co czujesz. Dlatego chciałam tu przyjść, żeby...

- Dziękuję ci, Zoa - powiedział - pomogłaś mi. Odwrócił spojrzenie od jej oczu. Wydało mu się, że stało się jakby ciemniej, ogarnął go chłód i poczuł ucisk w głębi piersi.

- Przyszłam tu - odezwała się jeszcze Zoa - żeby ci powiedzieć, że nie jesteś w tym kraju zupełnie sam...

Czoło Awaru dotknęła lekka dłoń. Podniósł oczy, ale nie była to dłoń Zoa. Dziewczyna zniknęła bez śladu. Dłoń z czoła przesunęła się niżej, palce musnęły oczy Awaru, jakaś twarz zbliżyła się do jego twarzy i ujrzał ciemne oczy wpatrzone w głąb własnych źrenic.

- Możesz już wstać - usłyszał.

- Podnieś się - powiedział ktoś inny.

Usiadł i opuścił nogi na ziemię. Dotknął jej stopami. Przez chwilę nie był pewien, czy zdołają unieść ciężar ciała. Dźwignął się podpierając rękami. Nie czuł żadnego osłabienia, uczynił krok. Wszystko było jak dawniej.

- Jesteś już znowu sobą - usłyszał. - Minęło oszołomienie. Aby cię schwytać, musieliśmy cię uśpić. Jest to niebezpieczne dla zdrowia i zostałeś poddany specjalnym zabiegom, które usunęły z twego ciała trujące pozostałości gazu usypiającego. Gdy zacząłeś powracać do przytomności, otrzymałeś do wypicia wywar z ziół. Zniweczył on twój opór i kazał ci odpowiadać na wszystkie pytania. Ale teraz wywar już nie działa. Teraz możesz mówić lub nie. Czy pamiętasz, za kogo podawałeś się w pierwszych dniach pobytu na wyspie?

- Teraz to już wszystko jedno - Awaru wzruszył ramionami.

- Niezupełnie - rzekł mężczyzna. - Podawałeś się za loki. Być może, ktoś ci uwierzył.

Zostawiam cię teraz z prawdziwym loki.

Zobaczył młodszego od siebie mężczyznę, o twarzy pociągłej i kościstej, jasnej skórze i oczach o barwie trudnej do określenia. Zdawało się, że są one dwoma osadzonymi pośród powiek, rzadkimi kamieniami, przez które prześwituje blask płonącego wewnątrz czaszki światła.

- Wiemy, kim jesteś, skąd przybyłeś i po co - przemówił loki. Głos jego był łagodny. - Nie znamy jedynie rzeczy najważniejszej, twoich myśli.

- Nic nie ukrywałem, nie rozumiem cię.

- Zrozumiesz, kiedy usłyszysz moje pytania. Oto pierwsze z nich: Przybyłeś na wyspę dobrowolnie czy też zmuszony do tego?

- Nikt nie zmusza do takiej rzeczy syna królewskiego.

- A więc sam chciałeś. Czy wiedziałeś dokładnie, że po twoim powrocie, dzięki zebranych przez ciebie spostrzeżeniom, nastąpi zbrojny napad?

- Wiedziałem.

- Uważasz nas za wrogów?

Awaru zawahał się. Jasne oczy loki stały się wąskie jak szparki.

- Mów śmiało!

- Nie boję się - odparł Awaru.

- Wahasz się - rzekł loki - bo trudno ci wybrać „tak” lub „nie”. Nie jesteśmy wrogami, bo nigdy nasze narody nie miały ze sobą nic wspólnego. Zarazem jesteśmy, gdyż zamierzacie nas napaść. Czy chciałeś tej wojny?

- Tak - odparł szybko Awaru - ale...

- Nie kończ! - przerwał mu loki. - Chciałeś wojny, ponieważ chciał jej twój król, starszyzna plemienna, ponieważ uważaliście to za ratunek dla siebie, a co najważniejsze, ponieważ nas nie znałeś. Czy próbowałeś sobie wyobrazić, jak wyglądałby napad?
 - Były różne plany...
 - Nie o to pytam. Czy byłbyś pośród walczących?
 - Tak - odparł Awaru - ale...
 - Wiem - raz jeszcze przerwał loki. - Byłbyś jako ten, który zna teren, i musiałbyś być jako syn królewski. Co trzeba zrobić, aby pokonać broniący się kraj?
 - Wiele rzeczy...
 - Nie! Trzeba jednego tylko: zabić wszystkich mieszkańców kraju. Jak się to robi? - loki zawiesił głos i po chwili sam dokończył. - Wbija się oszczep w każdego napotkanego człowieka... Po to zjawileś się u nas.
- Sylwetka loki chwiała się w oczach Awaru, głowa stawała się coraz cięższa. Wypełniały ją myśli i strzępy obrazów, o których nie wiedział już, czy są jego własne, czy też przekazane mu przez loki. Nie umiał już znieść tego dłużej. Chciał wyrwać się spośród ścian,
- nikogo już nie słyszeć, nie musieć odpowiadać, usnąć lub pozwolić się zabić...
- To było to, o czym wiedział od dawna, a czego nie śmiał sobie otwarcie powiedzieć. Wyspiarze mogli mu być obojętni, ale nie czuł do nich wrogości. Wiedział już na pewno, że nie potrafiłby wrócić tutaj na czele zbrojnych oddziałów, hordy wojowników, która wpadłaby do tego kraju jak demon zniszczenia. Co gorsza, czuł, że po tym, co przeżył, co poznał i zobaczył, nie potrafi już żyć we własnym kraju. Nie było tam nikogo, kto potrafiłby zrozumieć cokolwiek z jego myśli...
- Do świadomości Awaru dotarł naraz dźwięk nowego głosu:
- Czy chcesz dobrowolnie pozostać na wyspie i żyć pośród nas?
 - Przecież wy sami ją opuszczacie!
 - A więc dowiedziałeś się i tego. Masz rację. W tym przypadku udasz się wraz ze wszystkimi.
 - Dokąd?
 - I to możesz już wiedzieć. Popłyniemy wprost na zachód, przez ocean, do wybrzeży odległych o całe tygodnie żeglugi, a odkrytych przez naszych żeglarzy. Przed nami nie stanęła tam ludzka stopa, kraj jest dziki i pusty i przez nas zostanie zasiedlony.
 - Nie chcę go oglądać jako więzień - powiedział Awaru. - Wypuście mnie i pozwólcie odwiedzić na krótko mój własny kraj, a wrócę tutaj.
 - To nie jest możliwe - odparł mężczyzna.
 - Więc po co pytasz, czy zostanę dobrowolnie?
 - Aby wiedzieć, jak postępować z tobą.
 - Związać mnie, zabić, otruć - rzekł Awaru - gdyż dopóki będę mógł się ruszać, nie zaprzestanę prób ucieczki.

Zbudzony nagłym łoskotem, otworzył oczy. Na ścianie rysowała się słoneczna plama. Przypomniał sobie ostatnie słowa usłyszane poprzedniego wieczora: „Nie więzimy nikogo - powiedział mu jakiś mężczyzna. - Jesteś już wolny, spędzisz tu noc, a rano musisz opuścić Tees. Pozostaniesz na wyspie i otrzymasz towarzysza, który pomoże ci znaleźć zajęcie. Za rok, dwa zapomnisz o wszystkim innym”.

„Nigdy!” - odpowiedział mu w myśli.

Gdzieś w pobliżu zabrzmiał tupot nóg.

- Wstawaj! - zawołał ktoś przeraźliwie, ochryplym i łamiącym się głosem. - Wstawaj i uciekaj!

Zerwał się z postania i skoczył do otwartych drzwi. Nikogo już nie zobaczył. Oparł dłoń o mur i wówczas poczuł, że ściana drży.

Znajdował się na dachu wysokiego budynku ponad czubkami drzew. Dokoła widział wieże i konstrukcje Tees. Był wczesny poranek, powietrze jeszcze chłodne, połowa nieba była błękitna i czysta, drugą przesłaniała brunatna chmura. Powlekała kraj w stronę, gdzie na horyzoncie leżało pasmo skaliste z najwyższym wierzchołkiem Suhmi.

Ponury obłok położył się nisko, rozlany po ziemi, a zarazem wysyłał pod niebo potężne kolumny, które pęczniały i pochłaniały światło.

Budynek trząsał się i chwiało, grożąc rozsypaniem się w każdej chwili. Awaru pobiegł wzdłuż krawędzi dachu, odszukał schody i w jednej chwili znalazł się na dole pośrodku szerokiej drogi, z twardą ziemią pod stopami. Ale tym razem i ziemia, targana wstrząsami, nie mogła dać mocnego oparcia. Uderzana potężną siłą, rozedrgana, była równie niepewna, jak chwiejna fala wzburzonego morza. Tkwił na rozstawionych nogach, usiłując utrzymać się w równowadze i powstrzymać ogarniający go zawrót głowy.

Nie uciekał, bo przed kataklizmem nie było ucieczki. Powietrze wypełniały osobliwe dźwięki, głębokie westchnienia, nagłe jęki i poszumy wiatru. Gdzieś w dali narastał przeciągły, gromowy łoskot. Nie dostrzegł nigdzie ludzi, zrozumiał, że ostrzeżeni wcześniej, ratowali się ucieczką. Ale gdzie można było uchodzić przed katastrofą, która ogarniała całą, zdawało się, ziemię?

Kątem oka złowił jakiś ruch, odwrócił się gwałtownie i zdążył zobaczyć, jak smukła wieża z wieloramiennym wirującym krzyżem u szczytu pochyla się i wali nabierając prędkości.

Runęła łamiąc

z traskiem metalowe pręty, przebijając jakiś dach i wzbijając obłok kurzu.

W oknie pobliskiego budynku zwabiona hałasem zjawiała się na mgnienie oka twarz ludzka. Awaru pobiegł tam, ale po kilku krokach zatrzymał się jak wryty. Po białej powierzchni ściany, dotąd gładkiej i czystej, przemknęła jakby błyskawica. Ścianę zarysował czarny zygzak pęknięcia z wieloma odgałęzzeniami. Posypał się skruszony mur.

Awaru rzucił się do okna i zajrzał do wnętrza.

- Uciekaj! - zawołał. - Wychodź stąd prędejl!

- Zostaw mnie! - rozległa się gniewna odpowiedź.

Na ziemi klęczał mężczyzna i przebierał w wielkim pośpiechu cienkie arkusze pokryte

czymś przypominającym rządki pisma. Nie obejrzał się nawet na okrzyk Awaru. Odrzucał jedno z arkuszy, inne odkładał na bok piętrząc je w stos.

- Człowieku - krzyknął Awaru - wyjdź, jeśli nie chcesz zginąć na miejscu! Ściany ledwo się trzymają! -

Budynek trzeszczał złowrogo, z wysoka opadały grube kawały muru, unosił się kurz. Pękł narożnik budynku od ziemi do krawędzi dachu i, odszczepiony jak słup, począł się z wolna pochyłać.

Awaru jednym susem wpadł przez okno do wnętrza, chwycił klęczącego za rękę i szarpnął w stronę wyjścia. Zatoczyli się i uczyniwszy kilka kroków, upadli na ziemię, ale było to już poza obrębem murów, które w tejże chwili runęły, spowijając ich obłokiem duszącego pyłu.

- Powinienem być zginąć - rzekł mężczyzna ponuro wpatrzony w ruinę. - Przepadła praca tylu lat..

- Uciekajmy - powtórzył Awaru.

- Dokąd? - rzucił tamten. - Gdzie chcesz uciekać, wyspa zapada się, zewsząd jest morze, czy nie wszystko jedno, gdzie cię dosięgną fale? - zerwał się nagle i wpadłszy pomiędzy gruzy, jął odwalać je rękami w miejscu, gdzie pozostały zagrzebane arkusze. W pobliżu zjawiała się gromadka ludzi. Mężczyźni i kobiety nieśli coś ze sobą, inni biegli prowadząc dzieci lub niosąc je na rękach.

Mężczyzna na stosie gruzów pracował odwalając ciężkie bryły poranionymi rękami. Krew spływała mu po palcach, rozmazał ją na twarzy wycierając czoło dłonią.

- Skąd wiesz - spytał go Awaru - że wyspa zapada się właśnie teraz, skąd można to wiedzieć na pewno?

- Oszalałeś chyba! - zawołał tamten. - Nie słyszałeś, że morze wdarło się już od północy i fale biegną w głąb lądu?

Ziemia, która przez pewien czas spoczywała nieruchomo, wstrząsnęła się znów gwałtownym podrzutem. Awaru zaledwie zdołał ustać. Drzewa waliły się, a w rozspajającej się ziemi powstawały czarne szczeliny. Wiatr sypał deszczem popiołu i zwęglonych okrucich. Z dzikim łopotem skrzydeł przemknęło ogarnięte trwożą stado morskich ptaków.

Widok ten sprawił, że chaos myśli wypełniających czaszkę Awaru uspokoił się nagle. Wszystko stało się proste. Wyspa ginęła, wraz z nią ginęli wyspiarze, ginął zaprowadzony przez nich porządek oraz ich władza i siła. I Awaru pojął, że jest wolny. Pobiegł za ludźmi. Resztki ich opuszczały Tees w najwyższym pośpiechu i nie było nikogo, kto by pilnował wyjścia. Zobaczył tam najpierw złotego sheri, a potem mignęła mu przed oczami Zoa. Wypatrywała kogoś pośród ludzi, zaczepiała ich, o coś pytając. Gdy ujrzała go, ręce opadły jej jakby z wielką ulgą. Znalazł się blisko i usłyszał jej głos: - Nareszcie jesteś... Nie wiedziałam, gdzie cię szukać - zawróciła w stronę wyjścia, prowadząc go za sobą. - Jeśli nie chcesz uciekać - powiedziała po chwili - zostaniemy tutaj...

Minęli biały mur i kroczyli przed siebie po otwartej przestrzeni.

- Zoa - zapytał - dokąd uciekają wszyscy?

- Przed siebie.
- Opuścimy wyspę - rzekł Awaru.
- Jak? - jej oczy, rozjaśnione na jego widok, znów przygały.
- Zabiorę cię do mojego kraju.
- Nie chcę uciekać, już nie boję się niczego. Kiedy z tyłu dogonią nas fale, zamkniemy oczy i pozwolimy się im zagarnąć.

Awaru zaledwie słyszał jej słowa. Ciężar ostatnich dni uleciał bez śladu: już nikt go nie obserwował, nie zajmował się nim, wolno mu było być sobą i walczyć o życie na równi ze wszystkimi mieszkańcami wyspy. Obejrzał się na Tees. Opuszczone, leżało za nimi skryte w ciemnym pasie zarośli, pod szarą chmurą stojącą na połowie nieba. Zwrócił wzrok ku horyzontowi i zmartwiało. Szło za nim morze.

Jak okiem sięgnąć, rozciągała się spieniona ściana tocząca się i połykająca ziemię. Wiedział, jak ciska wściekłymi bryzgami, przewraca krzaki i drzewa, kipi brudną pianą. Zbliżała się już do zabudowań Tees, a za nią szło drugie uderzenie. Bury wał, gładki, oślizły i milczący, toczył się w nieodpartym pochodzie.

Awaru usłyszał obok siebie zdławiony okrzyk. Zoa przycisnęła obie dłonie do ust, jej oczy stały się wielkie i nieruchome. Morze nadchodziło, niosąc ze sobą nieubłaganą śmierć. Dostrzegli je także rozproszeni na równinie ludzie, którzy opuścili Tees. Zatrzymywali się jak wryci, porażeni widokiem nadciągającego żywiołu, potem puszczali się biegiem, aby przynajmniej oddalić chwilę, kiedy na głowę runie spieniona masa wody. Niektórzy wszczynali przeraźliwy lament, inni padali jak podcięci na ziemię, okrywając ramionami twarz i oczy, porzuciwszy wszelką nadzieję ocalenia.

Awaru zawrócił w mgnieniu oka i porwawszy dziewczynę za rękę, rzucił się szaleńczym biegiem w drogę powrotną, naprzeciw nadbiegającej fali i białym murom Tees. Zoa, szarpnięta, omal nie przewróciła się, wołała coś rozpaczliwego, czego Awaru nie słyszał. Wiedział, że pozostanie na otwartej przestrzeni oznacza nieodwołalnie śmierć. Ratunek, jeżeli istniał w ogóle, mogły przynieść tylko wysokie budowle. Pędził więc, zaciskając palce na przegubie towarzyszki, a obok nich sunęła żółta smuga gnającego susami Rai. Pomiedzy zabudowania wpadła już pierwsza linia fali. Wzmógł się nagle szum, w niebo uleciała chmara drobnych ptaków wypłoszona z gęstwiny. Zerwał się nagły powiew wiatru sunącego jako przednia straż morza.

Dobytując ostatnich sił, z płucami obolałymi, jakby dziurawił je dziesiątek sztyletów, Awaru i Zoa dopadli białego muru w tej samej chwili, gdy z drugiej strony uderzyło weń czoło fali. Nogi ugięły się pod nimi, upadli na kolana niezdolni uczynić ani kroku. Wał wody, startszy się z kamienną ścianą, wystrzelił ku niebu kolumnami, które rozpyliły się w rój bryzgów i przelały ponad murem. Strugi wody i warkocze piany upadły na głowy i ramiona klęczących. Poprzez czarną mgłę przesłaniającą oczy ujrzał Awaru, jak zagony brunatnych wód okrążają ich już z lewej strony, ominawszy Tees. Pośrodku natarcie, wstrzymane przez zabudowania, opóźniło się o mgnienie oka i straciło swój straszliwy rozpęd. Dostrzegł, jak fala dogania dwóch mężczyzn na otwartej równinie. Dopadła ich obu równocześnie i ogarnęła od razu, od stóp do ramion. Widział ich głowy i ręce wzniesione ponad kożuch piany, walczące o utrzymanie się na powierzchni, bijące

beładnie w poszukiwaniu oparcia, a w następanej chwili skoszone prądem.

Biały mur wstrząsnął się, pokrył siecią pęknięć i runął w wielu miejscach, a przez wyrwy lunęły potoki ciemnej wody, żółtej od mułu, pełnej traw, liści i patyków. Równocześnie dwa zagony fali, która okrążyła Tees, dopadły ich oboje z boków. Było to jednak uderzenie pozbawione swej pierwotnej siły i szybkości.

Awaru objął dziewczynę ramionami i dźwignął ją z ziemi. Wsparł się o wyszczerbiony biały filar. Woda dosięgła mu do pasa, wzniosła się do połowy piersi, po chwili znów nieco opadła. Tuż przy nim z kipieli wychynał łeb Rai. Zwierzę poczęło pływać z uniesionym wysoko pyskiem.

Dokoła wszędzie była już tylko tafla wód, czoło zalewu oddalało się, niosąc w głąb kraju śmierć i zniszczenie, zagarniając w biegu ludzi i zwierzęta.

- Zoa - spytał Awaru - masz jeszcze trochę siły? Podniosła ku niemu twarz pokrytą wielkimi kroplami wody,

strumyki spływały jej z włosów. Jej oczy, ciemne w tej chwili jak granat nocnego nieba, pełne były lęku. Widział, jak próbowała zaciskać zęby, aby powstrzymać ich dzwonienie. Nie mogła wydobyć ani słowa ze zdławionego gardła.

- Musisz zdobyć się na jeszcze jeden wysiłek, zanim nadejdzie druga fala.

„Po co?” - zdawały się mówić jej oczy. Nie zwracał na to uwagi, poprowadził ją wzdłuż resztek muru. Woda, w miarę oddalania się czoła fali sunącego w głąb wyspy, stawała się płytsza, sięgała im

niewiele ponad kolana. Za to prąd stał się rwący i gwałtowny. Brodzili, czując jak po stopach przetaczają się kamienie, piasek, kawały drewna. Przyspieszając kroku mijali zwalone ściany budynków, widzieli też, że niektóre z nich oparły się atakowi wód i trzęsieniu ziemi.

Znów zerwał się gwałtowny wiatr, począł narastać głuchy szum, zamieniać się w dudniący grzmot. Awaru zrozumiał, że to nadchodzi ściana morza, druga linia ataku. Zobaczył jej siną krawędź wzniesioną ponad budynki i drzewa, wydęty wał zwieńczony bielą. „Śmierć!” - powiedział sobie.

Byli już u podnóża pochyłej wieży służącej, jak zapamiętał Awaru, do obserwacji słońca. Wciągnął za sobą dziewczynę do ciemnego wnętrza, gdzie pośród mokrych ścian tłukła się wzburzona woda. Nie puszczejąc jej ręki biegł z jednego pomieszczenia do drugiego, słyszając, jak na zewnątrz rośnie ryk potwornej fali.

Oślepił go błysk słonecznego światła, gorący i przesywający. Zacisnął powieki, zasłonił oczy zgiętym ramieniem. Droga ucieczki została odnaleziona. Ruszył wzwyż, naprzeciw potoku promieni odbitych przez zwierciadło ze szczytu wieży.

Oślepieni, wspinali się stromymi schodami, potykając się i przewracając. Zdawało im się, że biegną ku słońcu, czerwony blask przebijał powieki, piekący żar kładł się na skórze. Słyszeli jedynie morze, ogłuszające gromy, z jakimi waliło się na ziemię, rozmiatało w pył ludzkie budowle i zamieniało w morskie dno słoneczną wyspę. Na koniec i wieża odebrała uderzenie, które zachwiało nią. Awaru i Zoa upadli na twarde płyty szczytowej platformy, głusi, oślepieni i spaleni słońcem.

Awaru powrócił z wolna do przytomności. Zanim otworzył oczy, wiedział już, że Zoa jest w dalszym ciągu obok niego. Przez cały czas, mimo omdlenia, nie wypuścił z palców jej

dłoni. Usiadł i przekonał się, że są tu wszyscy troje. U jego stóp leżał wyciągnięty na boku Rai. Z jego futra unosiły się smużki pary. Znajdowali się na samym szczycie wieży, a nad ich głowami wznosiła się, osadzona na metalowych prętach, owalna płyta zwierciadła. Tunel wypełniony był czarną wodą.

Zoa była przytomna, leżała patrząc prosto w niebo. Poruszyła wargami, chcąc coś powiedzieć. Nachylił się nad nią.

- Nie mam odwagi spojrzeć w dół. Powiedz, co widzisz? - szepnęła. Dokoła nie było nic oprócz morza. Oblewało niemal do szczytu pochyłą wieżę i wystarczyło, by się mocno wychylić poza krawędź platformy, aby czubkami palców dotknąć grzebienia fali. Przestwór wód ciągnął się w nieskończoność, a ponad jego powierzchnię nie wystawał nawet najmniejszy skrawek suchego lądu. W jednym tylko miejscu, na horyzoncie, zarysowany ciemną plamą widniał brzeżek krateru, ostatni ślad Suhmi, która rozpadła się wraz z całym pasmem górskim. Nad wodami unosiły się tam słupy pary i słonego dymu. Druga część nieba była pogodna, rozświetlana czystym słońcem. Jego promienie ślizgające się po rozkołysanych falach były jak palce poszukujące na próżno śladu życia. Bliżej, tu gdzie w odmęcie zniknęło Tees, Awaru widział jedynie ocalały, oprócz pochyłej wieży, ostry czubek jakiejś budowli. Wszystko inne znalazło się na dnie. Woda, połknąwszy wyspę, była ruchliwa i niespokojna. Fale miały jednak inny niż zazwyczaj kształt. Zamiast nadbiegać z oddali długimi szeregami, które układa i popycha wiatr, tkwiły jak gdyby w miejscu, podobne do pojedynczych, spiczastych piramid. Ich wyrastające z nagła czubki, rozpadały się w pęki żółtych bryzgów. Z głębin wynurzały się szybkie prądy, brunatne i zmacone, przepełnione szczątkami roślin, na powierzchni kołowały potężne wiry przeplatające się i zderzające ze sobą.

Awaru oparł ręce na metalowej podporze wielkiego zwierciadła. Drgnęło z miejsca i pochyliło się na własnej osi. Skierował owalną tarczę ku zachodniej stronie nieba, a kiedy złowił w nią odbicie słońca, rzucił na fale snop promieni. Na zmętniałym morzu legł krąg białego światła. Awaru jął się podnosić i przesuwac, poruszając zwierciadłem tak długo, aż upewnił się, że smuga blasku dotyka linii horyzontu. Wówczas począł nią wodzić w lewo i prawo, zamiatając przestwór szerokimi łukami.

W jakiejś chwili wieża zadrżała gwałtownie i obsunęła się niżej, teraz bryzgi fal gęsto zraszały kamienną platformę. Zoa spojrzała niemo na Awaru. Spróbował uśmiechnąć się. Gdy drgania ustały, dziewczyna zapadła znów w milczące odrętwienie, Awaru zaś powrócił do swej pracy. W miarę jak płynął czas i słońce minąwszy zenit przesunęło się niżej, zmieniał też nachylenie srebrzystej tarczy i nadal uparcie wodził nią tam i z powrotem.

Rai, jakby rozumiejąc jego usiłowania, stał obok z podniesionym ogonem i wpatrywał się w dal omiataną promieniami światła. Co pewien czas ich wzrok kierował się ku najbliższemu otoczeniu, gdy głębina ze złowrogim bulgotem wyrzucała bąble powietrza lub gdy w żółtym odmęcie zamajaczył ciemny kształt niewiadomego przedmiotu.

Awaru nie pozwalał sobie na jedną nawet chwilę odpoczynku. Ręce i ramiona bolały go od nieustannego wysiłku. Starał się nie myśleć o tym i tylko w jego oczach pojawiał się niepokój, kiedy dostrzegł, że krąg słoneczny na swojej dziennej drodze znów opadł nieco ku horyzontowi. Obawiał się nadejścia zmroku, zgaśnięcie dnia byłoby też końcem

wszelkiej nadziei. Nie odważył się spoglądać na dziewczynę, czuł, że Zoa uważa za niepotrzebne jego dziwne czynności.

Rai zobaczył pierwszy. Było już blisko zachodu i w powietrzu pojawił się nieuchwytny cień różowości. Awaru był już obojętny na wszystko. Sheri zeszywniał na czterech łapach, a potem uniósł przednie w powietrze i stanął wspierając się o metalową podstawę zwierciadła. Patrzył w dal z napięciem, a z jego gardła wydobył się skowyt. Awaru uczył, jak serce pęcznieje mu w piersi, a płucom zaczyna brakować powietrza. Potok myśli wypełnił mu nagle czaszkę. Uciszył je i stłumił w sobie nagle obudzoną nadzieję. Nie widział nic oprócz linii dzielącej morze od nieba, oprócz rozpalonego kręgu słońca i jego odbicia na falach. Serce zamarło mu w skurczu bolesnego zawodu. Z oślepiającej słonecznej drogi leżącej na morzu wyskoczyło czarne wrzeciono. Strzępy fal otaczały wysoki dziób, a piana kłębiła się wzdłuż burt. Las długich wiosel obiegał łukiem w powietrzu i spadał na fale, a statek mknął ślizgając się po wybojach morza. Ujrzał ciemne plecy wiosłarzy chylące się w jednostajnym rytmie, a kiedy zbliżywszy się zaprzestali wiosłowania, statek rozpędem już tylko płynął wprost ku jego samotnej wysepce. Zobaczył, iż wszyscy obracają się twarzami ku niemu, a ciemne szeregi ich skupionych twarzy rozbłyskują nagle radosną bielą zębów. Usłyszał swoje imię i patrzył w poraną zmarszczkami twarz starca Kamau, który prowadzony błyskami zwierciadła, przybył, aby odszukać go pośród bezmiarów wód i zabrać na stary ląd.